

Federico
Moccia

Tylko
♥ ty



Federico
Moccia

Tylko
♡ ty



przełożyła
Karolina Stańczyk

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Tytuł oryginału: ***Sei tu***

Projekt okładki: *Vavooq* (Wojciech Wawoczny)

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja: *Beata Słama*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Sheftsoff Stock Photo/Shutterstock

© Habrda/Shutterstock

© 2014 Federico Moccia, Italy

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

ISBN 978-83-287-0176-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2016

Wydanie I

*Alessandrowi Giuseppemu i Marii Lunie,
za ich uśmiechy.
I Giulii, która podarowała mi
to wspaniałe marzenie*

Najpiękniejsze są morza
jeszcze niepoznane.
Najpiękniejsze dziecko
jeszcze bardzo małe.
Najpiękniejszych dni
nie przeżyliśmy jeszcze.
I najpiękniejszych słów, które powiedzieć ci chciałem,
nie wymówiłem jeszcze.

Nazim Hikmet

(przekł. Małgorzata Łabęcka-Koecherowa)

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

Podziękowania

1

W życiu wiele spraw dzieje się przez przypadek, tylko na niektóre z nich mamy wpływ i prawie zawsze właśnie te są najlepsze. Jak pomyśl, by znowu ją zobaczyć. Idę przez park z rękami w kieszeniach i kiedy przychodzi mi on do głowy, serce zaczyna bić mocniej i nie mam żadnych wątpliwości.

– Ech... – Milkniemy i wpatrujemy się w siebie, jakby od naszego rozstania minęła chwila. Wróciła do Rzymu i wszystko jest takie jak kiedyś: jej lśniąca kasztanowe włosy mieniące się w słońcu, dołeczek w lewym policzku, delikatna, niemal przezroczysta skóra, przez którą prześwitują niebieskie żyłki na dłoniach. Nawet serce wyżłobione na ławce przez kogoś innego jest na swoim miejscu. Niegramatyczny napis „Dla Moja Miłości” i tak oddaje ideę. Ania patrzy na mnie z zaciekawieniem, może z lekką obawą, że od chwili jej wyjazdu coś się wydarzyło, że ktoś skradł kawałek naszej wspólnej historii.

– Nie... – odpowiadam na to niezadane pytanie. Wydaje się taka szczęśliwa, jakby te niewypowiedziane słowa należały tylko do wybrańców, do zakochanych, którym wystarcza jedno spojrzenie w oczy, by wiedzieć, co w duszy gra. Jednak w moim sercu wyrte jest coś, nad czym nie mam kontroli: kilka razy myślałem o Niej. O „Niej” przez wielkie „N”, tak ważnej w moim życiu. Boję się, że to słowo wyrwie się z mojej klatki piersiowej i drukowanymi literami utworzy plastyczny napis przed Anią. Odruchowo starannie zapinam kurtkę. Bezwiednie podnoszę ręce w obronnym geście i z poczuciem winy. Jak dziecko, które rozbiwszy wazon, krzyczy: „To nie ja!”, zanim matka zdąży zadać pytanie. Tak samo ja wybiegam przed szereg: „Więcej jej nie widziałem”. Co nie do końca jest prawdą, gdyż przywoływanie jej obrazu, tak wyraźnego, we wspomnieniach było bardzo naturalne. Odwiedzanie jej profilu na Facebooku czy przejeżdżanie koło jej domu w nadziei na spotkanie było jedynie sposobem na ukojenie bólu, jaki spowodowała ta historia, która zakończyła się bez wyraźnego powodu.

Alessia, dziewczyna, z którą spotykałem się przez ponad rok, pewnego dnia

po prostu odeszła. Zostawiła w moim sercu niezabliźnioną ranę. Ania czuje, że jestem rozdarty. Wrywa mnie z zamyślenia, bierze moją dłoń i uważnie jej się przygląda. Jakby szukała zrozumienia w jej zagłębieniach, w linii życia, szczęścia i miłości. Sunie po nich palcem i szepcze: „Ja i ty?”. Jej głos niespodziewanie przerywa ciszę, nie patrzy na mnie, głowę ma spuszczoną. Nauczyła się kilku słów po włosku, jakie to urocze. Unosi głowę, spogląda na mnie z uśmiechem i powtarza: „Ja i ty”. Tym razem nie jest to pytanie. Czuję ucisk w sercu, brakuje mi tchu, więc mówię po prostu: „Tak... my dwoje”. Wydaje się spokojniejsza, zadowolona. Oddycha głęboko i się rozgląda. Dzieci biegają wokół zjeżdżalni. Jeden chłopczyk, z burzą kręconych loków, odpycha pierwsze dziecko w kolejce i błyskawicznie, niczym przyszły rekordzista w biegu przez płotki, wspina się na szczyt drabinki.

Parkowymi alejkami idą dwie kobiety z żółtymi siatkami z pobliskiego supermarketu. Na ławce siedzi starszy pan, czyta gazetę i miarowo kręci z niezadowoleniem głową, uderzając dłonią w stronicę, nie wiadomo, czy z powodu przeczytanej wiadomości, czy to zwykły nerwowy tik. Zwracam się do Ani, wplatając w wypowiedź angielskie słowa, by mogła mnie zrozumieć.

– Ten park wydaje się dziś piękniejszy niż zwykle... *This place is more beautiful*. Może dlatego, że ty tu jesteś...

Patrzy na mnie, opiera dłoń na mojej piersi i niskim, ciepłym głosem powtarza moje słowa: „My dwoje”, co doprowadza mnie do szaleństwa.

W tej samej chwili zrywa się lekki wiatr, czuję dreszcze na plecach, a ona nadal patrzy na mnie w taki sposób... Teraz robi mi się gorąco, zdejmuję kurtkę, sweter, koszulę i zostaję z nagim torsem. W końcu sam siebie zaskakuję, krzycząc na całe gardło:

– Tak, my dwoje, my dwoooooje!

– Wariat jesteś... – Rozbawiona Ania kręci głową.

Nagle dźwięki mieszają się ze sobą, światło mnie oślepia, z trudem skupiam wzrok, czuję jakiś znajomy zapach... zapach mojego domu. Jestem w swoim pokoju!

– Przyznaj się, śniła ci się Ania, prawda?

– Co jest, kurw... – Otwieram szeroko oczy i gwałtownie się prostuję. Gruby wpatruje się we mnie z odległości kilku centymetrów, czuję się jak na

fotelu u dentysty.

Obok Grubego stoi moja siostra Valeria i patrzy na mnie rozbawiona.

– Co ty, we śnie był bardziej wzburzony niż szczęśliwy... Śniła mu się Alessia – mówi.

– Że rzuca go po raz drugi... ha, ha! – dodaje Gruby i oboje wybuchają śmiechem.

– Widzę, że bardzo was bawi moje nieszczęście. – Patrzę na nich urażony.

Gruby macha lekceważąco ręką.

– Od razu nieszczęście...

– Jedna mnie rzuciła, a druga bez pożegnania wyjechała do Polski... Czy może być gorzej?

Valeria nie przestaje się śmiać.

– Naprawdę dziwnie się ruszałeś. Trudno było zgadnąć, czy śni ci się Polska, gdzie podczas spaceru napotykasz Anję Rubik, czy że uprawiasz z kimś seks... Chociaż nie wiem, jak wyglądasz w takich chwilach, no cóż... – Valeria wzrusza ramionami i wychodzi z pokoju.

– Niezła ta twoja siostra!

– Faktycznie, niezła. Z Fabiolą ciągle się zastanawiamy, czy nie jest przypadkiem adoptowana. Masz szczęście, że jesteś jedynakiem!

– Daj spokój, gdybym miał brata, dziś stałbym na czele imperium. Przyznaj się, śniła ci się Ania, co?

– Przecież powiedziałem, że nie.

– No weź, od razu było widać. – Siada na brzegu łóżka i patrzy rozbawiony na leżącą na podłodze koszulę. Musiałem przed chwilą zedrzeć ją z siebie przez sen. Od pasa w górę jestem nagi, dokładnie jak we śnie.

Wstaję z łóżka, Gruby idzie za mną. Nie dość, że wpada do mnie, kiedy śpię, to jeszcze wchodzi za mną do łazienki.

– Słuchaj, no nie przejmuj się, w dzień można starać się o tym nie myśleć, ale w nocy, kiedy śpisz, nie ma szans, no nie? Nie można cenzurować snów. Na szczęście, no nie? – Unosi brew i patrzy na mnie dwuznacznie.

Odkręcam kran w kabynie prysznicowej. W tej kwestii akurat zgadzam się

z Grubym, ale nie daję się wciągnąć w dyskusję. Siada na sedesie.

– Pamiętasz ten film *Pamięć absolutna*, no nie?

– To już czwarte „no nie” w ciągu dwóch minut. – Usiłuję zbić go z pantałyku, ale się nie daje.

– No wiesz, podarowałem ci w pakiecie na Boże Narodzenie. Schwarzenegger i Stallone?

– No i?

– To było o tym, jak można zarządzać własnymi snami, jak kierować myślami, które chodzą ci po głowie podczas snu. Szkoda, że to tylko film, chociaż uważam, że większość tego, co dzieje się w filmach, w końcu się urzeczywistni. Zajebista sprawa, no nie?

Posyłam mu groźne spojrzenie, ale Gruby unosi ręce w obronnym geście, by usprawiedliwić kolejne „no nie”.

– Piąte! – przyznaje i wraca do przerwanej wątku: – Jeśli się dobrze zastanowić, to moim zdaniem bardzo możliwe, że...

– To fikcja. Poza tym większości twoich pomysłów nie dałoby się umieścić w żadnym filmie, są zbyt wywrotowe.

Zwiększam strumień wody, a Gruby nadal nawija, choć nie słyszę go zbyt dobrze.

– Przecież wszystkim się to zdarza. Kiedyś śniło mi się, że siedzę na kanapie między Seleną Gomez a – no, zgadnij kim? – Rihanną! Ale przed snem wypiliśmy chyba za dużo piwa, obudziłem się i z pełnym pęcherzem pogałem do łazienki. Kiedy wróciłem do łóżka, próbowałem powrócić do przerwanej snu, by rozkoszować się pocałunkami Seleny... o ile można je nazwać pocałunkami... A zresztą... Robiłeś tak kiedyś?

Muszę przyznać, że kilka miesięcy temu przytrafiło mi się dokładnie to samo. Śniło mi się, że siedziałem w lunaparku na karuzeli, takiej z siodełkami na łańcuchach, ktoś mnie popychał, a ja powtarzałem: „Mocniej, mocniej!”. Po chwili zadzwonił budzik i zabawa się skończyła. Próbowałem zasnąć, by dowiedzieć się, kto bujał mnie tak mocno, że bez lęku leciałem do samego nieba, ale nic z tego nie wyszło.

– Powiedziałeś już starym?

– O czym?

– Jak to o czym? Że wyjeżdżamy!

Wycieram głowę ręcznikiem. „Starym”... Jak dziwnie słyszeć te słowa. „Starzy”. Moich starych już nie ma. Jest tylko mama. Ale nie poprawiam Grubego.

– Jeszcze nic nie powiedziałem.

– Jak to, kurwa, nie powiedziałeś? Nie śpię od trzech dni, wreszcie pokonałem jebany strach przed lataniem, a ty mi mówisz, że nie jedziemy?

– Niczego takiego nie mówię.

– Dobra, wychodzi na to samo, nie wspomniałeś jeszcze o tym w domu. Kiedy zdecydowałem się z tobą wyjechać, nie miałem problemu, żeby powiadomić o tym starych!

Jasne, że nie! Jego rodzice będą szczęśliwi, że pozbędą się go przynajmniej na jakiś czas. Moim zdaniem nie do końca wiedzą, w jakich kręgach obraca się ich syn, i boją się, że w każdej chwili może zadzwonić do drzwi policja z nakazem rewizji. Albo członek gangu z dzielnicy Magliana, który zdemoluje im dom.

Wciągam slipki i koszulkę i idę do kuchni nastawić kawę. Gruby oczywiście podąży za mną.

– Wiesz, że ściągnąłem PDF ze wszystkimi ważnymi miejscami do obejrzenia w Warszawie? Uważam, że musimy zrobić wypad na Stare Miasto.

Gruby czasami naprawdę mnie wzrusza, jest trochę naiwny. Stare Miasto to jedno z pierwszych miejsc, które odwiedzi turysta, zwłaszcza w pewnym wieku. Generalnie nic oryginalnego, ale Gruby myśli, że jest pionierem. Jego entuzjazm jest jednak zaraźliwy i sam zaczynam w to wierzyć. Wyjmuje z plecaka zrobiony przez siebie przewodnik, zaprojektował nawet okładkę: na biało-czerwonym tle widnieje syrenka, a pod nią my, dzierzący włoską flagę.

– Podoba ci się?

– Kompletnie ci odbiło, Gruby!

– Dlaczego? We dwóch odkryjemy Polskę...

– Jasne, tak jakby nikt jej wcześniej nie odkrył. Jak zawsze jesteśmy pierwsi!

– Żebyś wiedział, odkryjemy to, co jeszcze nie zostało odkryte. Czy twoim zdaniem pierwsi odkrywcy Polski byli w kafejkach przy placu Zbawiciela, gdzie przesiadują najpiękniejsze dziewczyny na tej planecie? Czy naprawdę muszę ci wszystko tłumaczyć?

W jednej chwili wzruszenie ustępuje miejsca podziwowi: tym razem mój przyjaciel naprawdę się przygotował.

Gruby wychodzi ode mnie lekkim krokiem, jak gdyby nigdy nic, jakby nie rzuciły go dwie dziewczyny – spotykał się z obydwojma jednocześnie, bo nie wiedział, na którą się zdecydować – jakby nie zapisał się na prawo i nie oblał jak dotąd każdego egzaminu, jakby nie był winny ośmiuset euro facetowi, który sprzedał mu niesprawny motor. Bo Gruby jest jedyny w swoim rodzaju.

Wracam do kuchni, by wyłączyć ekspres, i dopiero wtedy zauważam torebkę z cukierni Euclide z zimnymi już rogalikami. Przynosi je zawsze ciepłe, prosto z pieca. Żeby tak jeszcze pamiętał, by mnie o tym poinformować.

Wyjazd z nim może być naprawdę udany, poza tym dobrze mi zrobi wyrwanie się na trochę z Rzymu. Kiedyś Lucio Battisti śpiewał piosenkę, którą często nuciła moja mama – opowiadała o tym, jak łatwo jest odnaleźć się nawet w dużym mieście. Jednak Alessię spotkałem tylko raz, niecały miesiąc temu, na koncercie Coldplay.

Wchodzę na Facebooka. Jej status związku nadal jest taki sam: wolna. Ogarnia mnie spokój, ubieram się, wpadnę do B&B, agencji nieruchomości, w której pracuję popołudniami. Wczoraj uprzedziłem, że wyjeżdżam, wujka w kiosku, na końcu poinformuję mamę.

Teraz wszystko wydaje mi się łatwe, jeszcze nie wiem, że wkrótce stanę przed najtrudniejszym życiowym wyborem. Ale gdy mamy dwadzieścia trzy lata, wydaje nam się, że przed nami całe życie.

No, może nie całe. „Ja w twoim wieku miałam już dziecko”, powtarza moja mama za każdym razem, gdy znajduje na podłodze moje brudne skarpetki albo widzi nieposłane łóżko.

– Mamo, to są zamierzchłe czasy!

2

Wysiadam z windy w siedzibie B&B, która otwarta jest również przez kilka godzin w soboty, i stoję twarzą w twarz z Kałużą. Tak naprawdę ma na imię Benedetta, ale w agencji wszyscy zwracają się do niej, używając tej ksywki, choć nikt nie pamięta, skąd się wzięła.

– Cześć, Bene – rzucam, o mało na nią nie wpadając, co pogłębia tylko zakłopotanie, które natychmiast wkrada się między nas.

Bez słowa odwraca się na pięcie. Idę za nią aż do biurka.

– Proszę cię, odpuść, ciągle jesteś zła?

Nadal nic nie mówi, układa papiery, jakby miała mnóstwo roboty, ale widać, że tylko udaje. Kładę jej rękę na ramieniu.

– No proszę, Bene, nie bądź taka...

Czuję, jak sztywnieje pod wpływem mojego dotyku, odwraca się do mnie i patrząc lodowato, mówi:

– Nie dotykaj mnie.

Zabieram rękę.

– Dobrze... Ale czy możemy chwilę porozmawiać? Benedetto, nie chcę cię stracić, nasza przyjaźń była taka piękna...

– Zniszczyłeś ją.

Jak to? Mam ochotę odpowiedzieć: „A ty nie miałaś z tym nic wspólnego? Nie było cię, kiedy uprawialiśmy seks? Daj spokój, Bene, takie rzeczy się zdarzają! Nakręcili nawet o tym film: *Kiedy Harry poznał Sally*”. Ale według niej mężczyzna nie może przyjaźnić się z kobietą, gdyż od kobiety chce tylko jednego, a gdy już to dostanie, znika z jej życia. Skoro od zawsze tak uważa, to po co dzwoniła do mnie tamtego dnia, zaprosiła do siebie i przyjęła półnaga i cała we łzach, bo rzucił ją chłopak? Stało się, trudno, ale wszystko może wrócić na swoje miejsce, prawda? Chciałbym, żeby dla Benedetty było jasne, że nawet jeśli się ze sobą przespaliśmy, nadal możemy razem chodzić do kina

czy komentować w biurze ostatni odcinek *X Factor*, dokładnie tak, jak robię to z Grubym. Może nie dokładnie tak jak z nim, bo dla niego *X Factor* jest zbyt gejowski i nie ma takiej opcji, by go oglądał.

– Bene, może i zniszczyłem naszą przyjaźń... ale seks z tobą...

– Ćśśś. – Benedetta rozgląda się zaniepokojona, że ktoś usłyszy moje słowa. W biurze nikogo nie ma, ale i tak jest spięta. – Nie rozumiem, dlaczego o tym mówisz.

– Dlatego że... – zaczynam.

– Ja ci powiem dlaczego! – wybucha. – Bo ty chciałbyś, żeby zawsze wszystko było na swoim miejscu, żeby ludzie się z tobą zgadzali, żeby wszyscy byli zadowoleni i cię lubili...

Milczę. Idę za jedną z rad mojego taty i liczę w myślach: jeden, dwa, trzy...

– Żebyś mógł robić to, na co masz ochotę, i udawać, że nic się nie stało. Tymczasem tak nie jest...

– Bene, stało się, ale to był błąd. – Gryzę się w język, może należało liczyć dalej: sześć, siedem, osiem...

– Błąd? No jasne! Ciekawe, ile takich błędów już popełniłeś? Robisz nacięcia na ścianach jak więźniowie liczący dni do końca odsiadki, tylko że ty liczysz kobiety. Ale ja nie będę jedną z twoich zdobyczy, jasne?

Tym razem to ja zaczynam rozglądać się nerwowo. Widzę Giannię Salvettiego, który pojawił się przy swoim stanowisku, ale nie dbam o to. Pod lampką stojącą na biurku Benedetty szamocze się ćma uwięziona od wczoraj w biurze. Próbuję pomóc jej się stamtąd wydostać, jednak tylko spycham ją w stronę żarówki, która opala jej skrzydła i ćma spada na klawiaturę komputera. Chciałem ją uratować, a tymczasem zabiłem.

Nagle dociera do mnie, jak dużo zmieniło się w moim życiu: nie ma już taty, mama nie potrafi pogodzić się z jego odejściem, w życiu sióstr, Fabioli i Valerii, zapanował chaos, Alessia odeszła, mówiąc tylko, że jej przykro. A Ania wyjechała, nawet się ze mną nie pożegnał. Może Benedetta ma rację, sparzyła się na facetach, a ja nie zrobiłem nic, by oszczędzić jej kolejnego rozczarowania. Popełniłem błąd wynikający z niewiedzy, a nie ze złej woli. Dochodzę do wniosku, że jeszcze większy ból sprawią jej moje wyjaśnienia, więc się poddaję. Trzeba było policzyć do dziesięciu i siedzieć

cicho.

– Jak chcesz – mówię i oddalam się od biurka Benedetty. Wyobrażam sobie jej zaskoczona minę, ale nie mam ochoty się odwrócić, po prostu ta sprawa w ogóle mnie nie interesuje. Już nie.

Docieram do gabinetu dyrektora i pukam we framugę otwartych drzwi.

– Dzień dobry, mogę?

Alfredo Bandini, dyrektor agencji nieruchomości, poprawia okulary, przeglądając papiery.

– A, to ty, wejdz, wejdz... – mówi, podnosząc na mnie wzrok.

– Chciałbym prosić o tydzień wolnego – od razu przechodzę do rzeczy.

– Coś się stało? – Odchyła się na oparcie fotela. – W domu wszystko w porządku?

– Tak. Chodzi o podróż. Mam okazję wyjechać na tydzień do Warszawy i nie chciałbym jej przepuścić.

– Mogłeś wymyślić cokolwiek, a ty mówisz mi, że jedziesz na wakacje – odpowiada z ironicznym uśmiechem.

– Odpracuję po powrocie.

– Nie o to chodzi. Nie sądzę, by na rynku nieruchomości mogło zrobić się gorzej niż jest teraz... – Przygląda mi się uważnie, jakbym był laboratoryjnym okazem, wypchanym ptakiem, który nie wiadomo, czy jest zachwycający, czy odpychający.

Patrzę na niego spokojnie, nie rozumiem, dlaczego mówi do mnie takim tonem, nie wiem, co odpowie. Bandini milczy przez dłuższą chwilę. Zaraz stwierdzi, że tylko taki głupiec jak ja wyjeżdża na wakacje w momencie, gdy każdego dnia ludzie tracą pracę. Zamieści w prasie oświadczenie, że to młodym nie chce się pracować, a nie, że brakuje etatów, a moja twarz pojawi się w ramce na dole artykułu. Sięgnie po zestawienie moich zarobków i udowodni, że ledwie mi wystarczy na bilet w obie strony.

– ...ani że wszystko zawali się z powodu twojej krótkiej nieobecności, szczególnie że jest lato...

Przynajmniej w tej kwestii jesteśmy zgodni. Notuje coś na kartce i mi ją podaje. O rany, wypowiedzenie?

– To knajpa, w której można bardzo dobrze zjeść, nazywa się Bazyliszek i jest na Starym Mieście. Byłem tam wiele lat temu z żoną. – Oddycham z ulgą, Bandini jest moim bohaterem! Wstaje i odprowadza mnie do drzwi. – O ile nic się tam nie zmieniło! – Podaje mi rękę, jest duża i ciepła jak ręka mojego taty. Czuję ucisk w gardle, ale staram się o tym nie myśleć. – Jeżeli jest coś, co naprawdę cenię, to właśnie szczerłość, mój chłopcze. Baw się dobrze.

– Bardzo panu dziękuję. – Zbieram się do wyjścia.

– Niccolò, nie zapomnij zostawić kluczy do wszystkich apartamentów, którymi się zajmowałeś, również do tego penthouse'u przy Koloseum.

– Oczywiście. – Wychodzę z gabinetu ze spuszczonego wzrokiem.

Ciekawe, co miał na myśli. Dlaczego wspomniał akurat o tym mieszkaniu, w którym przyłapałem Salvettiego w towarzystwie Mariny, naszej nowej pracownicy? I w którym ja i Ania... Napotykam znaczące spojrzenie Benedetty. Czyżby o wszystkim wiedziała? Czy to ona doniosła szefowi, że jego pracownicy wykorzystują mieszkania, którymi dysponuje agencja, do potajemnych schadzek?

Nawet jeśli tak było, Alfredo Bandini nie dał mi tego odczuć. Może on też korzystał z tych mieszkań? No bo Benedetta oczywiście nie, na litość boską! Ona jest czysta jak łza, działa jedynie na szkodę innych, do diabła. Żałuję, że nie wiedziałem tego wcześniej.

Wydaje mi się, że w kącikach jej oczu zbierają się łzy. Przyśpieszam kroku. Niestety, kiedy masz poczucie winy, niełatwo się go pozbyć.

3

Jadę z listem do taty. Słońce nieśmiało wygląda zza chmur, jakby jeszcze nie podjęło decyzji, czy świecić, czy ustąpić miejsca deszczowi. Jednak białe obłoczki zdają się zapewniać, że pogoda w ciągu dnia będzie ładna: „Bądźcie spokojni, dziś nie będzie padać”. Wsiadam do samochodu i od razu rozlega się muzyka z płyty, którą zostawiłem w odtwarzaczu i która teraz towarzyszy mi, gdy stoję w korku.

Uśmiecham się do swoich myśli. Może naprawdę jest jakiś listonosz, który dostarczy mój list tam, do nieba? Od kilku miesięcy zostawiam list koło fotografii taty i kiedy wracam po jakimś czasie, nie ma go. Bawię się w domysły. Czy wzięła go mama? A może siostry? Tak, myślę, że to Fabiola, ale nie ze wzruszenia czy sentymentu, tylko dlatego że w jej mniemaniu listy zostawione w tym miejscu zaburzają harmonię, wprowadzają chaos. Jej zdaniem zaśmiecam cmentarz! Ona już tak ma, jej wizja świata jest tą jedyną właściwą, inni nie mają racji. Może tak naprawdę odpowiedź jest bardzo prosta: listy porywa wiatr.

Postanawiam zrobić po drodze krótką przerwę.

Wchodzę do cukierni Regoli przy via dello Statuto 60 w dzielnicy Esquilino.

Nic nie może się równać z drugim śniadaniem, szczególnie w takim miejscu.

- Dzień dobry, dostanę cappuccino?
- Cześć, Niccolò – pozdrawia mnie Laura zza lady.
- Hej! – Puszczam do niej oko.
- Chcesz to co zawsze, na wynos?
- Nie, dziś zjem na miejscu.

Kładzie maritozzo, drożdżówkę z bitą śmietaną, na antycznym metalowym talerzyku. Nie bez racji przy wejściu widnieje napis: „Regoli od 1916 roku”.

– Proszę, to dla ciebie. I cappuccino.

– Dziękuję.

Przepyszne. Zamykam oczy, tutejsza śmietana jest naprawdę wyśmienita, lekka, słodka, ale nie za bardzo, a ciasto żółte i puszyste. Łyk cappuccino i kęs maritozzo. Gorzka kawa połączona ze słodką bitą śmietaną: czy to właśnie jest szczęście? Chciałbym się w nim zanurzyć.

Siedzę przez chwilę z przymkniętymi oczami i rozkoszuję się tą chwilą. Gdybym je teraz otworzył, a wszystko toczyłoby się tak, jak powinno, koło mnie siedziałyby Ania. Co za ironia. Cukiernię Regoli pokazała mi Alessia, wielka miłośniczka maritozzi, która przychodziła tu często ze swoją babcią, więc właściwie to ona powinna tu ze mną być. Alessia jednak zniknęła z mojego życia na dobre, a ja, chcąc ukoić ból, związałem się z Polką, z Anią. Albo raczej związało mnie z nią życie, bo ja właściwie nawet nie kiwnąłem palcem. Do tego Ania jest prześliczna, nie można o niej powiedzieć, że stanowi namiastkę Alessii. Czy widzieliście kiedyś namiastkę mającą sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i oczy lazurowe jak ocean? Spędziliśmy wspaniałe wieczory wypełnione śmiechem i zabawą. Jak wtedy w chińskiej restauracji Ebi przy via Ostia. Ania chciała spróbować sajgonek i zanurzyła je w pikantnym wasabi, które było w mojej miseczce. Kiedy zaczął palić ją przełyk, sięgnęła po piwo Asahi i wypłała je duszkiem, a ja nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że pokazałem jej tak dużo, ale nie dałem spróbować maritozzi. Może wspomnienia związane z tym miejscem były dla mnie zbyt intymne i nie chciałem z nikim się nimi dzielić? Dobrze, następnym razem Ania musi skosztować tego niebiańskiego przysmaku. W ten sposób definitywnie rozprawię się z tym, co było między mną a Alessią, czyli tak naprawdę z niczym, nie licząc smaku tej wspaniałej bitej śmietany.

Kiedy otwieram oczy, widzę wpatrzoną we mnie Laurę. Rumieni się, jakbym przyłapał ją na gorącym uczynku, szybko spuszcza wzrok i wraca do przerwanej pracy – opłukuje w zlewie filiżanki i wstawia je do zmywarki pod ladą. W lustrze wiszącym za jej plecami widzę, jak otwierają się szklane drzwi wejściowe i nie wierzę własnym oczom.

– Bato! Co ty tu robisz?

– Cześć, Nicco! Jak leci?

Bato to jeden z moich najlepszych przyjaciół. Jest nas pięciu, czasami sześcioro, gramy razem w nogę i w pokera, raz na jakiś czas chodzimy na męskie kolacje. Mówią o nas Budokańcy, bo kiedyś chodziliśmy razem na siłownię w okolicach Borgo Pio, która nazywała się Budokan, i w latach osiemdziesiątych była bardzo modna. Bato jest najelegantszy z nas wszystkich, nosi idealnie skrojone marynarki, zwężane spodnie i koszule od Brooks Brothers, które sprowadza z Los Angeles. Jego ojciec jest ważnym przedsiębiorcą i politykiem, oboje rodzice pochodzą z Neapolu, ale Bato urodził się w Rzymie.

Mocno ściska moją rękę, następnie przyciąga mnie do siebie i stykamy się klatkami, tak jak mają w zwyczaju witać się prawdziwi przyjaciele.

– Bato, co za niespodzianka!

Patrzy na mnie i uśmiecha się lekko, trochę zakłopotany.

– Jesteś sam?

– Tak, jasne...

Na chwilę ogarnia mnie dziwne uczucie, ale szybko mija.

– Zobacz, jakoś nigdy nie spotkaliśmy się w Regoli – mówię.

– Rzadko tu przychodzę, ale jutro są urodziny mojej mamy i chcę jej kupić cannoli[1], a podobno tutaj są bardzo smaczne.

– Cannoli akurat nigdy tu nie próbowałem, ale moim zdaniem w tej cukierni wszystko jest pyszne, ptysie, drożdżówki, ciasta, ale najlepsze są... – zniżam głos do szeptu, jakbym powierzał mu nie wiadomo jaki sekret – ...maritozzi. – To nasza, moja i Alessii, słodka tajemnica.

– W takim razie kiedyś spróbuję – wypowiada te słowa szybko, jakby chciał zmienić temat. Następnie zwraca się do Laury: – Poproszę osiem cannoli.

– Z kremem czy z ricottą?

– Z ricottą, te klasyczne sycylijskie, dziękuję. – Rozważa coś przez chwilę.

– I jeszcze dwie maritozzi. – Rzucił mi szybkie spojrzenie. – Cóż, zaintrygowałeś mnie, więc skoro już tu jestem... – Wzrusza ramionami, jakby chciał się usprawiedliwić.

– Zobaczysz, będą ci smakowały.

– Gruby nic ci nie powiedział?

– O czym?

– No weź, naprawdę nic nie wspomniał?

– Nie.

– Dziwne, myślałem, że wszystko sobie mówicie... Cóż, ja takiego newsa nie mógłbym zatrzymać dla siebie. Mój ojciec sprzedał prawie wszystko, to znaczy połowę firmy. Musiał zgarnąć kupę kasy, bo natychmiast kupił hotel i wyspę na Malediwach.

Oczekiwałem ciekawszej wiadomości, ale uspokajam się, bo nie uważam, że Gruby powinien był mnie o tym niezwłocznie poinformować. Ale megalomania Bato wymaga, by o sprawach związanych z jego rodziną wiedział od razu cały świat.

– Super!

– Jasne, że super, tylko że teraz ja i brat musimy zabrać się na poważnie do studiowania.

– No wiesz, zawsze możecie wyjechać na wyspę łowić ryby – troszkę sobie z niego kpię.

– W sam raz, by nakręcić reality show dla telewizji.

– Mogłoby być nawet zabawnie, no wiesz, kokosy, moskity...

– Czemu nie? I laski wliczone w cenę. Prawda jest taka, że pojedziesz tam na tydzień z dziewczyną, na tydzień z przyjaciółmi i masz dość... Proszę cię, mój ojciec jest nie z tego świata. Aż dziw bierze, że do tej pory nie zwiął z jakąś młodą dziunią i nadal jest z moją matką. A zresztą nigdy nic nie wiadomo.

Bato odbiera od Laury zamówione słodkości i płaci.

– Spikniemy się jakoś w tygodniu... Może zorganizujemy u mnie pokera.

– W przyszłym tygodniu mnie nie ma, wyjeżdżam z Grubym.

– Dokąd?

– Do Warszawy.

– No co ty! Gruby nic mi nie wspominał.

– Widzisz? Tobie też nie mówi wszystkiego.

Bato wybucha śmiechem, podaje mi rękę i znów mnie do siebie przyciąga.

– Zajebicie, stary, bawcie się dobrze.

Odprawiam go wzrokiem, gdy idzie do drzwi ze słodyczami w rękę, i myślę o wyspie, która gdzieś tam na niego czeka.

Jego ojciec, oprócz tego, że zajmuje się polityką, ma firmę, która produkuje dmuchane piłki we wszystkich możliwych rozmiarach. Jeśli miałbym zdecydować, na jakim biznesie nie da się zbić fortuny, wybrałbym właśnie ten. Teraz będą mieli „tylko” połowę firmy i za każdym razem, gdy zmęczy ich praca, pojedą na Malediwy, o ile własna wyspa zbyt szybko im się nie znudzi. Nie potrafię sobie wyobrazić niczego lepszego. A może jednak tak? Ja i Ania na pustej plaży w Ladispoli. Tylko my dwoje i szałas. Pałace słońce i nieposkromiona żądza. Mielibyśmy siebie nawzajem, nie potrzebowałbym luksusów, by być szczęśliwym z Anią.

Zupełnie odwrotnie niż Bato. W niektórych kręgach postawa, by być wiecznie niezadowolonym i niespełnionym, jest modna. Musisz być nieszczęśliwy, wymyślać problemy tam, gdzie ich nie ma, żeby być cool. Ja jestem z innej bajki, bo moje problemy są prawdziwe.

Zbieram się do wyjścia.

– Cześć, Nicco! – żegna mnie Laura zza lady. – Wpadnij od czasu do czasu. Nie znikaj na kolejny miesiąc.

– Pewnie... niebawem znów przyjdę. Miłego dnia!

Laura jest zawsze promienna, nie mógłbym jej powiedzieć, że powinna być smutna, bo to jest bardziej cool. Nie wiedziałaaby, o co mi chodzi. To bardzo konkretna dziewczyna, twardo stąpająca po ziemi, z piersią dumnie wypiętą do przodu. Jest niewątpliwie ładna, wydaje mi się również bardzo rzeczowa, nie obnosiłaby się ze złamanym sercem jak Kałuza. Nie chciałbym popełnić tego samego błędu... Co ja, kurwa, mówię? Uśmiechnęła się do mnie kilka razy, a ja sobie wyobrażam, że leży u mych stóp? Dziś jest chyba dzień samozadowolenia. Lepiej trochę wyhamować, bo będę musiał znaleźć sobie inne miejsce z maritozzi. Tak, muszę pamiętać, by nie wpakować się w kolejne sercowe kłopoty.

Natomiast kłopoty z pamięcią ma niewątpliwie Gruby. Dziwne, że nie wspomniał mi o Bato, jego ojcu i wyspie. Chociaż z drugiej strony, miał

ostatnio tyle na głowie, że trudno mu się dziwić. Przecież nie codziennie rzucają cię trzy dziewczyny jednocześnie! Jego dwie były i Paulina, przyjaciółka Ani. Wybucham śmiechem. Znam go i wiem, że mógłby siedzieć na Malediwach, i to na koszt właścicieli!

Nie wiem jeszcze, że sprawy mają się zupełnie inaczej.

4

Kiedy byłem mały, w Święto Zmarłych odwiedzaliśmy groby naszych przodków. Lubiłem wyobrazać sobie, kim byli ci ludzie. Pamiętam pewnego staruszka z długą brodą, który nazywał się Calippo, co bardzo mnie śmieszyło. W mojej dziecięcej wyobraźni był Świętym Mikołajem, który skończył na cmentarzu, wyczerpany dostarczaniem prezentów. „A gdzie są renifery?” – pytałem babcię. „Na cmentarzu dla zwierząt”, odpowiadała. Nie wiedziałem, gdzie taki cmentarz się znajduje, ale któregoś dnia, przejeżdżając obok zoo, zobaczyłem manifestantów z transparentami, na których widniał napis: „To jest cmentarz dla zwierząt”. Od tamtej pory byłem przekonany, że tam właśnie spoczywają renifery Świętego Mikołaja, i za każdym razem, gdy chodziliśmy ze szkołą do zoo, usiłowałem odnaleźć miejsce ich pochówku. Dziś zoo nazywa się Biopark, wszystkie zwierzaki żyją i zawsze jest tłum odwiedzających. Mimo to cmentarz cieszy się większym powodzeniem, jest miejscem, które prędzej czy później każdy z nas odwiedzi. Takie stwierdzenie mogłoby paść z ust mojego taty.

Kiedy docieram do skrzyżowania alejek, za którym pochowany jest mój tata, widzę przy jego grobie mamę i moje dwie siostry. Automatycznie wpycham głębiej do kieszeni list, który mu przyniosłem.

– Nie wierzę własnym oczom, spotykamy się wszyscy w jednym miejscu – cieszę się.

– Dobrze powiedziane... – mówi moja mama i zaczyna cichutko szlochać. Valeria wzdycha, a Fabiola przytula mamę.

– Mamo, spróbuj zobaczyć dobre strony, to jest nawet zabawne...

– Przepraszam, ale co jest zabawnego w tym, że wszyscy spotykamy się na cmentarzu? – wtrąca się natychmiast Valeria.

Jej słowa wypowiedziane na głos brzmią zabawnie, więc mama mimowolnie się uśmiecha. Po chwili na przemian śmieje się i płacze, a my zaczynamy jej wtórować. Wszyscy czworo wybuchamy niekontrolowanym śmiechem i rozglądamy się, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś nas nie

obserwuje. Z pewnością nasze zachowanie mogłoby zostać odebrane jako brak szacunku dla tego miejsca i trudno byłoby się z tym nie zgodzić. Bierzymy się za ręce i przytulamy. Powoli poważniejemy. Obejmujemy się jeszcze mocniej, a wokół nas zapada cisza. Wreszcie odsuwamy się od siebie i patrzymy na grób taty.

Valeria wstawia do wazonu białe i niebieskie kwiaty. Fabiola natychmiast układa je po swojemu. Odsuwa odrobinę jedne od drugich, jakby to coś zmieniało, jakby w jakiś sposób mogło zapełnić pustkę, jaką odczuwamy.

Teraz podchodzi mama z dzbankiem, który gdzieś znalazła i napełniła wodą. Nalewa ją do wazonu i odstawia dzbanek. Przyglądam się tej surrealistycznej scenie.

Mama odzywa się pierwsza:

– Nigdy nie spotkałam tu nikogo z was, a dzisiaj proszę, całą trójkę.

– Nie przyszłyście razem? – pytam zaskoczony.

– Nie. Zadzwoiłam do mamy i kiedy powiedziała mi, że wybiera się na cmentarz, postanowiłam do niej dołączyć – mówi Fabiola tak, jakby się usprawiedliwiała.

– Natomiast ja byłam na uniwerku i nagle poczułam potrzebę przyjścia tutaj. – Valeria wzrusza ramionami. – Nie pytajcie dlaczego.

– Skoro wszyscy znaleźliśmy się tutaj przypadkiem, może jest jakiś powód.
– Mama gładzi imię taty wygrawerowane na płycie nagrobnej. – Może chce nam coś powiedzieć.

Zgniatam list do taty, który mam w kieszeni, robię z niego kulkę i zaciskam na niej dłoń. Zbieram się na odwagę i mówię:

– Wyjeżdżam do Polski.

– Jak fajnie! Na długo? – W głosie Fabioli słychać radość.

– Nie napalaj się, przecież wiadomo, że nigdzie nie pojedzie. – Valeria reaguje z typowym dla siebie rozgoryczeniem.

– Kiedy? – Mama jest jak zawsze konkretna.

– Za dwa dni. Jadę z Grubym. Wygrałem zdrapkę i postanowiłem przeznaczyć wygraną właśnie na tę podróż – tłumaczę siostram, które o niczym nie wiedzą.

– Świetny pomysł. Gdyby nie macierzyńsko-mażeńskie zobowiązania, podróżowałabym przez cały czas – żartuje Fabiola.

Valeria wpatruje się we mnie przenikliwie.

– Do Polski, co? – Z pewnością pomyślała o Ani, ale nic nie mówi.

– Tak, do Warszawy.

– Jeśli spotkasz jakąś lokalną gwiazdę, to zrób sobie z nią zdjęcie.

– Jasne.

– Albo ożeń się z jakąś, najlepiej ładną, znaną i bogatą!

– Zrób mnóstwo pięknych zdjęć i nam przyślij.

– Dobrze, będę je robił z myślą o tobie.

Mama nic nie mówi, dopiero po chwili podnosi na mnie wzrok.

– Opuszcza nas głowa rodziny – stwierdza.

– Mamo, nie będzie mnie tylko przez tydzień, nawet nie zauważysz. –
Przytulam ją.

– Zauważam nawet, gdy nie ma cię na kolacji. – Stoimy tak obok siebie w milczeniu, po raz pierwszy od pogrzebu taty razem.

– Nigdy nie byliśmy z twoim ojcem w Polsce, choć wiele razy myśleliśmy, żeby tam pojechać. – Mama wzdycha.

Krew odpływa mi z twarzy, nie wiem, co powiedzieć, nadal ją obejmuję, a oczy zachodzą mi łzami. Przepęlnia mnie niewyobrażalny ból na myśl o tym, że to marzenie nigdy się nie spełni, moi rodzice nigdy nie będą mieli okazji pojechać razem dokądkolwiek.

Ale, tato, obiecuję, że po powrocie wszystko ci opowiem. Nie napiszę listu, tylko przyjdę i opowiem.

5

Dzień przed wyjazdem czuję się jak zawieszony w próżni: czy pożegnałem się ze wszystkimi? A jeśli nie wrócę? Czy wszystko spakowałem? Kręcę się po mieszkaniu, otwieram szafę, wydaję kilka podkoszulków, dwa ulubione swetry, granatowy i pastelowy niebieski. Są trochę za duże, ale bardzo wygodne i dobrze się w nich czuję.

Pakuję dwie białe koszule, trzy błękitne, trzy w prążki i dwie w kratkę, granatową marynarkę, dwie pary dżinsów i bardziej eleganckie jasnoniebieskie spodnie, dwie pary sportowych butów i mokasyny. Może będzie okazja, by je włożyć.

Ciekawe, co powiedziała by tata na wieść o tej podróży. Jakiś czas przed jego śmiercią zauważyłem, że poruszam rękami tak samo jak on. Któregoś wieczoru powiedziałem o tym Alessii. Odrzekła wtedy, że mężczyzna starzeje się, gdy zaczyna dostrzegać podobieństwa między sobą a ojcem. Zauważyła, że posmutniałem, i mnie przytuliła.

– Dla świata możesz być tylko zwykłym człowiekiem, ale dla mnie jesteś całym światem – powiedziała i objęła mnie jeszcze mocniej. Nie wiem, jak udało mi się powstrzymać łzy. Miałem ochotę wybuchnąć płaczem, by pokazać, jak bardzo poruszyło mnie jej wyznanie, jak bardzo ją kocham, ale nie potrafiłem.

Kiedyś przez przypadek zobaczyłem to zdanie w internecie, jego autorem jest Gabriel García Márquez. Alessia przytoczyła jego słowa, nie mówiąc mi o tym. Poczułem się, jakby coś we mnie zgasło, zrozumiałem, że w naszej relacji czegoś brakuje, że jestem z kimś, kogo być może wcale nie znam. Chciałem, by mówiła do mnie swoimi słowami, a nie słowami innych. Zresztą nie w tym tkwi problem, przecież to noblista, ale dlaczego mnie oszukała? Tamtego dnia oglądaliśmy w telewizji *X Factor*. Mimo że siedzieliśmy obok siebie na kanapie, czułem, że się oddalamy. Patrzyłem na nią i miałem ochotę spytać, dlaczego powiedziała mi te słowa, chociaż nie były jej, tylko Márqueza. Może byśmy się z tego uśmiali, może zdecydowali, że naszemu

synowi damy na imię Gabriel. Tymczasem po raz kolejny nic nie powiedziałem.

– Widziałeś, jak doskonale radzi sobie Mika? I jaki przystojniak z niego. Nie będziesz chyba zazdrosny? Z tego, co wiem, prędzej poleciałby na ciebie niż na mnie. – Alessia roześmiała się, patrząc na mnie.

W tamtym momencie myślałem o wszystkim innym, tylko nie o Mice i jego udziale w *X Factorze*.

– Wiesz, że zakasował wszystkich kawałkiem, który nazywa się *Grace Kelly*? Co się dzieje? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Jesteś śliczna – powiedziałem, a ona lekko się zarumieniła.

– Zawstydzasz mnie, kiedy tak mówisz. – Wróciła do oglądania programu, podrygując w rytm muzyki.

Kiedy opowiedziałem w domu o Alessii i słowach Márqueza, które stały się moją solą w oku, każdy zareagował w typowy dla siebie sposób.

– Przepraszam, ale czy nie mogła pomyśleć tak samo? Może po prostu przyszło jej do głowy podobne zdanie. Nawet nie użyła tych samych słów. – Valeria próbowała bronić Alessii.

– Użyła dokładnie tych samych słów.

– Jasne, jak zwykle wszystko wiesz najlepiej. Po co w ogóle pytasz mnie o zdanie... – prychnęła i poszła do swojego pokoju, trzaskając drzwiami. Cóż, z Valerią tak jest. Albo ona ma rację, albo... ona ma rację!

– Naprawdę ma to dla ciebie tak duże znaczenie? – Tata przewrócił naleśnik na drugą stronę i spojrzał na mnie uważnie, co wprawiło mnie w zakłopotanie.

– Nie o to chodzi, chciałem po prostu poznać wasze zdanie na ten temat. Popełniła plagiat czy nie? Nie jesteśmy przecież na procesie – zaprotestowałem, udając, że chodzi o kwestie uniwersalne, a nie osobiste.

Mamie i mojej starszej siostrze Fabioli nawet o tym nie wspomniałem, od razu oskarżyłyby Alessię, bo nigdy za nią nie przepadały. Teraz nie ma to już dla mnie żadnego znaczenia... Martwię się raczej, czy odnajdziemy Anię i Paulinę. Gruby zapłacił portierowi z hotelu, w którym dziewczyny zatrzymały się podczas pobytu w Rzymie, by dowiedzieć się, jaki adres podała Ania. A jeśli portier przekazał mu złe zamiary? Pomyślał, że najwyżej wysłemy im

pocztówkę czy prezent, nie przyszło mu do głowy, że pojedziemy szukać ich w Polsce.

Cóż, nawet jeśli ten adres nie istnieje, jest mi lżej. Mówi się, że każda podróż to ucieczka bądź odkrycie. Jeśli nie odnajdę Ani, może odkryję samego siebie.

Idę do pokoju Valerii, gdzie trzymamy na pawlaczu walizki. Wchodzę na krzesło i na widok torby podróżnej taty, która leży na samym wierzchu, ściska mi się serce.

Zdaję sobie sprawę, jak bardzo zmieniło się moje życie od jego śmierci. Brakuje mi go, jego mądrości ukrytej pod maską sarkazmu, która pozwalała mi lekko rozwiązywać problemy.

Tata uśmieł się z tej historii z Alessią i Márquezem. Powiedział coś w stylu: „Synu, skoro dziewczyny doprowadzają cię do takiego stanu, może lepiej byłoby ci z facetami. Mógłbyś nie myć się przez kilka dni i nikt nie zwróciłby na to uwagi”. Takie podejście miał mój tata do moich niezliczonych problemów. Podobnie było, gdy dostałem pałę z matmy i następnego dnia nie chciałem iść do szkoły.

– Daj spokój, pokaż im, że jesteś dobry z tabliczki mnożenia i następnym razem przynieś szóstkę!

– Tato, nic nie rozumiesz...

Uśmiecham się w myślach na tamto wspomnienie. Przyglądam się walizce ojca, jest z brązowego materiału ze skórzanymi lamówkami. Wciągam odległy zapach jego wody kolońskiej.

Błyskawicznie podejmuję decyzję: chcę podróżować właśnie z tą walizką, w ten sposób zabiorę tatę do Polski.

Otwieram szerzej drzwiczki pawlacza, by wyjąć walizkę i przy okazji nie rzucić na podłogę pozostałych toreb, i mój wzrok przykuwa leżące w głębi białe pudełko z różową kokardą. W takie pudełka pakuje się na ogół albumy na zdjęcia, które wręcza się z okazji ślubu lub narodzin dziecka. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek je widział. Zaciekawiony zdejmuję pudełko z pawlacza i stawiam na biurku.

W środku znajduje się duży skórzany album w wiśniowym kolorze. Trochę jaskrawy ten kolor jak na ślubną pamiątkę. Na pierwszej stronie widnieje

zdjęcie Valerii z tatą. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Są też pierwsze zdjęcia mojej siostry, każde podpisane niewprawnym charakterem pisma małego dziecka.

Mój pierwszy pocałunek – mówi podpis pod fotografią, na której widnieje maleńka Valeria na rękach bardzo młodego taty. Patrzy na nią z miłością, przytula lewą ręką do piersi, pochylając się nad jej zarumienioną twarzyczką. Musiała zrobić je mama albo wujek czy jakiś znajomy. Raczej nie ja, byłem jeszcze za mały.

Przeglądam album i poszczególne etapy życia Valerii, którym towarzyszył tata.

Moje pierwsze kroki, Moje pierwsze Boże Narodzenie, Moje pierwsze świececzki, Pierwszy dzień w przedszkolu. Na ostatnim zdjęciu tata przycupnął koło przedszkolnej ławki, z jego oczu bije optymizm, nie ma wątpliwości, że jego córeczkę czekają w życiu same dobre chwile. Z pewnością myśli, że zawsze przy niej będzie i zawsze ją ochroni. Każdy ojciec tego pragnie. Chce widzieć, jak dzieci rosną, uczą się, kończą studia, idą do pracy. Potem widzi, jak idą do ołtarza, i zamierza pomagać przy wnukach, lecz przeznaczenie często chce inaczej. Ciekawe, jakim dziadkiem byłby tata.

Przeglądam kolejne zdjęcia Valerii, na których uwieczniono beztrioskie chwile jej dzieciństwa. Na jednym wkłada palec do urodzinowego tortu, na drugim siedzi na kolanach taty w samochodzie i z całych sił ściska kierownicę, jakby chciała ją wyrwać, a tata patrzy na nią pełen wiary w jej umiejętności.

Tata darzył Valerię wyjątkowym uczuciem, w ich relacji było coś niezwykłego. Ona zawsze o tym wiedziała. Jest i zdjęcie z jej osiemnastych urodzin z następującym podpisem: *Najpiękniejsze urodziny w moim życiu... z moimi dwiema miłościami, tatą i Giorgiem. Coś mi jednak mówi, że miłość do Giorgia nie przetrwa.*

Tak też się stało, Valeria zostawiła go niedługo potem. Moja siostrzyczka zawsze działa pod wpływem impulsu, cierpliwość nie jest jej mocną stroną. Już jako mała dziewczynka, gdy sprawy układały się pomyślnie, czy później, kiedy jakiś chłopak się w niej zakochał, szybko go rzucała: potrzebowała walki, kłótni i ekstremalnych emocji, by chcieć z kimś być. Tata uwielbiał tę cechę jej charakteru, chociaż często ją podpuszczał.

– Może znalazłabyś sobie jakiegoś chłopaka, który ma knajpę?

– Dlaczego?

– Pomyśl, jak byłoby ekstra, wyciągnąć wszystkie talerze z szafek i...

– Tato! Zwariowałeś?! Nic nie rozumiesz!

– Nie mówi się do własnego ojca, że zwariował... Poza tym, dlaczego ty i twój brat ciągle mówicie, że nic nie rozumiem? Jeśli mam inne zdanie, to znaczy, że nie rozumiem?

Valeria uwielbiała ich niedorzeczne dyskusje, podczas których wygłupiali się i śmiali, mówili o wszystkim pół żartem, pół serio, a ona miała okazję pokazać swoje waleczne oblicze. Potem rzucała się do ucieczki, a tata gonił ją po mieszkaniu, aż w końcu chwycił mocno w ramiona i zasypywał pocałunkami.

Na zdjęciu, na które teraz patrzę, Valeria leży z potarganymi włosami na podłodze, przytrzymywana przez tatę. Podpisała je tak: *Ja, mała więźniarka... uwolnij mnie, tato!*

Pod spodem widnieje dopisek, ewidentnie zrobiony niedawno: *Oddałabym wszystko, by znów móc być Twoim więźniem.*

Te słowa sprawiają, że czuję ucisk w sercu i szybko wracam do rzeczywistości. Wpatruję się mokrymi od łez oczami w rozpaczliwe pragnienie Valerii, które wyraziła pod zdjęciem.

Mnie nigdy nie udało się wyznać mojego pragnienia nikomu, chociaż oddałbym wszystko, by znów uściskać tatę i by on mnie przytulił.

Wzdycham i przewracam ostatnią kartę w tej nieśmiałej podróży do krainy szczęścia, której już nie ma. To, co widzę, przechodzi moje najśmielsze wyobrażenia. Pod bibułą, która zamyka album, leżą moje listy. Oniemiały biorę je po kolei do ręki. Wszystkie rozpoznaję. Drżącymi dłońmi otwieram jeden z nich i zaczynam czytać.

Chcesz wiedzieć, co u mnie nowego? Rozstałem się z Alessią. No dobra, wiem, że chciałbyś powiedzieć: A nie mówiłem, ale nie zrobisz tego, bo wiesz, że nie znoszę ludzi, którzy tak mówią. Poza tym nigdy nie usłyszałem od Ciebie takich słów... Może dawałeś mi delikatnie coś do zrozumienia, jak to miałeś w zwyczaju, by nikogo nie urazić...

Otwieram pozostałe listy, czytam wybiórczo, niektóre zdania znam na pamięć. Obracam w rękach kolejną kopertę – tej sobie nie przypominam, jest

z cienkiego liliowego papieru. Wyjmuję z niej list, ale charakter pisma nie jest mój: samogłoski lekko pochylone, wciśnięte między proste spółgłoski, i teraz już wiem, że autorką jest Valeria.

Znów pokłóciłam się z Nicco, a mimo to go uwielbiam. Przeważnie nie daję innym dojść do głosu, atakuję ich, by uniknąć pytań, żebym nie musiała się tłumaczyć, ja, najmłodsza z całej rodziny. Czy nie mam prawa do własnego zdania? Czy moje przemyślenia są płytsze, bo jestem najmłodsza? Jak mogę rywalizować z Nicco i Fabiolą? Nie ma we mnie zawiści, wręcz przeciwnie, jest podziw, który skrywam pod maską niezadowolenia i złości. Czułabym się głupio...

Słyszę hałas za plecami, lekkie skrzypnięcie otwieranych drzwi. Trudno zdecydować w ułamku sekundy, jak się zachować. Valeria patrzy na moje ręce, w których trzymam jej list, i blednie. Nie mam innego wyjścia, jak powiedzieć prawdę.

– Szukałem walizki taty.

– Przywieziesz mi jakąś ładną koszulkę z Warszawy? – pyta jak gdyby nigdy nic. Stawia torbę na biurku.

– Przywiozę ci, co tylko zechcesz.

– Chcę koszulkę.

Odwraca się do mnie plecami. Przytrzymuję ją i biorę za rękę.

– Dlaczego zawsze musisz grać taką twardzielkę?

– Ja jestem twardzielką. – Nadal stoi do mnie tyłem.

– Przestań, przeczytałem twój list.

– Ciągłe słyszę od was, że jestem cyniczna i bezlitosna. – Stoi nieruchomo i nie zamierza spojrzeć mi w oczy.

– Jesteśmy w błędzie.

Przez chwilę nic nie mówi. Zaczyna drżeć, wstrząsana szlochem. Usiłuję odwrócić ją do siebie, ale nie chce, kręci głową.

– Nie potrafię inaczej.

– W porządku. – Przez chwilę stoimy nieruchomo.

Wreszcie Valeria odwraca się do mnie z oczami pełnymi łez i zaczyna mówić:

– Chciałabym być inna, czasami wydaje mi się, że nie jestem sobą. Jestem tą, na którą wszyscy się złością, tą złą, ale ja jestem inna.

Wybuchła płaczem, nad którym nie potrafi zapanować. Rzuca mi się na szyję, a ja nie wiem, co robić, gdy moja siostra płacze w moich ramionach. Obejmuję ją mocno i głaszczę po włosach.

– No już, Vale, uspokój się, potrafisz narozrabiać, ale nie jesteś zła...

– Tak bardzo tęsknię za tatą.

Nie wiem, jak zareagować na to wyznanie, też mam ochotę się rozplakać, ale wiem, że to nie jest dobry moment, bo teraz muszę wspierać Valerię.

– Nie podejrzewałem, że zabierałaś moje listy.

– Myślałaś, że to Fabiola?

– Ma fioła na punkcie porządku, ściera kurz nawet z rachunków, więc dlaczego nie miałyby sprzątnąć sterty listów?

Valeria zaczyna się śmiać, oczy ma jeszcze mokre od łez, więc trochę się śmieje, a trochę pociąga nosem.

– Masz rację. Witajcie w idealnym świecie panny Fabioli, gdzie wszystko ma swoje miejsce i każdy ma robić to, czego ona sobie życzy. Jedyna nieomylna! Chciałabym, żeby chociaż raz popełniła jakieś głupstwo, i nie mówię tego z zawiścią. Po prostu taka wpadka nadałaby jej ludzkie cechy! Sama nie wiem, co by to miało być, niechby chociaż wdepnęła w kałużę!

Śmiać mi się chce na myśl o tym, że moja starsza siostra, zawsze z idealnie ułożonymi włosami i na dwunastocentymetrowych szpilkach, wpada do kałuży albo ląduje w błocie... Gdyby tylko Valeria wiedziała, co pedantka Fabiola kombinuje w swoim życiu, dostałaby zawału. Otóż ona, zawsze tak lubiąca oceniać innych, znów zaczęła spotykać się z dawną szkolną miłością. Ale ponieważ mam na uwadze zdrowie Valerii, nic nie mówię.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmia poważnym tonem. Odsuwa się ode mnie i patrzy mi w oczy.

– Nie mogę uwierzyć, że taty już nie ma. Zaczynam wariować, brakuje mi tchu. Myślę, że mam ataki paniki.

– Ja też bardzo za nim tęsknię – wyznaję szeptem.

Oddycham głęboko i nagle coś we mnie pęka. Valeria mnie przytula

i bezwiednie zaczynam płakać wtulony w jej ramię. Teraz ja potrzebuję wsparcia, ona o tym wie, już nie płacze. Pomału zaczyna odnajdywać swoje miejsce w naszej rodzinie, w życiu. Ale to trwa tylko chwilę. Odsuwa się ode mnie i wraca dawna Valeria. Wiem, że w ten sposób chce mi pomóc.

– Baw się dobrze w Warszawie. Zazdroszczę ci tego wyjazdu, wiesz? – Puszczam do mnie oko, nie musi dodawać nic więcej. Odwracam się do niej plecami, wycieram oczy ręką koszuli i rozmawiamy, jakby nic się nie stało.

– Nawet jeśli przez Grubego wyląduję w pace? – żartuję, by rozładować napięcie.

– Może wtedy lepiej zrozumiesz, jak się czuję. Mogę do ciebie zadzwonić, jeśli będę miała atak paniki? – Głos ma poważny, a w oczach czai się obawa.

– Może lepiej nie. Potem ja dostanę ataku paniki na widok rachunku za telefon! – Wybuchamy śmiechem, pomału uchodzi z nas całe napięcie. Biorę Valerię w ramiona i kręcę się z nią. – Zatańcz ze mną panienka? – pytam uroczyście.

– Kawaler wybaczy, ale tata nauczył mnie, że nie tańczy się z nieznajomymi – odpowiada Valeria ze śmiechem.

Patrzemy sobie w oczy.

Podnoszę wzrok i za plecami Valerii widzę mamę, która stoi w drzwiach i nam się przygląda. Jest taka smutna, w jej oczach maluje się ból, którego nic nie jest w stanie ukoić. Potem spogląda na swoją córkę, która zastygła w moich ramionach w dziwnej pozie, z jedną nogą w górze, podczas nieudolnej próby tańca, i lekko się uśmiecha. Rozumie, że wszyscy prędzej czy później będziemy musieli pogodzić się tym, że życie toczy się dalej.

– Kiedy wrócisz, może się okazać, że będę kimś zupełnie innym, że bardzo się zmienię – mówi Valeria, która niczego nie zauważyła.

– Masz na myśli to, że zapiszesz się na kurs i wreszcie nauczysz się tańczyć? – żartuję.

Znów spoglądam na drzwi, ale nikt już w nich nie stoi.

6

Z paszportem w ręku idę otworzyć drzwi. Ledwie je uchylam, Gruby wyrywa mi go z ręki.

– Zapomniałeś? Przecież po Unii Europejskiej jeździ się z dowodem osobistym[2]!

Wyjmuję z portfela dowód, Gruby też mi go wyrywa i uważnie ogląda.

– Stracił ważność – stwierdza. – Musisz wyrobić sobie nowy. A czasu jest mało. Jak mogłeś o tym nie pomyśleć! Jesteś, kurwa, nieprzytomny! No, ale coś poradzimy.

Wyjmuje komórkę i do kogoś dzwoni.

– Trzymaj kciuki, Nicco... i złap się za jaja! – mówi Gruby, chowa mój dowód do kieszeni i wychodzi.

Na szczęście ma znajomości i może zaradzić mojemu niedopatrzaniu. Mam nadzieję, że to zgodne z prawem. Wzdycham z ulgą – gdyby nie on, miałbym przerąbane.

Zamykam drzwi. Gruby niedawno rozstał się z dwiema dziewczynami, które przez ponad rok były całym jego życiem, no, prawie całym, bo w międzyczasie poderwał jeszcze tę barmankę Lucię. Jak można kochać dwie kobiety jednocześnie? Kochać, nie sypiać z nimi.

Przeważnie sprawy mają się tak: chodzisz z dziewczyną, dopóki ta nie zaczyna zawracać ci dupy, potem przychodzi zniechęcenie, kłótnie i w końcu znajdujesz sobie następną. Na początku wydaje ci się, że to ta jedyna, ideał, który ratuje ci życie. Po jakimś czasie okazuje się, że zawraca dupę bardziej niż ta poprzednia.

Przynajmniej tak działo się za każdym razem w reality show *Mężczyźni i kobiety*, który musiałem oglądać z Alessią. Nie wspominając o *Modzie na sukces*, gdzie wszyscy łączyli się w pary w dowolnych konfiguracjach, mimo że często byli spokrewnieni, i nie bardzo można było dopatrzeć się logiki w ich poczynaniach. Nie mam pojęcia, jak Alessia mogła śledzić któryś tam

milionowy odcinek. Może taka wytrwałość powinna wzbudzić moje podejrzenia, ale nigdy nie byłem dobry w szukaniu drugiego dna. Nadal nie wiem, jak rodzą się uczucia, zwłaszcza jeśli dotyczą mnie samego.

Generalnie w telewizji jest tak, że gdy A i B przestają się dogadywać, A zaczyna spotykać się z C.

Ale Gruby oczywiście nie mieści się w żadnym schemacie, umawiał się jednocześnie z dwiema dziewczynami, Beatrice i Deborah, i obydwie kochał tak samo.

Zdarzenia następowały po sobie w tej samej kolejności: randka, namiętność, pierwszy ważny prezent, pierwsze miłosne wyznanie, pierwsze kłótnie i pierwsza zdrada: obie zdradził z trzecią!

Gruby prowadził dwa równoległe żywoty. Ileż to zamieszania, ileż energii, jakie wyzwanie! Każda sprawa wymagała podwójnego nakładu pracy. Prawdą jest również, że obie rzuciły go jednocześnie, odkrywszy nie tylko, że zdradzał jedną z drugą, ale że na dodatek spotykał się z cudzoziemką. No cóż, mój najlepszy kumpel przedobrzył i jego kolejna zdobycz, czyli Paulina, była kroplą, która przelała czarę goryczy. Ale niech ktoś spróbuje mu to wypomnieć! Usiłowałem dowiedzieć się od niego, na co była mu Polka w i tak już skomplikowanej życiowej sytuacji, w której się znalazł. Wiecie, co odpowiedział? Że ona się nie liczyła, bo jej nie kochał. Co do dwóch pozostałych, utrzymuje, że obie kochał tak samo mocno.

Szkoda gadać. Zaczynam układać w walizce taty ubrania, które rozłożyłem na łóżku. Dorzucam granatową bluzę z wyhaftowaną deską surfingową i napisem „Venice Beach”. Spokojnie można by mnie wziąć za surfera ze słonecznego Los Angeles, tymczasem lecę do Warszawy i nie potrafię pływać na desce.

Chyba wziąłem za dużo ciepłych ubrań. A jeśli będzie upał? Przecież latem w Warszawie bywa gorąco jak w piekle. Zanim dorzucę inne ciuchy i okaże się, że moja walizka waży sto kilogramów, postanawiam sprawdzić prognozę w internecie. Od temperatury przechodzę do wilgotności, następnie do informacji na temat podróży. Nagle, sam nie wiem jak i dlaczego, jestem na Facebooku na stronie Alessii. Zmieniła zdjęcie profilowe.

Nie mogę się oprzeć. Czytam wszystko, co napisała, i przeglądam jej zdjęcia. Facebook jest zbyt kuszący, został chyba wymyślony specjalnie po to,

by można było śledzić innych, a w moim przypadku, obserwować z daleka. Wchodzę w jej życie, w którym nie ma mnie już od kilku miesięcy.

Na zdjęciach jest uśmiechnięta, robi z przyjaciółkami miny do telefonu. Zamieściła jeden filmik, fragment serialu *Tutti pazzi per amore* oraz dwadzieścia sześć zdjęć z Instagramu, który potrafi zrobić piękność nawet z brzyduli, ale ona akurat byłaby śliczna nawet na odbitkach ze starego polaroidu. Na jednym z ujęć stoi na balkonie, na innym idzie w oddali plażą, na następnym widać ją z bliska od pasa w górę, raz uśmiechnięta, raz smutna, to znów poważna i rozbawiona, odgarnia z czoła niesforny kosmyk włosów. Pozeram wzrokiem jedno zdjęcie po drugim i na każdym widzę tylko ją. U jej boku nikt nie stoi.

Dla mnie liczy się tylko ona. Nie ma nikogo poza Alessią. Nagle czuję ucisk w gardle, który przechodzi przez całe moje ciało, aż do żołądka, i zastanawiam się, kto zrobił jej te wszystkie zdjęcia, do kogo należą te chwile jej życia, których tak bardzo mi brakuje, kto zajął moje miejsce?

Swoje pytanie pozostawiam bez odpowiedzi i zdecydowanym kliknięciem zamykam Facebooka, nie chcę odkryć prawdy. Wyłączam komputer, mam ochotę rzucić nim o ziemię, ale w tej samej chwili dostaję SMS-a. Otwieram wiadomość pełen nadziei, że może to znak, głos przeznaczenia, że Alessia zmieniła zdanie i postanowiła podesłać mi swoje zdjęcie lub specjalnie dla mnie wybraną piosenkę, by powiedzieć mi, że... Co ja gadam!

„Dowód załatwiony, Warszawa czeka na nas, bracie”.

Ach, ten Gruby. Ale trzeba przyznać mu rację – lepiej patrzeć przed siebie. Czasami przeszłość nas przytłacza, zwodzi. Ukazuje fakty w lepszym świetle, wspomnienia zakrzywiają rzeczywistość, upiększają ją. Myślisz, że tak bardzo zależy ci na twojej byłej. A zależy ci tylko dlatego, że jest twoją byłą, nie pamiętasz już nudy, niekończących się kłótni, ostatnich ciężkich tygodni przed rozstaniem. Nadal chcesz z nią być, ale jestem pewien, że gdybyście do siebie wrócili, zostawiłbyś ją. Jak dobrze jest mieć takie przebłyski świadomości! Gruby nawet nie wie, że ratuje mi życie. Myślę o Ani, o jej beztróskim śmiechu, o jej urodzie, o tym, jak lubiłem się z nią spotykać, jak bardzo za nią teraz tęsknię i jak bardzo chciałbym ją pocałować, i że wkrótce będę w Warszawie... Tak, znów ją zobaczę, wszystko może się jeszcze wydarzyć, jest tyle do odkrycia i przeszłość nie może pokrzyżować mi planów.

Aniu, jadę do ciebie.

7

Obserwuję reklamy, szyldy, ludzi stojących na przystankach i próbuję zająć się czymś innym, nie słuchać go, ale to niemożliwe. Odkąd wyruszyliśmy, usta mu się nie zamykają.

– ...dziś w ogóle nie wiadomo, o co chodzi. Co miał zrobić Marino? Zmienić wszystko, prawda? A co zrobił? Nic. Absolutnie niczego nie zmienił, no to przepraszam, ale trzeba było znowu głosować na Alemanna, który przynajmniej dla nas, taksówkarzy, coś zrobił...

– Aha...

Odkąd wsiadłem pod domem do taksówki, w kółko odpowiadam „aha”, już chyba ze trzynaście razy. Jestem zaspany, brakuje mi tylko rozpolitykowanego taksówkarza! Mógłbym udawać, że śpię, ale pewnie by mnie obudził, poruszając kolejny temat. Moim zdaniem niektórzy taksówkarze uprawiają ten zawód tylko po to, by rozmawiać z klientami i zarzucać ich pytaniami.

– Uważam, że jedyna dobra robota, jaką wykonali, to budowa przejścia podziemnego od Gemelli do Olimpico, chociaż generalnie zrobili nas w konia, ale przynajmniej jest z tego jakiś pożytek. Nie sądzi pan?

– Aha. – Czternasty raz.

– Wiedziałem, że się pan ze mną zgodzi!

Patrzy na mnie we wstecznym lusterku, nie odwzajemniam uśmiechu, mam dość. Alternatywą był pociąg ze stacji Termini, ale na dworzec i tak musiałbym przyjechać taryfą, ryzykując spotkanie z innym taksówkarzem, na przykład kibicem piłkarskim, który koniecznie chciałby porozmawiać o meczu Roma – Lazio. Mogłem również skorzystać z propozycji szwagra, męża Fabioli, który na wieść o moim wyjeździe zaproponował, że odwiezie mnie na lotnisko.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytał.

– W poniedziałek.

– Naprawdę? W poniedziałek jadę do Civitavecchia! Jak chcesz, pojedę

przez Fumicino i cię podrzucę.

– Nie trzeba. Podwiozą nas rodzice Domenica – skłamałem. Dziwnie się czuję, nazywając Grubego po imieniu.

Fabiola natychmiast wtrąca swoje trzy grosze:

– Vittorio, jedziesz za wcześnie, będzie musiał czekać długo na lotnisku. Ale miło, że spytałeś...

Fabiola patrzy na męża z czułością, widać, że tą propozycją zrobił jej przyjemność. A może ewentualność, że mogłaby go stracić, sprawiła, że spojrzała na niego bardziej przychylnie? Jedno jest pewne: Vittorio miałby do mnie znacznie więcej pytań niż ten taksówkarz.

– Gdzie mam się zatrzymać?

– Terminal piąty.

– Leci pan za granicę... Pozazdrościć.

– Tak... Służbowo.

Nie wiem, dlaczego kłamię. Jakbym musiał się usprawiedliwić, że wyjeżdżam na krótkie wakacje. Żeby uniknąć dalszych pytań, wydaję komórkę i wybieram numer.

– Rozumiem. – Patrzy na mnie we wstecznym lusterku i kiwa głową, a ja słyszę głos Grubego:

– Halo?

– Jesteś na miejscu? Wsiadam z taksówki.

– Gdzie na miejscu? Jestem w domu.

– Jak to „w domu”?! Przecież masz mój dowód! Nie zdążysz, są straszne korki! – wydieram się do telefonu, trzymając go między policzkiem a ramieniem i jednocześnie wydając pieniądze z portfela. – Wiedziałem, że tak będzie! Przecież proponowałem, że po ciebie podjadę! Co teraz zrobimy!? – pytam zdenerwowany.

– Popsuła się pralka, czekam na technika, ale nie wiem, kiedy będzie...

– Pralka?! Nie możesz jej naprawić po powrocie?! Nie może poczekać na niego twoja mama?

– Moja mama? Nic nie wiesz? Straszna sprawa, uciekła z panem od

lodówki...

Po chwili słyszę śmiech Grubego.

– Naiwniak z ciebie! Od pół godziny czekam przy stanowisku odprawy, pośpiesz się.

Żart Grubego musiał spowodować spadek cukru w moim organizmie, bo drżą mi dłonie. Taksówkarz wsiada do samochodu i odjeżdża. Przez automatyczne drzwi wchodzę do hali odlotów i natychmiast osacza mnie zgiełk zatłoczonego lotniska, zaczynam biec, podobnie jak setki ludzi wokół mnie. Niektórzy wyglądają nawet na zadowolonych, że muszą się spieszyć.

Gdy docieram do stanowiska odprawy, jestem wyczerpany, ale oddycham z ulgą.

– Masz nie po kolei w głowie! O mało nie dostałem zawału, niewiele brakowało, a leciałbyś sam! – Macham mu przed nosem biletami.

– Super! Tak się cieszę, że jedziemy, chodź, uściskam cię! – mówi rozpromieniony Gruby i mocno mnie obejmuje. – Wiesz, że po tym, co przeszedłem z tymi dwiema pannami, potrzebny mi taki wyjazd?

– Nie wątpię.

– Mówię poważnie, ty sobie żartujesz, ale dla mnie cała sytuacja była strasznie stresująca.

– Pomyśl, jak wyglądały, gdy się spotkały i odkryły, że przez jakiś czas były z tym samym mężczyzną, że dostawały te same prezenty, że jadały w tych samych restauracjach, że jeździły na wakacje w te same miejsca...

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz... Po czyjej jesteś stronie? Jesteś moim przyjacielem czy ich?! – Gruby spogląda na coś za moimi plecami. –

Postanowiłem zrobić ci niespodziankę, chociaż w ogóle na nią nie zasługujesz.

Kiedy się odwracam, widzę wysoką i smukłą stewardesę Alitalii, która zmierza w naszą stronę.

– Cześć, Dome! – wita się z moim przyjacielem. Więc jest jeszcze ktoś, kto zwraca się do niego po imieniu. Dziewczyna żuje gumę, ma piękne białe zęby, włosy związane w koński ogon, zgrabne nogi i ciemną karnację.

– Mój przyjaciel Niccolò – przedstawia mnie Gruby, całując dziewczynę

w policzek.

– Cześć, miło mi, jestem Manuela.

– Udało ci się? – pyta ją Gruby.

– Pewnie. Miałeś jakieś wątpliwości?

– Skąd! Super!

– Kapitan waszego lotu jest moim kumplem, o wszystkim go poinformowałam. – Manuela wręcza nam dwie karty pokładowe.

Gruby spogląda na mnie.

– Czaisz? Będziemy podróżowali pierwszą klasą!

– No co ty?!

– Jasne! Co ty byś beze mnie zrobił? – pyta rozpromieniony.

– To samo co ty beze mnie – odpowiada trochę kwaśno Manuela.

– Pierwsza klasa, juhuu, lecimy pierwszą klaaaasą! – Gruby nie może się uspokoić.

– Mógłbyś zachowywać się odrobinę ciszej? – Manuela się rozgląda. – Nikt nie powinien o tym wiedzieć. Jeśli szefostwo dowie się, że zamieniłam wam karty pokładowe, może się trochę wkurwić... Ale proszę, nie krępuj się, idź z tym do związków...

Odprowadza nas do stanowiska kontroli paszportowej i tam nas zostawia, całując na pożegnanie.

– Bawcie się dobrze i trzymajcie z dala od kłopotów. Zwłaszcza ty – rzuca na odchodnym do Grubego.

– Dobrze cię zna, co nie? – zwracam się do mojego kumpla.

– No, z każdej strony – Gruby robi swoją klasyczną kretyńską minę.

– Stary, gdybyś tego nie uściślił, naprawdę bym się nie domyślił!

Stajemy w kolejce do kontroli bezpieczeństwa i kładziemy plecaki na taśmę. Kiedy wyciągam pasek ze spodni, zdejmuję zegarek i pozbywam się reszty akcesoriów, z których posiadania człowiek nie zdaje sobie sprawy, dopóki nie musi tego wszystkiego z siebie zdjąć, słyszę głos pracownika lotniska:

– Może pan otworzyć plecak?

Odwracam się... o nie! Gruby został zatrzymany. Mam nadzieję, że nie spakował do podręcznego bagażu żadnego noża, broni, narkotyków czy czegokolwiek innego, co zakończy nasze wakacje, zanim na dobre się zaczną.

– Tego nie może pan zabrać. – Strażnik wyjmując z plecaka Grubego butelkę wody.

– To jest zwykła woda, nie wódka czy benzyna... Niech pan spojrzy – protestuje mój przyjaciel, otwiera butelkę i zaczyna pić.

– Jeśli wypije pan całą, będzie mógł pan przejść, w przeciwnym razie proszę ją zostawić. Czy to jasne?

Gruby opróżnia butelkę do połowy i z wyrazem fałszywej niewinności malującym się na twarzy podaje ją strażnikowi, który wrzuca ją do kosza na śmieci. Spojrzenie, jakim obdarza mojego kumpla, nie jest przyjazne.

Wreszcie przechodzimy przez kontrolę.

– O rany, przez chwilę myślałem, że masz w plecaku trawkę, co by mnie nawet nie zdziwiło!

– Za kogo ty mnie uważasz, Nicco?

– Za siebie samego! Może masz plan na jakiś szemrany biznes w Polsce.

– No co ty!

– Moim zdaniem potrafiłbyś przesznurować narkotyki za granicę... i do tego z sukcesem, każdego byś wykiwał!

– Przypomniał mi się ten film *Midnight Express*, kojarzysz?

– Tak, ekstra...

– Ta scena, kiedy zatrzymują go na lotnisku, podejrzewając, że jest kamikadze, bo ma wypchaną kurtkę. Mierzą do niego z broni, każą rozpiąć kurtkę i wtedy okazuje się, że ma na sobie dwa kilogramy haszyszu. Policjanci zaczynają się śmiać i opuszczają pistolety.

– Ale jemu nie jest do śmiechu, zostaje wsadzony do więzienia, nie pamiętam, na ile lat, a pobyt tam staje się prawdziwym piekłem...

– Racja, o tej części historii lepiej nie wspominać.

Po raz ostatni rzucamy okiem na tablicę odlotów i długim ruchomym chodnikiem zmierzamy w stronę naszego wyjścia, w stronę Warszawy.

8

Wchodzę na pokład samolotu i spoglądam na prawo, tam gdzie jest klasa ekonomiczna. Ludzie ściśnięci jak sardynki siedzą jeden obok drugiego, kolanami dotykają siedzeń przed sobą, schowki nad ich głowami są zapchane podręcznymi bagażami. Natomiast pierwsza klasa to inny świat: fotele, miękkie i szerokie, rozmieszczone są w sporej odległości od siebie. W samolocie, bardziej niż gdzie indziej, widać różnicę między tymi, którzy mają pieniądze, tymi, którzy ich nie mają, i tymi, którzy mają przyjaciół w Alitalii.

– Cholera, nie miałem pojęcia, że to tak wygląda – mamrocze Gruby.

– Jak? – pytam, próbując się zorientować, gdzie są nasze miejsca.

– Tak przestronnie, no pełny wypas... – Idzie między dużymi fotelami w przedniej części samolotu, tuż przed kabiną pilotów. Dobiegająca z głośników spokojna muzyka, przerywana co jakiś czas nagrany powitaniem, tłumi hałas dobiegający z klasy ekonomicznej.

– Czy mogę zobaczyć panów karty pokładowe? – zwraca się do nas stewardesa.

– Oczywiście. – Gruby pokazuje nasze karty z błyskiem w oku, jakby chciał powiedzieć, że zawsze podróżuje pierwszą klasą, po czym odbiera je od stewardesy i siada na swoim miejscu.

Umieszczam plecak w schowku i zapadam się w miękkim fotelu numer 5A. Jest naprawdę duży, obity jasną elegancką skórą. Wciskam guziki umieszczone z boku i odkrywam, że to cudo można zamienić w szeslong z podnóżkiem, a po wciśnięciu kolejnych, w prawdziwe łóżko.

Ustawiam siedzenie w pozycji pionowej, gdy inna stewardesa podchodzi z dwoma kieliszkami schłodzonego szampana.

– Proszę – mówi i stawia kieliszek w zagłębieniu, które wysuwa się z siedzenia.

Odchodzi. Jest bardzo ładna, jak miejsce, w którym się znaleźliśmy. Takie

rzeczy widziałem tylko w filmach.

– Spróbuj tylko czepiać się moich znajomości! – Gruby gwałtownie wdziera się w moje rozmyślania, besztając mnie po raz kolejny.

– Nigdy w życiu!

– Co przyniosła stewardesa?

– Dom Pérignon.

– A co to takiego?

– To. – Pokazuję wysoki smukły kieliszek.

– Ach, o kurwa, pomyślałem o czymś zupełnie innym. – Gruby wybucha śmiechem jak wariat. Zapada się w fotelu i zaczyna majstrować przy przyciskach, zmieniając co chwila jego ustawienie, niczym podniecony dzieciak w lunaparku.

Po chwili rozpoczyna się rytuał podróży samolotem: kapitan wita się z pasażerami, mówi, że jesteśmy siódmymi w kolejce do startu i informuje nas o warunkach pogodowych na trasie i o temperaturze, jaką zastaniemy w Warszawie. Kiedy maszyna kieruje się na pas startowy, na ekranach telewizorów pojawia się filmik instruujący, jak zachować się w razie awaryjnego lądowania i jak prawidłowo założyć maski tlenowe. Gruby krzyżuje palce, odczyniając zły urok, po czym wyznaje mi, że wolałby prezentację na żywo, kiedy stewardesy zakładają kamizelki ratunkowe i wskazują drogi ewakuacji.

Silniki wchodzą na coraz wyższe obroty, samolot nabiera prędkości, w środku wszystko się trzęsie, jednak te miękkie i eleganckie fotele amortyzują każde drgnienie. Wyglądam przez okienko, przedzieramy się przez chmury i bardzo szybko wznosimy coraz wyżej. Pod nami widzę morze, samolot wchodzi łagodnie w zakręt i mknie, zwiększając nieco prędkość. Po chwili ją redukuje i wszystko cichnie. Chmury zostały pod nami, lecimy w stronę słońca, które oświetla swoim blaskiem skrzydła maszyny, zabarwiając je na pomarańczowo. Chmury widoczne na horyzoncie mają różowawy odcień.

W kabinie rozlega się charakterystyczny dźwięk i gaśnie napis „Zapiąć pasy”. Z głośników znów płynie głos stewardesy witający pasażerów na pokładzie i informujący o serwisie przewidzianym podczas lotu. Grubemu minęła już ekscytacja godna dwunastolatka. Wciska guzik przywołujący

stewardesę, która pojawia się kilka sekund później.

– Laro... – zwraca się do niej, odczytując imię na plakietce – czy może mi pani przynieść szampana? – Ty też chcesz? – zwraca się do mnie poważnym tonem, jakby był szefem jakiejś międzynarodowej firmy i siedzielibyśmy u niego w gabinecie.

Wzruszam ramionami.

– W takim razie poproszę dwa.

Stewardesa taksuje go od stóp do głów, chyba zrozumiała, że jesteśmy biedakami. Zbiera się do odejścia, kiedy Gruby znów ją zaczepia:

– Przepraszam... proszę nam przynieść Dom Pérignon.

Kobieta odchodzi, lekko kręcąc głową. Ubrana jest w spodnie z wysokim stanem, ma długie nogi i zgrabną pupę, co oczywiście nie uchodzi uwagi Grubego.

– Moim zdaniem do pierwszej klasy kierują najlepsze laski. – Rozsiada się wygodnie w miękkim fotelu i odchyła głowę. – Ach! Nie rozumiem, jak mogłem bać się latania... – Odwraca się w moją stronę. – To niesamowite, dlaczego nigdy wcześniej nie leciałem samolotem? Dlaczego nigdy wcześniej nie leciałem pierwszą klasą? Przecież jestem do tego stworzony! Wszystko zawdzięczam tobie, dzięki, przyjacielu.

Patrzę na niego rozbawiony i dokładnie w tej samej chwili przypominam sobie, o czym chciałem z nim porozmawiać.

– Hej, nic mi nie powiedziałaś, nie spodziewałem się tego po tobie – mówię z wyrzutem.

– O czym? – pyta, prostując się w fotelu.

– O Bato. Spotkałem go wczoraj, wszystko mi powiedział i wspomniał, że ty już wiesz...

Gruby błednie, a ja nie rozumiem dlaczego.

– Przysięgam, nic nie wiedziałem! – mówi dziwnie podniesionym głosem i sztywnieje.

– Gruby, nie gadaj głupstw. Wiedziałeś o wszystkim, Bato mi powiedział. Był przekonany, że ze mną o tym rozmawiałeś.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Jasne! Oczywiście! Przecież to nic takiego! Widziałem, w jakim jesteś stanie, załamany i przybity, a ten kretyn uważa, że powinienem do ciebie przyjść i powiedzieć: „Hej, Nicco, chyba nie masz nic przeciwko temu, że Alessia chodzi z Bato?!”. – Wstaje z fotela. – Wiesz, że o mało go nie sprąłem, kiedy mi o tym powiedział? O tym jakoś nie wspomniał, co?

Jego słowa do mnie nie docierają. Gruby po chwili orientuje się, że coś jest nie tak, i milknie. Wpatruje się we mnie, w wyraz niedowierzania malujący się na mojej twarzy, w puste spojrzenie, w rozdziawione usta.

– O kurwa, Nicco, nic nie wiedziałeś... – mamrocze. Dotarło do niego, że mówiliśmy o dwóch różnych sprawach. – Przepraszam, stary, strasznie mi przykro.

Nie mogę wykrztusić słowa. Jestem oszołomiony. Czuję się jak po czołowym zderzeniu z ciężarówką. Jadę na motorze i słyszę, że ktoś woła mnie po imieniu, odwracam się i nie widzę, że samochód przede mną zatrzymał się na czerwonym świetle, więc uderzam w niego z całą prędkością. Tym kimś, kto mnie woła, jest Alessia.

– Nicco? Nicco? Co ci powiedział Bato? – dopytuje się Gruby.

– Że sprzedali fabrykę piłek i kupili wyspę na Malediwach – odpowiadam jak automat.

Oczami wyobraźni widzę szczęśliwych Alessię i Bato, jak wysiadają z hydroplanu, który przed chwilą wodował na rajskim atolu. Trzymając się za ręce, biegną na bosaka po rozgrzanym piasku w stronę domku na plaży. Po chwili, jak w reklamie, wychodzą z niego zupełnie nadszy, obejmują się, całują i padają na rozłożony na piasku ręcznik, zaczynają się kochać...

– Dlaczego, kurwa, nic mi nie powiedziałaś?!

Pewnie krzyknąłem, bo elegancka kobieta z „Cosmopolitanem” w ręku odwraca się w naszą stronę.

Jednocześnie stewardesa przynosi nam szampana.

– Proszę.

Gruby stracił chyba cały rezon, bo odbiera od niej kieliszki bez słowa podziękowania i podaje mi jeden.

– Chcesz?

– Jasne! Dlaczego nie? Uczcijmy tę wspaniałą wiadomość! – prychem wkurwiony.

– Masz rację, to nie jest odpowiedni moment... – zgadza się Gruby i opróżnia oba kieliszki.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – nalegam. – Kiedy mówiłem ci o Alessii, jak mogłeś milczeć, wiedząc, że oni są razem? Zrobiłeś ze mnie kretyna...

– Nie gadaj bzdur, Nicco! Nie wiesz, jak fatalnie się z tym czułem!

– Kiedy to się stało? Jak się zaczęło? Gdzie?

– Naprawdę chcesz, żebym ci wszystko opowiedział?

– Gruby, za chwilę oba te kieliszki wylądują w twojej...

– Dobrze już, dobrze, uspokój się. Wszystko ci opowiem. To się stało przypadkiem, oboje byli zafiksowani na punkcie tej gry, Ruzzle... Przynajmniej taka jest wersja Bato. Któregoś razu wyzwali się na pojedynek, nie wiedząc, że za nickami kryją się właśnie oni.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przenoszę się do mieszkania Alessii, w czasy, kiedy całymi dniami grała w Ruzzle, która wciągnęła ją jak narkotyki.

– Nick Bato brzmiał „Romeo Dwa Tysiące”, a Alessii „Julia”.

– Julia... – powtarzam bezwiednie. Sam wybrałem jej ten pseudonim, napisałem go na kartce, którą dołączyłem do prezentu urodzinowego.

– Ruzzle stała się dla nich niezmiennym elementem każdego dnia, pisali do siebie przez cały dzień, rano, w południe, wieczorem... Wiedzieli o sobie tylko tyle, że są odmiennej płci. Aż pewnego dnia postanowili się spotkać.

Gruby się uśmiecha, chyba wydaje mu się, że streszcza mi fabułę filmu, komedii romantycznej z Hugh Grantem i Julią Roberts. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę to dramat, mój osobisty dramat.

– Ta historia wydaje mi się niedorzeczna, kiedy teraz ci ją opowiadam! Los zetknął ich ze sobą przez zupełny przypadek, choć tak się nie znosili. – Patrzy na mnie i z niepewnością w głosie dodaje: – Słuchaj, Nicco, może lepiej, żebyś...

– Mów dalej.

– Umówili się w Susinie, małej restauracji przy via Chiana.

– Susina? Nigdy o niej nie słyszałem.

– Alessia chodziła tam czasami z Silvia, bo to niedaleko jej domu. Pomyślała, że to będzie bezpieczne miejsce na spotkanie z nieznanym.

Gruby wie o rzeczach, o których ja nie mam pojęcia. Alessia nigdy nie zabrała mnie do tej knajpy, nawet o niej nie wspomniała. Może oszukiwała mnie również co do swojego ulubionego dania, może to wcale nie były tagliatelle z grzybami, tylko coś innego, co jadła z Bato. Pewnie zaprowadziła go również do cukierni Regoli. Dlatego tam na niego wpadłem, kutas jeden! W dodatku udawał, że nigdy nie próbował maritozzi! Teraz nie mam wątpliwości, że kupił je dla niej. A ja mu opowiadałem, jakie są pyszne. Co za idiota ze mnie!

– Wiesz, jakie są kobiety, nie? – Gruby próbuje mnie jakoś pocieszyć.

Mam ochotę odpowiedzieć: „Nie, właśnie nie wiem”.

– Fantazjują, marzą, zakochują się w słowach... Alessia powiedziała, że będzie na niego czekała w ostatniej sali w głębi restauracji, pod tablicą, bo tam jest najspokojniej.

– Pod tablicą?

– Tak, tam wisi tablica, na której kolorową kredą wypisane są dania dnia.

– Wygląda na to, że ty też bardzo dobrze znasz to miejsce.

Widzę, że Gruby jest zmieszany.

– Co jest?

– Poszedłem tam jakiś czas później z Deborah.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem. Ta historia w jakiś sposób mną zawładnęła, chciałem zobaczyć, gdzie się poznali...

9

Alessia siedzi przy dużym stole w głębi sali, pod tablicą.

– Mogę przyjąć zamówienie czy czeka pani na kogoś? – pyta wysoka pogodna kobieta, właścicielka restauracji Susina.

– Czekam na kogoś – odpowiada Alessia lekko zakłopotana, choć czuje się tu jak u siebie domu.

– W porządku. Może podam herbatniki, które sami pieczemy? Są wyśmienite. – Nie czekając na odpowiedź, kobieta idzie do kuchni. Szykując przekąskę, uśmiecha się w duchu, domyśla się, że dziewczyna czeka na kogoś ważnego. Przypomina sobie, jak kiedyś szykowała te same ciasteczka dla mężczyzny, którego kochała i który poprosił ją o rękę. Na jej twarzy błąka się wyraz słodkiej melancholii, tak lekki jak cukier puder, którym oprószone są herbatniki.

– Proszę. – Stawia przed Alessią talerz.

– Dziękuję, pani ciasteczka są zawsze wyśmienite.

– Dziękuję za miłe słowa. To moja specjalność. Jedna z wielu...

Alessia nie czuje jednak głodu, jest zdenerwowana. Po co umówiłam się z tym człowiekiem? To niedorzeczne! A jeśli to jakiś wariat? Po chwili się uspokaja. Dlatego wybrałam miejsce publiczne. Właścicielka ciągle kręci się między stolikami, jeśli zauważy, że ktoś ma złe zamiary względem mnie, przywali mu patelnią w głowę. Ta myśl ją rozśmiesza. Wyjmuje komórkę, otwiera Ruzzle i szuka Romea 2000.

Od jakiegoś czasu gra tylko z nim, nie mają znaczenia wyniki ani rozgrywki, liczą się słowa i to nie te związane z grą, lecz te, które wymieniają między sobą.

Czyta znów niektóre z nich:

„Smętnie dziś. Może dlatego, że jeszcze mi nie odpowiedziałś. Jedyne, co mogłoby poprawić mi humor, to myśl, że jesteś bardzo zajęta... myśleniem o mnie”

„Wiem, że się zmieniam. Dziś mija miesiąc, odkąd się znamy, a ja czuję się kimś innym, już od miesiąca”

„Czy jesteś tak piękna, jak twoje słowa? Nie, ty jesteś swoimi słowami, więc jesteś prześliczna”

„Jesteś każdą chwilą, która wypełnia mój dzień...”

Alessia czyta po kolei wiadomości, które towarzyszą jej od kilku miesięcy, słowa, które oplatają ją niczym bluszcz pnący się po starym domu – dzięki nim czuje się piękna, lekka, ważna i... kolorowa. Właśnie, wypełniają ją kolory. Jest jak czarno-biały rysunek, który nagle nabrał pastelowych odcieni życia.

Czyta ostatnią wiadomość:

„Do jutra”.

Czyli do dzisiaj, za chwilę, za parę minut. Spogląda na zegarek, jej serce zaczyna bić mocniej, chciałaby wstać i wyjść, uciec daleko stąd.

Ma poczucie winy. A co z Niccolò? Nic nie wie, myśli, że jest na siłowni z przyjaciółką. Co mu powie? On nie ma tu nic do rzeczy, to zupełnie inna historia, a to tutaj jest zwykłą grą. Taką jak Ruzzle. Alessia ma jednak świadomość, że oszukuje samą siebie, że coś się zmieniło i nie jest już tak jak dawniej. Ogarnia ją smutek, ma ochotę wyjść i właśnie sięga po torbę, kiedy w wejściu do sali, u szczytu schodów, zauważa męskie nogi, sweter i dłoń trzymającą czerwoną różę. Podnosi wzrok i widzi rozglądającego się chłopaka. Kiedy ich spojrzenia się spotykają, nie wierzą własnym oczom. To naprawdę oni, dwie osoby, które ze sobą grały, pisały do siebie te wszystkie piękne słowa i w końcu się w sobie zakochały? Oni, którzy tak się nie lubili, wręcz nie znosili, często szli na noże? Niemożliwe!

Bato odwraca się na pięcie i zamierza wyjść z restauracji, lecz po chwili zatrzymuje się, kręcąc głową. Niewiarygodne, niedorzeczne, chce mu się śmiać, więc zawraca i wolnym krokiem podchodzi do stolika.

– To żart, prawda? Obraliście mnie sobie za cel...

Alessia jest tak zaskoczona, że nie może wykrztusić słowa. Nie wierzy w to, co widzi. On jest autorem tych wiadomości? Bato, przyjaciel Niccolò? Ten, który nie szanuje kobiet, ma je za nic, drwi z nich i uważa, że nadają się tylko do jednego...

Bato siada naprzeciwko niej i nieporadnie kładzie przed nią różę.

– Miała być dla Julii... Przekazesz jej?

– Jasne... wysłała mnie, żebym sprawdziła, kim jest ten cały Romeo Dwa Tysiące, czy to nie jakiś przekręt.

– Poczekaj, wiem, co jej powiesz. Czy nie bierzesz pod uwagę takiej ewentualności, że do tej pory znałaś innego Bato? Że niestety nie miałem okazji pokazać ci się z najlepszej strony?

– A jest taka?

Bato wybucha śmiechem i spogląda na Alessię.

– Masz takie samo poczucie humoru jak Julia.

– Doprawdy? No cóż, jesteśmy bliskimi przyjaciółkami. Powiedz mi, skąd wziął się Romeo Dwa Tysiące?

– Może twojej Julii przypadłby do gustu.

– Wątpię.

– To, co zowiem różą, pod inną nazwą równie by pachniało...[3]

– Wcześniej nie znałaś tej sztuki.

– Masz rację... ale spodobała mi się. To najpiękniejsza tragedia, jaką znam.

Alessia jest zaskoczona jego słowami.

Któregoś wieczoru towarzyszyła Niccolò, gdy grał w karty z kumplami. Spytała wtedy, czy któryś z nich zna się na literaturze lub sztuce, i prawie wszyscy odpowiedzieli, że w życiu nie przeczytali ani jednej książki.

– Kto ci pisał te wiadomości? Ściągałeś od Cyrana de Bergeraca?

– Nie, ale ty też nie jesteś ich autorką. Masz o wiele większe poczucie humoru niż Julia.

– Odpowiedziałeś tak przypadkiem, czy naprawdę wiesz, kim był Cyrano?

Kontynuują w tym duchu, prawiąc sobie drobne uszczypliwości, śmiejąc się i żartując, jednak czują, że coś się między nimi dzieje. W pewnym momencie podchodzi do nich właścicielka restauracji.

– Czy chcą państwo złożyć zamówienie?

Alessia i Bato wymieniają spojrzenia, zdają sobie sprawę, że minuty, które razem spędzili, upłynęły błyskawicznie. Wreszcie Bato podejmuje decyzję:

– Jasne, czemu nie?

– Polecam świeże szparagi, wyśmienitego kurczaka babuni albo...

Słuchają rozkojarzeni i wreszcie zamawiają coś dobrego do jedzenia.

Kobieta oddała się, mamrocząc pod nosem:

– Kiedy zaczyna się jakaś historia...

– ...jedzenie jest ostatnią rzeczą, o której się myśli – kończy za nią Bato.

– Nieźle powiedziane. Czyje to słowa? – pyta Alessia.

– Twoje, choć pewnie od kogoś ściągnięte!

Oboje wybuchają śmiechem.

Właścicielka zatrzymuje się u szczytu schodów i przekazuje zamówienie kelnerce. Raz jeszcze spogląda na Alessię i Bato.

– Niesamowite – mówi.

– Co takiego? – pyta zaciekawiona kelnerka.

– Miłość. Miłość wydobywa z ludzi niezwykle cechy. Widzisz ich? Oni pewnie jeszcze o tym nie wiedzą...

Oddała się, pewna swoich słów. Kelnerka wzrusza ramionami i szybko zapisuje zamówienie w obawie, że zapomni.

Kilka godzin później, kiedy już opowiedzieli sobie różne zabawne historie ze swojego życia – kim była pierwsza miłość, kto komu dał kosza – kiedy odkryli, że mają tę samą ulubioną piosenkę i że oglądali kilka razy ten sam film, kiedy porozmawiali o miejscach, w które chcieliby wrócić, o sytuacjach, w których się wygłupili, czy o koncercie, na który koniecznie chcieliby pójść, zrozumieli, że mają ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż myśleli. Przy okazji okazało się, że Bato to przezwisko, a jego prawdziwe imię brzmi Andrea.

– Dlaczego?

– Tak po prostu!

– Przeważnie przezwisko ma jakąś etymologię: pochodzi od imienia, nazwiska, jest skrótem albo jakąś zabawną wariacją, nadano je z jakiegoś powodu.

– Jak widać, nie zawsze, przykro mi, ale dla mojego przezwiska nie ma usprawiedliwienia.

– Wariat jesteś.

Śmieją się i spoglądają na siebie w zupełnie inny sposób, dopiero po chwili zauważają, że są jedynymi gośćmi w lokalu.

– Chyba musimy się zbierać. Najpierw puścili głośno muzykę, po czym gwałtownie ją wyłączyli – zauważa Bato.

– Albo ich didżej jest naćpany, albo masz rację – komentuje Alessia.

– Raczej to drugie. – Bato wymierza w nią palec wskazujący.

– Teraz rozpoznaję dawnego Bato...

– Tego, którego nie znosisz? – pyta z nutą niepokoju w głosie.

– Tego, którego nie znosiłam... – odpowiada Alessia, wstając. Bato idzie w jej ślady, a na jego twarz powraca uśmiech. Reguluje rachunek u właścicielki.

– Dziękujemy i dobranoc.

Kobieta odprowadza ich wzrokiem do drzwi.

Na dworze, w mdłym świetle latarni na via Chiana, Bato podchodzi do Alessii.

– Dobrze nam było.

– I zaprosiłeś mnie na kolację! Spodziewałam się, że będziesz chciał podzielić rachunek na pół albo wręcz domagał się, bym to ja zapłaciła! – Alessia śmieje się ze swoich słów, a Bato przyciąga ją łagodnie do siebie i zamyka jej usta pocałunkiem.

Na początku jest zaskoczona, ma poczucie winy, ale po chwili poddaje się jego wargom niczym współczesna Julia, która pozwala się całować swojemu Romeo Dwa Tysiące. Kiedy odrywają się od siebie, stoją przez chwilę nieruchomo z zamkniętymi oczami, ich oddechy się łączą, a wokół panuje cisza, jaką wywołać potrafi tylko pocałunek. Wreszcie Bato spogląda na Alessię i dodaje sobie odwagi, cytując znane słowa:

– Houston, mamy problem.

Alessia uśmiecha się smutno, a księżyc lśniący na niebie nie ułatwia im zadania.

- Wiem, boję się – wyznaje.
- Ja też. – Bato patrzy na nią poważnie. – On jest dla mnie bardzo ważny.
- Dla mnie też.

10

Gruby spogląda na mnie, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na mnie jego opowieść.

– Taki byłem dla nich ważny, że oboje mnie zdradzili! W ogóle się dla nich nie liczyłem!

– Nicco, kurwa, uspokój się. Wiedziałem, że nie powinienem być ci tego opowiadać.

– Kto jeszcze wie?

– Nikt. Przynajmniej ze strony Bato, co do Alessii, nie wiem, komu mogła powiedzieć. Ty pewnie wiesz lepiej.

Zastanawiam się, kogo ze wspólnych znajomych ostatnio spotkałem. Nagle przypominam sobie koncert Coldplay, na którym byłem z Anią. Wychodząc ze stadionu, wpadłem na Alessię. Widzę wyraźnie, jakby to było wczoraj: rozpoznaje mnie w tłumie, wita się tak naturalnie, jakbyśmy nadal ze sobą byli.

– Koncert Coldplay. On też tam był, prawda?

Gruby przytakuje.

– Dlatego wypytywałeś mnie, kogo spotkałem. Takie rzeczy cię zazwyczaj nie interesują... Ale wtedy chciałeś wiedzieć wszystko ze szczegółami, wiedziałeś, że oni poszli tam razem.

– Miałem nadzieję, że sam się o tym dowiesz, bez mojego udziału.

– W życiu nic nie dzieje się bez naszego udziału.

– To mogłoby zniszczyć naszą przyjaźń.

„Czy nie zniszczyło?” – mam ochotę powiedzieć, ale zachowuję milczenie. Patrę na Grubego, jest przybity, widać, że mu przykro, a może tak mi się tylko wydaje? Nie mam siły myśleć, odwracam się do okna, rozkładam fotel i zamykam oczy. Słyszę, jak Gruby wstaje i się oddala.

Co zostaje, kiedy miłość się kończy? Wspomnienia, z początku piękne, świeże, wyraźne, potem coraz bardziej bolesne, jak kawałki ostrego szkła.

Z czasem się zacierają i sami nie wiemy, czy to dobrze, czy źle, że mogą zniknąć na zawsze.

Czuję, że po policzkach zaczynają płynąć mi łzy. Nie jestem w stanie ich powstrzymać. Znowu myślę o ojcu, którego już nie ma, o życiu, które ciągle coś nam odbiera. Wgrałem do telefonu jego zdjęcia i czasami je przeglądam. Wszystkie, jakie miałem. Na jednych jestem mały, a tata młody, na innych widać, jak dojrzewam, a on się starzeje. Może dlatego tak przeżywam rozstanie z Alessią, bo ciągle wracam myślami do ojca. Piękne chwile mijają zbyt szybko i tracimy je bezpowrotnie.

– Ma pan ochotę na coś do jedzenia? – Przede mną stoi uśmiechnięta stewardesa, ale kiedy widzi, w jakim jestem stanie, przez jej twarz przemyka wyraz zakłopotania, po chwili jednak znowu pojawia się na niej profesjonalny uśmiech i udaje, że niczego nie zauważyła. – Mogę zaproponować bardzo smaczną polędwicę, ale jeśli pan woli, przyjdę później.

– Może później, dziękuję.

Dziewczyna się oddala. Odczytałem jej imię na plakietce – Eva. Jest naprawdę bardzo ładna.

Eva, moja pierwsza miłość, i Alessia, ostatnia.

Zakładam słuchawki, na ekranie telewizora wybieram język i szukam jakiegoś filmu. Znajduję *Che bella giornata* Checca Zalone – to najbardziej przygnębiający film, jaki kiedykolwiek widziałem. Pamiętam scenę, w której łyśawy bohater rozrabia, by zdobyć dziewczynę, która w prawdziwym życiu nigdy by na niego nie poleciała, może nawet nie zamieniłaby z nim słowa. Filmy są jak Alessia i Bato: nie mówią prawdy, robią cię w konia, zdradzają. Zасыpiam nie wiadomo kiedy. Śpię bez snów, aż czuję, jak ktoś szarpie mnie za ramię.

– Nicco, obudź się, podają przekąski – mówi Gruby. – Nic nie jadłeś... Musimy się wzmocnić, jeśli chcemy zdobyć to wspaniałe miasto!

Wypowiada te słowa lekko, jakby to, co opowiedział mi wcześniej, nie miało znaczenia, po czym siada na swoim miejscu.

Kręcę głową i ustawiam siedzenie w pozycji pionowej. Natychmiast podchodzi stewardesa i stawia przede mną tacę z parującą kawą, sokiem pomarańczowym i mnóstwem smakołyków.

– Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę mnie zawołać. – Dziewczyna ma jasnobrązowe włosy i zielone oczy.

– Dziękuję – odpowiadam.

Stewardesa podchodzi do kolejnego pasażera. Upijam odrobinę kawy i zabieram się do kanapki.

Gruby rozmawia z Evą, ciekawe, jaki kit jej wciska, byle tylko zatrzymać ją chwilę dłużej: że jest biznesmenem, łowcą talentów albo handlarzem diamentów...

– Proszę nie odpinać pasów, zaraz lądujemy – zwraca się stewardesa do Grubego.

– Wie pani, że spodobało mi się latanie? Bałem się, ale mój przyjaciel, ten, który tam siedzi – wskazuje na mnie i puszcza do mnie oko – pomógł mi pokonać ten lęk... Jak długo zostajecie w Warszawie?

– Jak zwykle zbyt krótko... Przepraszam, ale wołają mnie – odpowiada Eva. Odwraca się do koleżanki i nieznacznie unosi brew, jakby chciała powiedzieć, że ten pasażer jest męczący, po czym znika za zasłonką.

Natomiast Gruby wygląda na bardzo z siebie zadowolonego.

Samolot lekko podskakuje, zapinam ciasno pas i zamykam oczy. Personel pokładowy przechodzi przez kabinę między zmęczonymi, zaspanymi, ale i zadowolonymi pasażerami, sprawdzając, czy wszystko w porządku, a kobiecy głos rozlegający się w głośnikach informuje, że za kilka minut maszyna będzie lądować, i przypomina podróżnym o zabraniu bagażu podręcznego. Ja chciałbym zostawić w samolocie starego Nicco i zabrać na spacer po Warszawie nowego, pełnego chęci do życia.

Kolejny wstrząs. Spoglądam na Grubego – ma zamknięte oczy i dłonie tak mocno zaciśnięte na poręczach fotela, że zbieleły mu knykcie. Chyba czuje, że na niego patrzę, bo odwraca się w moją stronę i otwiera oczy.

– Hej, Gruby, spoko, najwyżej spadniemy! – Korzystam z okazji i biorę mały odwet. Na jego twarzy błąka się niewyraźny uśmiech, ale widać, że jest przerażony. Nagle chce mi się z tego wszystkiego śmiać, i to mnie uspokaja. Gdybym miał teraz umrzeć, co bym po sobie zostawił? Trochę rozczarowania, prawdziwą przyjaźń, nieudane próby napisania książki.

Samolot podskakuje kolejny raz, tym razem mocniej, i nagle dochodzę do

wniosku, że Alessia w ogóle mnie nie obchodzi. Jeszcze przez moment zastanawiam się, czy naprawdę tak jest, czy tylko chcę tak myśleć, lecz po chwili wszystko staje się dla mnie jasne... Kocham Anię. Oczami wyobraźni widzę ją, jak siedzi roześmiana obok mnie, odwraca się i przygląda mi się zaskoczona.

What you say? Wybuchają śmiechem. Co mówisz? Zarzuca mnie mieszanką angielskiego i polskiego. Mówiła mi rzeczy, których nie rozumiałem, więc robiłem dobrą minę do złej gry. Przypominam sobie nasze pocałunki, sposób, w jaki na mnie patrzyła, jak w jednej chwili była małą bezbronną dziewczynką, a w drugiej dojrzałą kobietą. Cudzoziemka czerpiąca z życia garściami. Była bezproblemowa, każde miejsce, w które poszliśmy, jej odpowiadało, każde zamówione danie, każdy lokal, pub, dyskoteka czy spacer.

Dopiero kiedy coś stracimy, doceniamy, jak ważne to było. Z Anią przeżyłem coś niezwykłego. Po raz pierwszy w życiu nie zastanawiałem się, dokąd wypada zabrać dziewczynę na randkę.

Nagle słyszę głuchy dźwięk. Co to? Zaczynam się denerwować. Jeśli teraz umrę, spotkam tatę. Chyba naprawdę jest tak, jak się o tym mówi: w takiej chwili człowiek ma gonitwę myśli.

Spokojnie, to tylko podwozie, które się wysunęło.

Przede mną siedzą dziewczyna i chłopak, pochylają się do przodu i biorą za ręce. Kiedy czytałem o ataku jedenastego września, największe wrażenie zrobiło na mnie to, że pasażerowie kilka minut przed zderzeniem z wieżami WTC wysyłali z komórek SMS-y pełne miłości: „Będzie mi ciebie brakowało”, „Mamo, kocham cię”, „Kochanie, kocham cię”. W takiej chwili chcesz, by bliskie ci osoby wiedziały o twojej miłości, by o niej nie zapomniały.

Koła dotykają ziemi, a kiedy samolot zaczyna hamować, mam wrażenie, że coś wciąga mnie do środka. Otwiera się jeden ze schowków, z którego wypada siatka ze sklepu wolnocłowego.

Jesteśmy na miejscu. Gdybyśmy mieli się rozbić, nie mógłbym wysłać do Ani miłosnego SMS-a, powiedzieć jej, co do niej czuję i że przyleciałem tutaj, by ją zobaczyć. Z tego prostego powodu, że nie znam jej numeru telefonu.

11

Tydzień wcześniej przeczytałem w „Weird”, że Placido Domingo otrzymał po jednym z koncertów osiemdziesięciminutową owację, czym ustanowił rekord Guinnessa. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musi czuć człowiek, kiedy rozradowany tłum wiwatuje na jego cześć przez dobre osiemdziesiąt minut. Cztery tysiące osiemset sekund, w ciągu których publiczność oddaje hołd twojemu talentowi, bezgranicznie cię uwielbia i dziękuje za występ.

Z pewnością nie będzie to trwać tak długo, ale od kilkunastu sekund oklaskujemy pilota, dziękując mu za bezpieczne lądowanie. W tych okolicznościach wyjątkowo nie domagam się bisu. Gruby jest przeszczęśliwy, jego gwizdy przeplatają się z płaczem noworodka, którego zbudził ten grupowy aplauz.

Mój przyjaciel, rozentuzjasmowany po swojej pierwszej podróży samolotem, wreszcie odzyskał kolory. Pasażerowie odpinają pasy i wyjmują ze schowków kurtki i bagaże, a Gruby nadal klaszcze rytmicznie i nuci pod nosem marsz Radetzky’ego:

– Pa, pa... pa, pa... para, pa, pa, pa... Zarzuela...

– Uspokój się, czubku! – Daję mu kuksańca w bok.

Spogląda na mnie z wyższością.

– Pan Odważny się znalazł! Widziałem, jak kurczowo trzymałeś się fotela, kiedy nasz kapitan... – wstaje i wykonuje koliste ruchy biodrami – zatrząsł samolotem!

Nie wiem, które turbulencje są bardziej niebezpieczne, te samolotowe czy te, które prezentuje Gruby podczas podróży do Warszawy.

Przedstawienie nie bawi starszej Japonki, która bez słowa przeciska się obok mnie z kanciastą walizeczką marki Louis Vuitton, szturchając mnie boleśnie w zagłębienie pod kolanem.

– Auć! Idę o zakład, że to podróba! – Wskazuję białą broń, która zadała mi ból, podczas gdy kobieta idzie szybkim krokiem, jak gdyby nigdy nic.

– Japończycy noszą w bagażu podręcznym miecze samurajskie, a nie szczoteczki do zębów. Czy naprawdę wszystko muszę ci tłumaczyć? – Gruby chichocze.

Zbieram swoje rzeczy. Jestem zmęczony podróżą i emocjami podczas lotu: lękiem, tęsknotą, niepokojem, entuzjazmem, żalem, euforią... Teraz radość, że wylądowaliśmy, miesza się z dezorientacją.

Wysiadamy z samolotu prosto do rękawa prowadzącego do terminalu. Zgromadzony tłum przypomina ten na pchlim targu w Porta Portese w niedzielny poranek, w godzinach szczytu. Z tą różnicą, że tutaj jest trochę więcej elegancko ubranych ludzi i trochę mniej Cyganów.

Przez chwilę mam wrażenie, że zostanę wchłonięty przez tę ludzką masę. Jestem unieruchomiony między wielkim pokrowcem na kontrabas, który unosi się na plecach faceta wyglądem przypominającego wikinga, a kolonią Filipińczyków – idą szpalerem, tworząc mur nie do pokonania. Moja głowa miażdżona jest przez pachę wikinga, stopy utknęły między kółkami walizki jednego z Filipińczyków, a reszta ciała poddaje się bezwiednie naporowi tłumu. Jakiś mężczyzna w granatowym uniformie trzyma kartkę, na której zamiast nazwiska pasażera, widnieje napis: „Poszukiwane części ciała młodego Włocha”.

– Dokąd mamy iść? – pyta Gruby i nie czekając na odpowiedź, podąża oniemiały za dwumetrową blondynką. Końcówki jej długich włosów ufarbowane są na błękitno i spięte klamerkami w kształcie serduszek ozdobionych kryształkami Swarovskiego.

– Chcę się z nią ożenić – jęczy mój przyjaciel, nie odrywając wzroku od bujnych kształtów zmysłowo poruszających się na niebotycznie wysokich szpilkach. Jednak łydki, umięśnione jak u Mike’a Tysona, zdradzają pewien sekret.

– Nie widzisz, że to transwestyta? – Patrzę na Grubego z przyganą i odciągam go na bok.

Rozglądam się: lotnisko w Warszawie jest naprawdę ładne, przestronne i eleganckie, a jednocześnie ciepłe, czuję się tu jak w domu. Ludzie, którzy mijają mnie, zmierzając w różnych kierunkach, są kolorowi i uśmiechnięci, a mieszanina języków tworzy różnorodną muzykę o melodyjnych akcentach. Podoba mi się, że jesteśmy stosunkowo blisko Rzymu i wszystko tutaj jest

takie podobne, a zarazem zupełnie inne.

Można śmiało powiedzieć, że mamy tu przekrój całego świata, wszelkich ras i klas społecznych. Od rastafarianina z wielkimi słuchawkami na uszach, który porusza głową w rytm muzyki i żuje gumę, przez dwóch sikhów w eleganckich turbanach i z teczkami pod pachami, po parę Meksykanów w kolorowych ponchach.

– A niech mnie, prawdziwy *melting pot* – komentuję zafascynowany.

– Gdzie? Gdzie? Może da nam bilety na koncert.

– Kto?

– Ten z tego zespołu... Meeting Pop.

– Pewnie, na festiwal *Comunione e Liberazione* w Rimini! – Kręcę z niedowierzaniem głową. – Chodzi mi o to, że znaleźliśmy się w prawdziwym tyglu!

– Nigdy nie byłeś na piazza Vittorio? – pyta Gruby z miną eksperta.

Przed terminalem stoi szpaler taksówek. Wsiadamy do pierwszej z nich. Gruby wyjmuje z kieszeni zmięty świstek z adresem hotelu i podaje go taksówkarzowi, w tym samym momencie zaczyna dzwonić moja komórka. Odbieram i słyszę głos mamy:

– Niccolò... Niccolò? Wszystko w porządku?

– Tak, mamó, uspokój się.

– Jak podróż? Nic wam się nie stało? Nikt was nie aresztował?

Wystarczy ruszyć się z Włoch, by niepokój matki przybrał rozmiary międzynarodowe.

– Jak dotąd nikt... Żartuję, wszystko dobrze, siedzimy w taksówce i jedziemy do hotelu.

– Próbowaleś zrobić rezerwację w Sheratonie? To był jeden z hoteli, które tata zaznaczył w swoim przewodniku... Mówił, że jeśli kiedyś pojedziemy do Warszawy, tam właśnie się zatrzymamy.

Sheraton jest pięciogwiazdkowym luksusowym hotelem, w którym noc kosztuje od dwustu do tysiąca euro. Nigdy w życiu nie moglibyśmy sobie z Grubym na niego pozwolić, nawet jeśli do końca życia mielibyśmy zmywać w nim naczynia.

Nie dziwi mnie, że tata zaznaczył ten hotel. Chciał, by mama czuła się jak księżniczka, bo jego zdaniem tak należało traktować kobiety. Może przy odrobinie wysiłku udałoby mu się ją tam zabrać.

Najsmutniejsze jest to, że w ogóle nie wybrał się w tę podróż, nawet do najbardziej zaprzyjaźłego hoteliku.

– Nie, mamo, to miejsce było dla nas za drogie.

– Wziąłeś przewodnik taty?

Wziąłem jego walizkę, ale o przewodniku zapomniałem. Czasami lepiej trochę minąć się z prawdą.

– Oczywiście, mamo, że wzią...

Połączenie zostaje przerwane. Bateria padła.

– To wina twojego Steve’a Jobsa, że baterie starczą na kilka minut – zarzucam Grubemu, który siedzi z nosem przyklejonym do szyby i ani myśli się odwrócić.

– Tu nawet uliczne korki są piękniejsze niż gdzie indziej! Zobacz, jaki niesamowity pomnik! – Na rondzie, na cokole, stoi rzeźba przedstawiająca lotnika. Podoba mi się tutaj, mam wrażenie, że Warszawa przyjmuje nas w najlepszy sposób z możliwych.

Taksówka zatrzymuje się na światłach. Wokół rozpościera się wielki plac z monumentalnymi budynkami, kawiarniane ogródki pełne są roześmianych ludzi. Po drugiej stronie ulicy idzie smukła dziewczyna z długimi blond włosami. W jej ruchach elegancja łączy się z nonszalancją, chyba nie zdaje sobie sprawy, że przyciąga spojrzenia przechodniów. Teraz suniemy szeroką ulicą w centrum miasta, chłonę przewijające się za szybą samochodu obrazy: szyldy, neony, wielkie reklamowe billboardy, oznaczenia metra, sklepy i kawiarnie. Przed nami wyłania się okazały pałac i wysokie nowoczesne biurowce wokół niego.

– Zobacz te wieżowce! Czuję się, jakbym był w Nowym Jorku! – wdziera się w moje myśli Gruby, wskazując palcem drapacze chmur i wiercąc się na siedzeniu jak małe dziecko.

Wreszcie taksówkarz zatrzymuje się przed wejściem do naszego hotelu. Płacimy i wysiadamy.

– No to jesteśmy... – Gruby oddycha pełną piersią, rozgląda się i nie kryje

radości. – Witaj, Warszawo! – krzyczy, wdeptując jednocześnie w psią kupę.

Wybucham niekontrolowanym śmiechem, podczas gdy mój przyjaciel usiłuje wyczyścić but, trąc podeszwą o krawężnik.

– Co za gówno! – utyskuje pod nosem.

– Jeszcze nigdy przekleństwo nie było tak adekwatne do sytuacji – komentuję z rozbawieniem.

Wyjmujemy z bagażnika nasze torby i wchodzimy do hotelu.

W lobby panuje atmosfera z dawnych lat. Na ścianach wiszą oprawione w ramki zdjęcia w kolorze sepii przedstawiające przedwojenną Warszawę: szerokie ulice pełne konnych powozów, kamienice w budowie, ulicznych sprzedawców. Z pewnością nie jest to luksusowy hotel, ale ma w sobie coś niezwykłego.

W recepcji nikogo nie ma, na ladzie leży plik formularzy dla gości. Coś mi mówi, że przyjdzie nam trochę poczekać.

Dokładnie w tym momencie z zaplecza wyłania się około pięćdziesięcioletnia rudowłosa kobieta z twarzą usianą piegami. Pod pachą trzyma kilka zafoliowanych prześcieradeł.

– Przepraszam, byłam w pralni – mówi, wskazując głową prowadzącą w dół schody. Domyślam się, że to rodzinny biznes. Kryzys dotarł również tutaj.

– Gruby... to znaczy Domenico Sensi – przedstawia się mój przyjaciel.

Pani Nowak, tak napisane jest na plakietce przy marynarce, odkłada pościel i wita się z nami.

– *Italiani?*

Nie wisimy na telefonie, nie rozmawiamy z mamą, a jednak wszędzie nas rozpoznają. Chyba mamy to wryte na czołach. Po chwili zauważam, że na walizce Grubego widnieje wielka naklejka z pizzą, Koloseum i talerzem spaghetti, która wygląda jak reklama z lat pięćdziesiątych, i już rozumiem.

Pani Nowak wygląda jednak na bardzo z tego zadowoloną.

– *Bellissimo!* Dziadek mojego dziadka przyjechał tu wiele *anni* temu. Był z *Abruazji*.

– Chyba z Abruzji – wymknęło się Grubemu w obliczu tej osobliwej mieszanki włoskiego i polskiego.

– Ten *ponte* zbudować mój pradziadek. – Pani Nowak pokazuje jedno z pożółkłych zdjęć wiszące na ścianie. – A w tym *shop* pracować moja babka, potem zrobić własny *business* i teraz *tutto* w jej rękach.

Zastanawiam się, czy my również, starając się mówić w obcym języku, osiągamy taki sam katastrofalny efekt.

– Ja też mieć *cugino*, który nazywa się Enzo. – Gruby kiwa ze zrozumieniem głową.

Nie, osiągamy znacznie gorszy efekt.

I tak Polka o włoskich korzeniach z Abruzji oprowadza nas po hotelu i wreszcie umieszcza w najlepszych pokojach. Mój ma numer trzydzieści siedem. Otwieram drzwi i od progu zwracam uwagę na lampę, identyczną jak w pokoju Valerii. Ogarnia mnie spokój. Widać, że również w Warszawie można czuć się jak w domu.

12

W zaciszu warszawskiego pokoju.

Tak zatytułowałbym powieść, jeśli udałooby mi się ją kiedyś napisać. Tytuł nadałby się również na płytę, choć może brzmi zbyt intymnie i niszowo, zważywszy że Lady Gaga odniosła sukces utworami *Poker Face* i *Paparazzi*. Płyty z pewnością nie nagram, nie jestem uzdolniony muzycznie. Potrafię jedynie słuchać. Wyjmuję z kurtki odtwarzacz MP3 i ustawiam go na komodzie. Przyda mi się w nocy, bo trudno mi będzie zasnąć, taki jestem podekscytowany.

Ale teraz chętnie uciałbym sobie drzemkę, więc kładę się na łóżku i zamykam oczy. Tylko na chwilę, mówię sobie. Natychmiast się rozmarzam: wyobrażam sobie, jak leżę na wielkim małżeńskim łóżu pokrytym płatkami róż, podczas gdy masażystka o wyglądzie Natalie Portman wciera w moje plecy olejek, a dziewczyna o twarzy Jennifer Lawrence szykuje mi drinka z owocami i lodem. Tak, w zaciszu warszawskiego pokoju... Mój sen przerywa gwałtownie dzwonek telefonu, który podłączyłem do ładowarki.

Zrywam się na równe nogi ze ściśniętym gardłem. Numer, który się wyświetla, jest zastrzeżony. Co za niespodzianka, musiałem przyjechać aż tutaj, żeby odebrać ten telefon. Idę o zakład, że ta suka Alessia wszystko sobie przemyślała i teraz łamiącym się głosem będzie mnie przeproszała i prosiła o wybaczenie. Zapewniała, że Bato nic dla niej nie znaczy, że liczę się tylko ja i że już nie może beze mnie wytrzymać, i że jedyne, o czym marzy, to znaleźć się w moich ramionach.

„No to biegnij do mnie”. Nie mogłem się doczekać, kiedy wypowiem te słowa. „Jestem w Warszawie, prawie dwa tysiące kilometrów od ciebie i tego kutasa zdrajcy”. Będę mówił spokojnym, zimnym głosem, wyraźnie akcentując sylaby. „Zdraj-cy”. I jeszcze dodam: „su-ka”. Telefon dzwoni długo, więc wreszcie odbieram, gotowy wziąć odwet.

– Nicco, kurwa, gdzie jesteś? Dlaczego nie odbierasz?

To nie Alessia, ale zdenerwowana Valeria. Nie wierzę własnym uszom,

mam ochotę powiedzieć kobietom z mojej rodziny, żeby się uspokoiły i mnie nie szukały, sam się odezwę, gdy będę miał chwilę, może na Skypie. Ale cóż robić.

– Valeria? Jak to, gdzie jestem? Nie pamiętasz, że pojechałem do Warszawy?

– Oczywiście... – kłamie, bo przypomniała sobie o tym dopiero teraz. – Dlatego dzwonię. Dobrze się bawisz? – pyta pośpiesznie, sprawia wrażenie lekko nieprzytomnej.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Dopiero przyjechałem, przed chwilą zainstalowałem się w hotelu i...

Nie pozwala mi dokończyć, w jej głosie słychać lęk.

– Jesteś na mnie zły, prawda?

– O czym ty mówisz?

– Nie chciałam ci przeszkadzać... Ale źle się czuję... duszę się, Nicco... Czuję, że się duszę... Serce bije mi jak oszalałe... Nie mogę oddychać.

Słyszę jej przyśpieszony oddech. Przypomina mi się rozmowa z tatą, którą odbył ze mną, gdy odwiedziłem go w szpitalu:

– Obiecuj, że się nimi zajmiesz.

– Oczywiście, tato. Ale gdy tylko wydobrzejesz i wrócisz do domu, sam o nie zadbasz.

– Tak, tak, gdy wyzdrowieję. Ale dbaj o Valerię, sprawia wrażenie silnej jak lew, a jest delikatna jak motyl, jej skrzydełka mogą się w każdej chwili złamać.

Moja siostra zaczyna dyszeć, boję się, że coś jej się stanie. Skrzydła motyla uderzają nerwowo o lampę. Muszę myśleć o niej, jak obiecałem tacie, który wiedział, że już nie wróci do domu.

Mój wzrok pada na jednorazową chusteczkę odświeżającą wziętą z samolotu. Jedną z wielu rzeczy, które zachowałem bez powodu.

– Valerio, uspokój się. Weź torebkę. – Zaczynam mówić szybko, by nie tracić niepotrzebnie czasu.

– Jaką torebkę? – pyta przestraszona.

– Papierową... jakąkolwiek, taką od chleba. Oddychaj do niej. – Staram się zachować spokój, by jeszcze bardziej jej nie zdenerwować. Słyszę, jak chodzi po pokoju.

– Mam.

– Doskonale. Teraz przyłóż ją do ust i oddychaj do środka.

Valeria robi, co mówię, po czym zaczyna kaszleć.

– Cholera, nałykałam się okruszków.

Wyciera nos, a mnie chce się śmiać. Jej zresztą też.

– O mało się nie udusiłam, słuchając twoich rad.

– Więc nie dzwoń do mnie następnym razem! Widziałem, że robili tak na filmie, i zdało egzamin. – Trochę sobie żartuję w nadziei, że to ją uspokoi.

– Próbowałam krzyczeć, wzywać pomocy, ale nie mogłam wydobyć głosu... Uwiązł mi w gardle. Dobrze się stało, bo gdyby mama usłyszała, zmartwiłaby się. Po tym wszystkim, co przeszła, wolałabym nie przysparzać jej dodatkowych kłopotów... – Zaczyna płakać, mimo odległości niemal czuję jej rozpacz.

– Uspokój się i powiedz, co się stało.

– Nic. Giorgio, ten surfer, wyjechał – chlipie Valeria. – Ale on mnie nie obchodzi.

– Aha.

– Chodzi o to, że wszyscy, których kocham, odchodzą.

– Przed chwilą powiedziałaś, że cię nie obchodzi...

– To nie przez niego, w najgorszym wypadku odwiedzę go na Hawajach... To przez tatę.

Tu jest pies pogrzebany. Nasza czarna otchłań, do której co rusz wpadamy. Ale ja muszę ją z niej wydostać, obiecałem to tacie.

– Wiesz, kiedyś tata powiedział mi, że widziałby cię u boku jakiegoś sportowca. „Do twojej siostry trzeba mieć sportowe podejście”, mawiał.

Teraz Valeria płacze jeszcze głośniej.

– Kiepsko mi idzie, nie umiem cię pocieszyć – mówię przygnębiony.

– Uważasz mnie za wariatkę, prawda? – Valeria pociąga nosem. – Bo dzwonię do ciebie na drugi koniec Europy, żeby powiedzieć, że jestem sama, z każdym dniem coraz bardziej sama...

– Nie jesteś sama, masz mnie, mamę, Fabiolę...

– Proszę cię, nie rozmawiajmy o Fabioli. Robiła wszystko, żebym w oczach taty wyszła na kretynkę. Uwielbiała, kiedy czułam się jak piąte koło u wozu, jak zakąła rodziny.

– Vale, przecież byłaś oczkiem w głowie, najmłodszą córeczką tatusia, którą rozpieszczęł...

Po drugiej stronie znowu słyszę szloch. Dlaczego nie potrafię znaleźć odpowiednich słów? W pokoju robi się ciemno, więc zapalam lampkę i w tej samej chwili zastanawiam się na głos nad tym zbiegiem okoliczności:

– Wiesz, że w tym hotelu jest identyczna lampka jak twoja? Z pomarańczowym abażurem wykończonym koronką. – O dziwo, te słowa działają na mnie kojąco. – Pamiętasz, jak kiedyś z Fabiolą zabraliśmy ci tę lampkę? Bałaś się ciemności i krzyczałaś wniebogłosy. Powiedzieliśmy ci, że lampka wylądowała na planecie Pepita.

– Byliście okropni.

Śmieję się, bo trudno odmówić jej racji.

– Tata postanowił dać nam nauczkę i zostawił nas w domu, a ciebie zabrał wieczorem do lunaparku, który wtedy był otwarty do późna, by pokazać ci miasto nocą. Wysoko w wagoniku na diabelskim młynie oddał ci pomarańczową lampkę, mówiąc głosem dodającym otuchy, że właśnie tutaj jest planeta Pepita.

– Pamiętam, choć nic z tego nie rozumiałam. – W głosie Valerii słychać podniecenie jak u małej dziewczynki. – Nie wiedziałam, czy mam się bać, czy cieszyć... Nadal mam takie wątpliwości.

– Chyba jednak się cieszyłaś. Po powrocie wręczyłaś nam słodkie migdały, a na torebce napisałaś: „Pozdrowienia z planety Pepita”.

– Wiesz, że jeszcze w zeszłym roku Fabiola wypominała mi, że musiała chodzić do dentysty, by wyleczyć próchnicę, do której przyczyniły się te migdały z lunaparku?

Tym razem oboje wybuchamy śmiechem.

– Fabiola potrafiłaby wzbudzić wyrzuty sumienia nawet w świętym Józefie za to, że nie był biologicznym ojcem Chrystusa.

Głos Valerii odzyskuje normalne brzmienie.

– Teraz ja mam wyrzuty sumienia. Strasznie długo rozmawiamy, będzie cię to sporo kosztować.

– Rozmowa z własną siostrą – bezcenne – odpowiadam trochę głupio.

– Za wszystko inne zapłacisz kartą kredytową mamy – kończy Valeria. Chyba najgorszy moment ma już za sobą. Minął paniczny lęk. Motyl znów może wzbić się do lotu.

Oddycham z ulgą. Znowu mogę myśleć o Warszawie. Wyglądam przez okno, w kamienicy naprzeciwko litery w neonie zapalają się i gasną naprzemiennie, oświetlając wnętrze lokalu.

– Słuchaj, nie mam zamiaru spędzić urlopu w Warszawie, wisząc na telefonie. – Udaję obrażonego.

– Nie czepiaj się. Gdybym nie zadzwoniła, umarłbyś z nudów.

Napięcie wyczuwalne jeszcze kilka minut temu uleciało.

– Trzymaj się, Vale – próbuję zakończyć rozmowę.

– Poczekaj... – Valeria chce dodać coś jeszcze, zanim się rozłączy. – Powiedz tej Polce...

– Co takiego?

– Że ma szczęście, że cię spotkała... Podeślę ci, jak to będzie po polsku.

– Dzięki, jasne, że jej powiem. Nie przejmuj się tłumaczeniem, mam ze sobą słownik.

– Jeszcze jedno...

Chyba nieprędko uda nam się zakończyć tę rozmowę.

– Alessia straciła superfaceta. Nigdy nie znajdzie drugiego takiego jak ty.

– Już znalazła.

Powiedziałem to. Nie mogłem się powstrzymać, te słowa wyleciały ze mnie jak napój gazowany ze wstrząśniętej puszkii. Przecież to moja siostra.

– Gruby powiedział ci o Bato!

Co? Mam wrażenie, że jestem w ukrytej kamerze.

– Niewiarygodne! Wiedziałaś o tym? – Nie panuję nad głosem.

– Widziałam ich któregoś wieczoru w kinie. Potem rozmawiałam z Grubym, który powiedział, że czeka na odpowiedni moment, by ci o tym powiedzieć...

– I doczekał się... W samolocie, kiedy zamknięto drzwi i nie mogłem już wysiąść.

– Dobrze się stało, w przeciwnym razie rozbijałbyś się po Rzymie jak Rambo... Kiedy wpadłam na nich w kinie, byli tacy... Och, dajmy spokój.

– Jacy? – Sztywnieję.

– Nieważne... Teraz jesteś w Polsce i masz nową dziewczynę, prawda?

– Tak, ale chcę wiedzieć, co miałaś na myśli, mówiąc: „byli tacy”?

– Co miałam na myśli... miałam na myśli, że byli tacy w sobie zakochani...

Jestem mistrzem w niedopuszczaniu do siebie pewnych informacji. Mógłbym w nieskończoność polemizować na ten temat, poprowadzić telewizyjny talk-show, w którym dyskutowałbym z tą tezą, oraz zmusić wszystkich naukowców na świecie, by przyznali mi rację.

– Przepraszam, ale widzisz od tyłu dwie osoby siedzące przed ekranem kinowym i wiesz, że są w sobie zakochane? Jakim cudem?

– No wiesz, te wszystkie głupstwa, które robisz, kiedy jesteś zakochany.

– Nie, nie wiem... – Już nie.

– No, wygłupiali się, szturchali, ona trzymała kubek z popcornem i go karmiła...

– Nie!

– Tak! Dlaczego miałabym ci ściemniać?

– Tak tylko powiedziałem, bo ja robiłem z nią to samo.

W kinie zawsze braliśmy zestaw maxi i karmiłem popcornem na zmianę siebie i ją. Alessia co jakiś czas przytrzymywała moją dłoń, brała do ust mój palec i go ssała. Patrzyła na mnie dwuznacznie i mówiła: „Mniam, dobre... ale za mało słone, jak na popcorn”.

Tego oczywiście siostrze nie mówię.

– Nicco, nie myśl o tym... – Najpierw wbiła mi nóż w serce, a teraz mówi,

żebym o tym zapomniał. – Nie zawracam ci więcej głowy... Zadzwoń, gdy będzie ci źle.

To już szczyt wszystkiego! Najpierw dzwoni do mnie na drugi koniec Europy i oznajmia, że ma napad paniki, po czym sama gotowa jest pomóc.

– Poczekaj, Vale. Jeśli pojedziesz na Hawaje, weźmiesz mnie ze sobą?

– Co?

– Przynajmniej zaoszczędzimy na telefonach.

13

Pod moimi drzwiami słyszę stado spłoszonych koni. Albo raczej solowy popis perkusisty zespołu heavymetalowego. Podchodzę do drzwi. Dopiero teraz widzę, że zamknąłem się na klucz, więc przekręcam go w zamku.

Gruby taksuje mnie od stóp do głów.

– Jeszcze niegotowy? – pyta. Pod pachą trzyma dużą paczkę.

Pośpiesznie omiata wzrokiem mój pokój: nietkniętą walizkę, trochę zmiętą narzutę, do połowy zaciągnięte zasłony. I mój mizerny wygląd.

– O kurwa, waliłeś konia?

Faktycznie, neonowe światło wpadające przez okno, bordowe aksamitne zasłony i kwiatowa tapeta na ścianach nadają pokojowi buduarowy klimat. Kiedy robiliśmy rezerwację, hotel reklamował panującą w nim romantyczną atmosferę.

– Rozmawiałem z siostrą. Równo piętnaście minut.

Gruby pakuje się do środka, podchodzi do okna i podziwia blask wpadającego przez okno neonowego światła na swoich niebieskich butach.

– Miej na uwadze rachunki za telefon!

Słyszę sygnał nadchodzącego SMS-a. Jest późno, więc daję sobie z nim spokój. Mimo że Valeria przypomniała mi sporo smutnych rzeczy, postanowiłem nie wracać do przeszłości.

– Chciała z kimś porozmawiać, miała atak paniki – tłumaczę, wyjmując z walizki kosmetyczkę.

– Jeśli zaraz nie wrzucę czegoś na ruszt, gotowy jestem zamienić się w kanibala. – Gruby kłapie zębami jak drapieżnik. – Możesz się pośpieszyć?

Rzuca na łóżko paczkę i przegląda się w lustrze, poprawiając fryzurę.

– Szybki prysznic i jestem gotowy.

– Żartujesz? Wyglądasz ekstra. Związałbym się z tobą natychmiast, gdyby nie to, że wolę dziewczynki. Jesteś takim ciachem, że odkąd wyjechałeś, twoja

mama i siostry nie mogą bez ciebie wytrzymać... A podobno w domu jesteś milczący.

– Natomiast tobie powinno się uciąć język. – Ciskam w niego poduszką, ale Gruby robi zgrabny unik, po czym otwiera z nabożeństwem swój cenny pakunek. W środku znajduje się skórzana kurtka.

– Poczekaj, nie chcesz chyba przegapić prywatnego pokazu mody. – Zatrzymuje mnie na progu łazienki i wkłada kurtkę. – Kupiłem ją specjalnie na ten wyjazd.

Obraca się na pięcie i przechadza po pokoju jak chłopak z chippendalesów. Ciekawość bierze górę i kiedy Gruby jest odwrócony do mnie plecami, odczytuję SMS-a. Nie chcę, by znów mi zarzucił, że tracimy czas. Na wyświetlaczu widnieje imię mojej siostry. Chyba nie spodziewałem się nikogo innego.

„Skoro mówimy sobie prawdę, bądźmy szczerzy do końca: tamtego dnia w kinie był również Gruby z jakąś laską. Żebyś później nie miał do mnie pretensji”.

No cóż, tego się nie spodziewałem.

Gruby idzie w moją stronę, wielce z siebie zadowolony. Kręci biodrami, akcentując każdy krok. Tym razem daję mu prawdziwego kuksańca.

– Hej! Co jest? Nie podoba ci się moja kurtka?

– To mi się nie podoba. – Podtykam mu pod nos komórkę.

Czyta wiadomość i uśmiech momentalnie znika z jego twarzy. Oddaje mi telefon, jakby parzył go w ręce.

– To nie jest tak, jak myślisz...

– A jak jest? Sam mi, kurwa, powiedz, jak jest, bo nie wiem, co mam myśleć!

Gruby kręci głową, chowa twarz w kurtce, z której jest taki dumny.

– Naprawdę nie jest tak, jak myślisz, jesteś w błędzie...

– Dobrze, wyjaśnij mi – mówię lodowatym tonem. – Nie spiesz nam się. Kiedy mamy powrotny samolot? Możemy siedzieć tu przez cały ten czas, ty będziesz mówił, a ja słuchał.

Odwracam się do Grubego plecami, nie mam ochoty na niego patrzeć.

Niechętnie wyjmuję ubrania z walizki, jakbym naprawdę miał spędzić resztę życia w tym hotelowym pokoju. Zaczynam układać je w szafie. Koszule chowam do szuflady, spodnie wieszam na wieszakach. Wreszcie Gruby rozpoczyna wyznanie:

– Może wyda ci się to dziwne, ale tamtego wieczoru nie poszliśmy razem do kina, nie byliśmy umówieni. Spotkaliśmy się tam przypadkiem.

– I siedzieliście obok siebie?

– Co za absurd, prawda? Wina telefonicznej rezerwacji. Sam byłem skrępowany, nie wiedziałem, jak się zachować. Kiedy potem zobaczyłem twoją siostrę, nie wierzyłem własnym oczom! Zbieg okoliczności do kwadratu! Byłem tak spięty, że przez cały film ani razu się nie zaśmiałem.

– Akurat! Co oglądaliście? *Dziennik Anny Frank*? Na tym też potrafiłbyś się śmiać – dorzucam gorzko.

– Komedie Carla Verdone... Wszyscy myśleli, że jestem jakiś nienormalny. Poszedłem z taką jedną Valentiną, która miała melony jak... – Kolistymi ruchami pokazuje, jak hojnie została obdarzona przez naturę wspomniana Valentina: jeśli nie piątka, to na pewno pełna czwórka. – Nie dała się zaciągnąć do łóżka, chyba uznała mnie za dziwaka. Bo co to za facet, który nie śmieje się na Verdone! Jak sądzisz?

Kręcę z niedowierzaniem głową. Jestem wkurzony, rozczarowany, wypompowany.

– Czy naprawdę zawsze wszystko musi kręcić się wokół ciebie? Zdajesz sobie z tego sprawę? Jak to jest, że każda rozmowa kończy się na tobie? Mam ci współczuć, bo tamta laska dała ci kosza? Powiedz, mam cię potrzymać za rękę, utulić?

Jestem na niego zły. Wychodzi ze mnie cała złość, którą mam w sobie i która nie minęła, choć próbowałem udomowić ją jak niemą papugę. No cóż, wygląda na to, że nauczyła się mówić.

Do Grubego chyba dotarło, że sytuacja jest delikatna. Siada na brzegu łóżka, robi niewinną minę i z rozbrajającą szczerością mówi:

– Wiem, że to brzmi paradoksalnie, ale jesteś tak zwaną ofiarą przeznaczenia.

– Padłem ofiarą ludzi, którzy wciskali mi kit. Oto, kim jesteście: zdrajcami.

Nawet we własnej rodzinie mam kłamców.

– A więc Valeria powiedziała ci, że w kinie była również Fabiola?

To nie ukryta kamera, to *Truman Show*. Wszystko między sobą ustalili, a ja jestem jedynym, który nie wiedział o tych planach. Zrobili mnie w konia. Może Alessia jest aktorką i związała się ze mną, bo tak było w scenariuszu? To wszystko trąci przekretem na wyższym szczeblu, zaplanowanym w najdrobniejszych szczegółach.

– Co? Kto jeszcze? Wygląda na to, że ogłoszenia o Alessii i Bato były rozlepione w całym mieście, a tylko ja ich nie zauważyłem.

Wszyscy są w zмовie. Oczami wyobraźni widzę moją nauczycielkę z podstawówki w wielkich okularach. Położną, która przyjęła mnie na tym świecie. Księdza, który dał ślub moim rodzicom. Wujka i kolegów z agencji nieruchomości i w końcu Kałużę. Oni wszyscy wiedzieli, że Alessia i Bato są razem!

– Kretyn ze mnie.

– Rogacz – poprawia mnie Gruby. – Rogacz jest jedyną osobą, która nie wie o tym, że jest rogaczem. Tak jest napisane w każdym poradniku o miłości.

– Co ty o tym wiesz, w życiu nie przeczytałeś żadnej książki! – Z hukiem zatrzaskuję drzwi szafy.

Gruby ani myśli się poddać, skrzyżował nogi na łóżku i wygląda jak prorok.

– Posłuchaj, dużo o tym myślałem i mam pewną teorię... Ale dajmy jej na razie spokój. Może poszlibyśmy coś zjeść, bo umieram z głodu? Przyjechaliśmy taki kawał, żeby odnaleźć wspaniałą dziewczynę, Anię, a może przy okazji znajdziemy również jakąś koleżankę dla mnie. Zapłaciłem nawet za jej adres, tymczasem siedzimy tutaj i wałkujemy temat Alessii. Dostyc tego. Przecież sam powiedziałeś, że kładziesz krzyżyk na tej znajomości.

– A czy to nie ty powiedziałeś mi w samolocie, że moja była spotyka się z innym?

– W porządku, tak się stało. Daj temu spokój, życie toczy się dalej. Nie możesz walczyć z... – Gryzie się w język.

– Z wielką miłością, to chciałeś powiedzieć? To jest ta twoja teoria? Kiedy ma miejsce tyle zbiegów okoliczności, możemy mieć do czynienia tylko z wielką, romantyczną, czystą miłością?

Gruby poważnie, prostuje się i spuszcza nogi z łóżka.

– Nie taką znowu czystą. Wiesz, że grając w Ruzzle, możesz zostawiać innym wiadomości...

– Nie, nie wiem – odpowiadam sucho.

– Jak myślisz, dlaczego większość ludzi gra w Ruzzle, godzinami układając słowa, choć nie interesuje ich wygrana? Wszyscy zmierzają do tego samego celu... – Pokazuje wulgarny gest imitujący stosunek seksualny. – Na początku również Alessia i Bato wymieniali tylko zabawne wiadomości, które z czasem stały się bardziej odważne...

– Co masz na myśli, mówiąc: „bardziej odważne”?

– No, świntuszyli!

– Alessia pisząca świństwa? To niemożliwe.

Ona, delikatna jak kwiat, łagodna jak anioł, moja bohaterka romantycznych powieści, moja Beatrycze, która zmienia się w partnerkę Rocca Siffrediego, aktora porno? Niewiele brakowało, a zacząłbym jej czytać poezje Préverta!

– Kiedyś postanowiłem powiedzieć jej coś ostrego, myślałem, że to ją podnieci i szepnąłem: „Hej, piękna dziwko, zaraz zrobię ci dobrze”. Alessia dostała szału, niewiele brakowało, a by mnie rzuciła.

– Wiem, o czym mówisz, stary... – Gruby oczywiście musi wtrącić swoje trzy grosze. – W zeszłym miesiącu zabrałem na randkę taką jedną kelnerkę z Villaggio Globale di Testaccio, sprawiała wrażenie takiej wyzwolonej, tymczasem...

Nie potrafię dłużej się kontrolować i wybucham. Jeśli nikt nie jest w stanie mnie uratować, sam to zrobię.

– Dosyć tych kelnerek, fryzjerek i całej reszty, w dupie mam twoje opowieści, Gruby. Psujesz mi wakacje, psujesz mi życie... Rozumiesz? Mam dość! – krzyczę.

Gruby zrywa się na równe nogi, on też jest wyczerpany, też ma ochotę sobie powrzeszczeć.

– Do jasnej cholery, zrozum wreszcie, może jeszcze to do ciebie nie dotarło, ale twoja historia się skończyła! Skoń-czy-ła!

Zwija w kulkę bibułkę, w którą owinięta była jego kurtka, i rzuca nią

o ścianę, po czym wychodzi, trzaskając drzwiami z taką siłą, że aż szyby w oknach drżą. Nawet za nim nie patrzę.

Jak szalony układam w szafie pozostałe rzeczy: swetry, slipki, podkoszulki, kurtkę przeciwdeszczową. Następnie biorę do ręki skarpetkę i przecieram nią najwyższą półkę, chcę wszystko wysprzątać, pozbyć się wszelkiego brudu, chcę życia czystego jak łza... Skarpetka jednak wcale nie robi się szara od kurzu. Wygląda na to, że pradziadek pani Nowak nauczył swoich spadkobierców, jak dbać o gości.

Mimo to podchodzę do okna, by wytrzepać skarpetkę. Po drugiej stronie ulicy świeci się jeszcze jeden neon, tym razem błękitny: siedząca na wysokim stołku kobieta z nogą założoną na nogę, w kozakach za kolano. Obok widnieje napis: „Open 24 Club Bar”. To będzie pierwszy przystanek Grubego po wyjściu z hotelu. Nie musi szukać rozrywki zbyt daleko. Może nawet wyrwie za darmo jakąś laskę do towarzystwa. Ileż do niego trzeba mieć cierpliwości. A ile on musi mieć cierpliwości, by wytrzymać ze mną. Muszę przyznać, że w ostatnim czasie dałem mu się we znaki.

No nic, pora na prysznic.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale wychodzę spod prysznicza jak nowo narodzony. Rozpakowałem się, odświeżyłem, przebrałem, dobrze mi to zrobiło. Porządek wokół mnie pozwala mi odnaleźć porządek wewnątrz siebie. Jednak by mieć naprawdę dobre samopoczucie, muszę zrobić jeszcze jedną rzecz.

Pukam do drzwi pokoju Grubego, choć jestem prawie pewny, że poszedł w miasto.

Tymczasem otwiera i od razu przechodzi do ataku:

– Słuchaj, jeśli przyjechałeś do Warszawy, żeby się kłócić, to pomyliłeś adres! Trzeba było awanturować się w Rzymie i oddać mi kasę za bilet, wtedy miałbym powód, żeby cię wysłuchać!

– Przeszedłem zawrzyć układ: ja przestanę się nad sobą uzalać, a ty gadać głupoty.

Widzę błysk w oczach Grubego, chyba wzruszyło go to, że przyznałem się do błędu. Zaraz rzuci mi się na szyję, dziękując, że mu wybaczyłem.

– Wiesz co, Nicco? Można by brać kasę za to, że ludzie wylewają przed nami swoje żale. To wcale nie jest taki głupi pomysł.

– Ktoś już na to wpadł, stary. To się nazywa psychoanaliza – wyjaśniam mu rozbrojony. Gruby porusza się po innej orbicie.

– Aha... – Zastanawia się przez chwilę. – Ale ja stworzyłbym aplikację, która cię wysłucha, przeanalizuje problem i wyśle ci zalecenia, a wszystko to za dziewięćdziesiąt eurocentów.

Niewyczerpany duch przedsiębiorczości połączony z jego wspaniałą prostodusznością to jedna z tych rzeczy, które najbardziej w nim kocham.

– Jeśli ci się uda, będziesz sławniejszy od Zuckerberga! – Wybucham głośnym śmiechem.

– Wiesz, że ja mierzę wysoko.

Podskakuje i robi obrót, jakby wrzucał piłkę do kosza. Dopiero teraz widzę, co jest na plecach kurtki, bo podczas prezentacji w pokoju byłem zbyt skupiony na sobie. Nie wiem, śmiać się czy płakać.

– Wiem, ale Zuckerberg nigdy by czegoś takiego nie włożył!

– Dlaczego? Jest fantastyczna!

– Jasne, z tym skaczącym tygrysem na plecach!

– Kupiłem ją w Hollywood przy via Monserrato.

– W tej wypożyczalni starych kultowych filmów?

– Owszem, a to cacko pochodzi prosto z planu filmowego, należała do Bruce'a Lee. Co może być bardziej kultowego?! Zapłaciłem dwieście euro, kumpel nie chciał opuścić ani grosza.

Gruby bierze telefon i chowa portfel do kieszeni dzinsów.

– Pójdziemy wreszcie na kultową kolację do kultowej knajpy w mojej kultowej kurtce?

– Ona jest vintage, Gruby.

– Vi... co? – Patrzy na mnie zdziwiony.

– Vintage, tak się mówi o rzeczach, które mają ponad dwadzieścia lat, są wyjątkowe i rzadko spotykane.

– Zupełnie jak nasza przyjaźń! – W jego głosie słychać radość. Zamyka za

sobą drzwi.

To jego sposób, by rzucić mi się na szyję i podziękować. Ja też dziękuję, Gruby, że jesteś moim przyjacielem.

- Podoba mi się – mówię.
- Co? – Nie zrozumiał, o co mi chodziło.
- Że jesteśmy przyjaciółmi vintage.

14

Rozumiem, co musi czuć Polak przyjeżdżający do Rzymu około dziewiętnastej. Po przyjemnej i szybkiej podróży pociągiem z lotniska do centrum wysiada na dworcu Termini i zaczyna rozglądać się za taksówką. Wydaje mu się, że cofnął się w czasie, że znalazł się w innej epoce, jak Marty z *Powrotu do przyszłości*. O tej porze w Rzymie podróźni stoją w gigantycznej, wijącej się kolejce do postoju, mając nadzieję, że wkrótce dotrą do domu lub hotelu. Biznesmeni z neseserami, studenci z wielkimi torbiszczami przewieszonymi przez ramię dogadują się między sobą, by rzucić się na kurs, nowobogaccy Chińczycy zaczynają niepokoić się o zaplanowany na następny dzień wyjazd do pobliskiego outletu i zastanawiać, czy da się go przesunąć. Wszystkich łączy jedno: męczące czekanie na pustym postoju taksówek. Ktoś dzwoni nawet do radio taxi z prośbą o podstawienie samochodów. Jeszcze gorzej jest przed świętami Bożego Narodzenia: liczba mieszkańców poszukujących prezentów gwałtownie wzrasta, a liczba taksówkarzy gwałtownie maleje. I jedni, i drudzy zachowują się tak, jakby padli ofiarą jakiejś tajemniczej siły. Może przedsiębiorstwa sań zaprzęgniętych w norweskie renifery, które rzuciło czar. Poruszanie się po jednej z największych europejskich stolic w XXI wieku nie jest zdobyczą cywilizacji.

W Warszawie wystarczy wyciągnąć rękę i po chwili podjeżdża taksówka, a czasami nawet dwie.

Ale my, trochę z oszczędności, a trochę z chęci zobaczenia miasta, ruszamy na piechotę.

– Nicco, żebyśmy się tylko nie zgubili.

– Spokojna głowa, Gruby, jesteście dwa kroki od centrum, jak mielibyście się zgubić? Niczego tutaj nie znamy, wszystko jest nowe, odkrywamy to miasto.

– Czytałem na jakimś blogu, że supermiejscem w Warszawie jest Powiśle i że pełno tam ślicznych lasek. Zaraz spytam ją o drogę. – Gruby zaczepia

idącą z naprzeciwka dziewczynę: – *Sorry*, jak dojść na Powiśle, *ristorante*, *bar*, *belle ragazze*?

Dziewczyna patrzy na nas trochę sceptycznie, ale tłumaczy, jak dojść.

– Musicie iść prosto i koło uniwersytetu zejść na dół, w stronę Wisły.

Gruby już jest zagubiony, ale nie na warszawskich ulicach, ale w spojrzeniu tej ślicznej jasnowłosej Polki.

– Dlaczego w szkole uczyli nas francuskiego? Zabij mnie, ale do dzisiaj nie mam pojęcia – mówi, kiedy ruszamy w kierunku wskazanym przez dziewczynę.

– Spokojnie, pewne wyrażenia są uniwersalne dla każdego języka. – Puszczam do niego oko.

Wygląda na to, że zdolności językowe Grubego pozostawiają wiele do życzenia, bo knajpa, do której docieramy, w niczym nie przypomina „miejsca pełnego ślicznych lasek”. Nie jestem w stanie przeczytać nazwy lokalu, ale wygląda na to, że podają tu typową polską kuchnię. Przez duże szyby widać rodziny i grupy przyjaciół.

– Jesteś pewny, że o to miejsce ci chodziło?

– Jestem tak głodny, że niczego już nie jestem pewny.

Wchodzimy. Moją uwagę przykuwa duża czarna tablica z wypisanym menu, niestety nazwy dań nic mi nie mówią. Za barem uwijają się kelnerzy, widać również dwóch kucharzy, którzy na oczach klientów szykują niektóre potrawy. Za nimi ze skwierczących stalowych patelni i wielkich garnków unosi się wspaniały zapach.

– Coś tu chyba zamówimy, pachnie wyśmienicie – mówię do Grubego.

– Czytałem na blogu, że podają tu tradycyjne potrawy kuchni polskiej i że można podglądać kucharzy podczas pracy...

– Włosi? – zaczepia nas jeden z kelnerów.

– Tak, z Rzymu – natychmiast odpowiada Gruby.

– W takim razie polecam pierogi *all'italiana* dla naszych rzymskich przyjaciół!

– Nicco, o tym też czytałem na blogu. Pierogi to takie nasze *ravioli*, a włoskie są z mięsem i sosem pomidorowym.

– Brzmi świetnie, nie?

Kelner wskazuje nam stolik przy oknie.

– Jestem Gruby, a ty jak się nazywasz?

– Tadek, ale przyjaciele mówią na mnie Teddy.

Zajmujemy miejsca. Gruby rozgląda się po sali.

– Dziewczyn faktycznie nie widać, ale jedzenie tak!

– Może głód zasnuł ci wzrok?

Przyglądam się kucharzowi, który niezwykle zręcznie lepi pierogi z różnym nadzieniem: szpinakiem, kapustą, grzybami, buraczkami, różnymi rodzajami kasz. Jest też wersja na słodko, widzę jabłka, jagody, maliny i inne składniki, których nie rozpoznaję. Nie mija pięć minut, a lądują przed nami dwa talerze z parującymi pierogami *all'italiana*.

– Zobaczmy, czy te pierogi są godne swojej nazwy – zwraca się Gruby do kelnera, a w jego oczach widać wyzwanie.

– Raz spróbujesz i nie będziesz mógł bez nich żyć, przyjacielu – odpowiada Teddy i stawia na stole koszyczek z chlebem, słoik ze smalcem – nie mam pojęcia, co to jest, ale pachnie wyśmienicie – duży talerz kolorowych surówek i dwa piwa.

– A wszystko to za jedyne pięćdziesiąt złotych... Gdzie ty wynajdujesz takie miejsca? Nawet jeśli nie ma tu dziewczyn, to bez znaczenia, spróbuj, jakie pyszne mięso.

Gruby wsuwa do ust pieroga i zjada go ze smakiem.

– Poza tym jesteśmy tak wykończeni, że żadna nie rzuciłaby na nas okiem.

– Mów za siebie – mamrocze Gruby. Sięga po zimne piwo i upija duży łyk.

– Cholera, przykro mi się zrobiło.

– Z jakiego powodu?

– Że wyładowałeś swoją złość na mnie, choć ja zawiniłem najmniej.

– Chcę wiedzieć jeszcze tylko jedną rzecz: kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Parę dni przed poznaniem cudzoziemek.

– Tyle czasu... i nawet się nie zająknałeś?

– Nie chciałem, żebyś cierpiał. Uważałem, że to Bato powinien być ci o tym powiedzieć, nawet się z nim o to pokłóciłem... – Zwraca się do

przechodzącego obok naszego stolika kelnera: – Mogę prosić jeszcze jedno piwo? Albo dwa... dwa duże polskie piwa.

Teddy patrzy na nas zza baru, kiwa głową i puszcza do nas oko. Zaczynam się zastanawiać, czy to nie tik. Gruby kontynuuje swój wywód:

– Kłócenie się z Bato teraz, kiedy jest okazja, by za darmo jechać na Malediwy, nie jest rozsądne... – Wzdycha. – Skoro wszyscy musieliśmy przez to przejść, wolałbym, żeby Alessia najpierw spotykała się z Bato, a potem zostawiła go dla ciebie. Przyjaźnię się z Bato, to prawda, ale z tobą bardziej! Czy myślisz, że Jezus nie miał swojego ulubieńca z tej dwunastki, która siedziała z nim przy stole? Oczywiście oprócz Judasza... Choć to jego zdradzie zawdzięcza sławę, prawda?

– Gruby!

Zaczyna nucić pod nosem.

– *Jesus Christ Superstar, na, na, na, na, na, na, na...* Czasami pech przynosi sławę. Wiesz, że ten film jest kultowy i nadal cieszy się dużym powodzeniem? Ciągłe mnie o niego pytają. Dwa tygodnie temu ściągnąłem go z sieci i wypaliłem siedem DVD! Zarobiłem na czysto trzydzieści pięć euro!

– Na czysto, co?

Obaj sięgamy po piwo, które kelner właśnie postawił na stole. Jest zimne i smaczne. Wypijamy je do dna.

– Ale mi się pić chciało...

– Tego mi było trzeba, chyba odwodniłem się w samolocie.

– Możliwe.

Zamawiamy kolejne dwa piwa.

– Chyba trochę przesadzamy...

– Żaden z nas nie musi prowadzić.

– Racja.

– Wracając do tematu... Jeśli się dobrze zastanowisz, historia nabiera rumieńców. Ty jesteś Jezusem, on Judaszem, a Alessia Magdaleną. Tylko ona mogła zrobić ci takie świństwo w tak trudnym dla ciebie momencie. Straciłeś tatę, miałeś za sobą trudny rok, a ona co robi? Rzuca cię. – Gruby milknie. Po chwili wraca do przerwane go wątku, choć od alkoholu ma błyszczące oczy

i ospałe spojrzenie. – Na miejscu Alessi nigdy bym cię nie zostawił.

– Nie myl miłości ze współczuciem.

Ciekawe, czy gdybym pił whisky, też gadałbym takie banały. Teraz, kiedy mój kufel znowu jest pusty, chętnie napiłbym się czegoś mocniejszego.

– Przestań... Powiem inaczej, gdybym był Alessią, nie zostałbym z tobą, ale też nie zacząłbym umawiać się z twoim przyjacielem. – W głosie Grubego nie ma cienia wahania, dla niego wszystko jest albo czarne, albo białe.

– W miłości nie ma reguł – zauważam. – Chcesz robić to, czego pragniesz, czujesz namiętność, która pali cię od środka, i zapominasz o całym bożym świecie, na nikogo się nie oglądasz, chcesz tej drugiej osoby, i koniec. Miłość jest czerwona, mój drogi, czerwona jak ogień – przyznaję wbrew sobie.

Patrzy na mnie zaskoczony. Mówię dalej, bo bardzo zależy mi na tym, żeby zrozumiał, o co mi chodzi.

– Dociera to do ciebie w momencie, kiedy masz wrażenie, że cały świat leży u twych stóp. Nie czujesz głodu, nie potrzebujesz snu, nie czujesz zimna. Wystarczy ci ona...

– Przepraszam... – Gruby wchodzi mi w słowo – ale w ten sposób usprawiedliwiasz Alessię i Bato, wybaczasz im w imię miłości? Co ty próbujesz mi powiedzieć? Nic nie rozumiem...

Patrzę na niego i uśmiecham się szeroko.

– To proste, nigdy nie byłeś zakochany.

Czuję, że wypite piwo zrobiło swoje: zaczynam widzieć jak przez mgłę, nagle dopada mnie potworne zmęczenie i odchylam się na oparcie krzesła.

– Skoro tak mówisz... może któregoś dnia zrozumiem! – Gruby kończy moją porcję chleba ze smalcem, upija łyk piwa i znów zaczyna śpiewać: – *Jesus Christ Superstar... na, na, na, na, na, na, na!*

Nie widzę Teddy'ego, ale jestem pewny, że rytmicznie kiwa głową.

15

Nie pamiętam, jak znalazłem się w basenie. Unoszę się na powierzchni wody z rozpostartymi ramionami. Mam na sobie ubranie z poprzedniego dnia, natomiast niebieska czapka z daszkiem zsunęła się z mojej głowy i opadła gdzieś na dno pode mną. Wydaje mi się, że byliśmy na jakimś przyjęciu, gdzie było pełno gości, zorganizowanym w okazałej willi pani Nowak, którą wzięliśmy za właścicielkę podrzędnego hoteliku, a w rzeczywistości... Nie mam wątpliwości, że za tym wszystkim stoi Gruby. Gdzie on jest? Pewnie obraca jakąś pannę, jakżeby inaczej. Poddaję się kołysaniu, a po chwili do moich uszu dochodzi dźwięk wirującej wody, jakby ktoś wyjął korek. Ludzie stojący na trawniku wokół basenu pośpiesznie się rozchodzą, a w oddali słychać syreny. Nie, to budzik, nie, nie budzik, sygnał SMS-a. Otwieram oko i stwierdzam, że wcale nie pływam w basenie, choć jestem mokry. Leżę w łóżku zlany potem. Czuję suchość w ustach i tęniący ból w głowie. Coś uwiera mnie w biodro. Usiłuję odnaleźć komórkę, gdzie ona jest? Wyciągam po omacku rękę, ale trafiam w pustkę. Odwracam głowę. Komódka jest po drugiej stronie łóżka. Przewracam się zdezorientowany w pościeli. Kto przemeblował mój pokój? Gdzie ja jestem? Wszystko wygląda inaczej. Gdzie moje łóżko, poduszka? Tu nie pachnie jak u mnie w domu! Co się stało? Otwieram drugie oko. Widzę wiszące na ścianie sepiowe zdjęcia państwa Nowaków. Oddycham z ulgą, jestem w Warszawie. Jeśli tylko dowiem się, kto wynalazł piwo, zabiję go...

Szukam po omacku wśród prześcieradeł czegoś, co potwornie uwiera mnie w plecy: no tak, komórka, spałem na niej! Stąd ten ból w biodrze. Pomału odzyskuję jasność umysłu: wczoraj wieczorem nie nastawiałem budzika, więc ten dźwięk oznacza nadejście wiadomości. A wiadomość jest od Grubego:

„Nie chciałem cię budzić. Jestem w barze Costa Coffee na rogu, na prawo od hotelu. Dziewczyna w recepcji mi poleciła. Udało mi się kupić «Corriere dello Sport»”.

Wkrótce będziemy się czuli jak w barze pod domem, gdzie każdego ranka

gadamy, robiąc plany i ładując baterie na czekający nas dzień. Gruby nigdy nie rezygnuje ze swoich przyzwyczajzeń, w tym z budzenia mnie bez względu na to, w jakim miejscu świata się znajdujemy. Teraz jesteśmy w Warszawie, a on szuka „Corriere dello Sport”. Gdy pomyślę, czego szukali w nowych miastach nasi przodkowie...

Błyskawicznie z leniwca zmieniam się w człowieka energicznego. Co prawda podkrążone oczy, które widzę w lustrze, świadczą o czymś zupełnie innym, ale szybki prysznic i poranne ablucje przywracają do życia przystojnego chłopaka, jakim niewątpliwie jestem.

Stąd pewnie promienny uśmiech, którym obdarza mnie dziewczyna w recepcji.

– Dzień dobry – mówię, rzucając okiem na plakietkę przy jej żakiecie: „W. Nowak”. Na jej buzi nie ma śladu piegów, ale nie mam wątpliwości, że jest spadkobierczynią swojego pradziadka. Mówi coś do mnie, ale nic nie rozumiem, więc uśmiecham się do niej i wychodzę z hotelu.

Mam wrażenie, że znalazłem się w środku kotła. Ulicą wolno sunie sznur samochodów, co rusz jakiś zniecierpliwiony kierowca trąbi, śmieciarka podnosi kilkutonowe kontenery ze śmieciami, jakby były wypełnione pierzem, chodnikiem równym nurtem płynie rzeka ludzi. I rytm miasta, zupełnie inny niż ten, który znam.

Nagle czuję lekkość i ulgę, jakby tutaj, z dala od rodzinnego Rzymu, wszystko miało inne znaczenie. Wibruje mój telefon. Kto tym razem? – zastanawiam się.

– Cześć, Nicco...

– Co się dzieje? Powinienem się martwić?

– Nie, wszystko w porządku, dlaczego?

– Jak to dlaczego? W Rzymie nie słyszymy się miesiącami, a ledwie wyjechałem, ty już do mnie dzwonisz!

– No tak, zupełnie zapomniałam.

To niepodobne do Fabioli, jej takie informacje nie wypadają z głowy.

– Skąd ta zmiana?

– Jaka?

– Jak to jaka? Ten telefon do mnie.

– Miałam ochotę cię usłyszeć.

Postanawiam jej uwierzyć.

– Jak się ma Francesco?

– Dobrze, teraz jest z mamą w parku.

– A Vittorio?

– Też dobrze. Nawet lepiej niż zwykle, wrócił do sportu. W czwartki wieczorem gra z kolegami z klasy w nogę, chodzi na siłownię, a w weekendy na tenisa. Chce wziąć udział w zawodach master.

– A co to takiego?

– Mistrzostwa dla amatorów powyżej czterdziestki...

– Aha...

– Taka jest przynajmniej wersja oficjalna, bo moim zdaniem ma romans...

– Kto? Vittorio?

– Widzisz, jak się sprawy mają...

Chce mi się śmiać, ale zachowuję powagę, bo po mojej siostrze można spodziewać się wszystkiego. Najpierw zdradziła Vittoria i zaczęła umawiać się ze swoją licealną miłością, Claudiem. Potem któregoś wieczoru wrobiła mnie w kolację ze swoim mężem, bo wymyśliła sobie, że to ja mu o wszystkim powiem. Natomiast teraz odwróciła kota ogonem i wychodzi na to, że to Vittorio zdradza.

– Kto sieje wiatr... – mamrocę pod nosem.

– Co powiedziałaś?

– Nie, nic, że trochę wieje. Słuchaj, jestem za granicą, może moglibyśmy porozmawiać, gdy wrócę do Włoch?

– Przepraszam, oczywiście, chciałam tylko chwilę pogadać, jesteś jedynym, który wie...

– W porządku.

Wolałbym o niczym nie wiedzieć.

Fabiola milczy przez chwilę, po czym podejmuje przerwany wątek:

– Wiesz, co jest w tym najbardziej zaskakujące? Powinam się cieszyć, że Vittorio kogoś ma, wybawiłby mnie z kłopotu, nie musiałabym nikomu nic mówić...

– A komu chciałaś powiedzieć?

– Nikomu, powiedziałam tak ogólnie... Jeśli naprawdę miałby romans, moje wyrzuty sumienia by zniknęły, a wszystkie żale i komentarze, które pojawiają się w takich sytuacjach, kierowano by pod adresem tej suki! Koniec końców wyszłabym z tego jako ofiara...

– Biedaczka... – mówię ze śmiechem.

– Naprawdę tak jest. Potem odczekałabym trochę i w końcu, jak w dobrych komediach romantycznych, przyprowadziłabym Claudia na jakiś rodzinny obiad. Oboje piękni i szczęśliwi, nikt nie mógłby odmówić mi racji! Już słyszę ich komentarze: „Dobrze zrobiła, że zmieniła mężczyznę! Biedaczka, z drugiej strony Vittorio wykręcił jej taki numer... nic dziwnego, że Fabiola wróciła do swojego szkolnego chłopaka... Od początku powinna była za niego wyjść!”.

Trudno się z nią nie zgodzić, ale ona chyba myśli inaczej.

– Tymczasem ta sprawa wprawiła mnie w zły nastrój, od dwóch dni nie myślę o niczym innym i jestem wkurzona. Zastanawiam się, kim jest ta druga.

– Fabiolo, czy to jest tylko twoje podejrzenie, że Vittorio ma romans, czy też odkryłaś jakieś SMS-y, telefony, ślady szminki na koszuli?

– Nie, nic z tych rzeczy, ale...

– Ale?

– Widzę, że jest jakiś rozkojarzony, ma jakieś sprawy na głowie...

„Ma jakieś sprawy na głowie...” Niesłychane, ona ma romans, ale winny jest jej mąż, bo ma jakieś sprawy na głowie. Fabiola to wariatka, nie mam innych słów, by ją opisać.

– Zrozumiałam, że źle się z tym czuję. Dotarło do mnie, że tak naprawdę nadal bardzo zależy mi na Vittoriu! Cholera jasna! Przecież to niedorzeczne! Czy zdarzyło ci się kochać dwie osoby jednocześnie?

– Nie.

– No to masz szczęście.

– Niezły pasztet, prawda?

– Nie pomaga mi twój sarkastyczny ton mądrego brata... Powiedz, jak podróż?

– W porządku.

– Już zdecydowaliście, co chcecie zobaczyć?

– Mniej więcej tak, choć moje oczekiwania są pewnie zupełnie niż oczekiwania Grubego. Chciałbym...

– Swego czasu z Vittorioem dużo podróżowaliśmy, myśleliśmy nawet kiedyś, żeby przeprowadzić się całą trójką za granicę, najchętniej do Nowego Jorku, ale dla mamy to byłby cios.

Fabiola jak zwykle zadaje mi pytania i nie słucha odpowiedzi, nic ją nie obchodzi.

– Przywieziesz mi jakiś prezent?

– Postaram się, choć nie wiem, czy będę miał czas na szukanie...

– Jeśli to kwestia kasy, mogę zrobić przelew.

– Daj spokój! Przelew zrobisz, gdy po powrocie dostanę rachunek za telefon.

– Masz rację, już kończę. Wiesz co? Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może powinnam pojechać dokądś z Vittorioem, jak za dawnych lat?

– Myślę, że to dobry pomysł...

– Jeśli powie, że nie chce jechać, to znaczy, że spotyka się z inną.

– Albo że ma dużo pracy, nie sądzisz?

Fabiola znowu przez chwilę nic nie mówi.

– Możliwe. Nicco?

– Tak?

– Uważaj na siebie.

– Nie ma powodu do obaw, przecież Warszawa to nie dżungla.

– Miałam na myśli, żebyś uważał, bo jeśli zakochasz się w cudzoziemce, mogą wyniknąć z tego same kłopoty.

– Aha... no tak... – Nigdy nie wiadomo, jak ustosunkować się do takich uwag. – Cóż, dzięki za telefon.

Ciekaw jestem, czy wyłapie moją ironię.

– Nie ma za co.

Jednak nie.

– Nicco? – moja siostra nie zamierza skończyć.

– Tak, Fabiolo?

– Baw się dobrze. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Chwilę później wchodzę do kawiarni. Gruby siedzi przy stoliku koło okna, przed nim stoją dwa duże kubki z kawą i talerz ciastek, w ręku trzyma otwartą gazetę, której jednak nie czyta. Podrywa atrakcyjną dziewczynę stojącą na zewnątrz, na przystanku autobusowym. Widzę, jak puszcza do niej oko i przesyła całusy.

– Żadnej nie odpuścisz, co? – mówię, podchodząc do stolika.

– Taka już moja natura. Poza tym dziś wcześniej wziąłem się do pracy, widziałem mnóstwo pięknych dziewczyn, nie będziemy się nudzili w tym mieście. – Patrzy na mnie znacząco. – A tak w ogóle, to dzień dobry, rozgość się.

– Mogłeś poczekać na mnie z zamówieniem. – Siadam naprzeciwko i wskazuję drugi kubek kawy. – Teraz jest już pewnie zimna.

– Spokojnie, te kubki długo trzymają temperaturę – mówi, nie odwracając wzroku od dziewczyny na przystanku.

– Ta kawa jest lodowata! – wykrzykuję, upiwszy pierwszy łyk.

Zdejmuję pokrywkę z kubka i moim oczom ukazuje się góra bitej śmietany, pod którą znajduje się gęsty brązowy płyn i kostki lodu.

– Zapomniałem cię uprzedzić, że wziąłem wersję mrożoną. Pomyślałem, że tutejsza kawa i tak ma się nijak do naszej włoskiej.

Zapomniał, akurat! A historia o kubku, który trzyma temperaturę? Szkoda gadać, cały Gruby. Z przerażeniem patrzę na stojącą przede mną bombę kaloryczną. Pomagając sobie słomką, usiłuję wymieszać bitą śmietaną z tą niby-kawą.

– Po wypiciu takiej ilości tego czegoś śpiączka cukrzycowa gwarantowana

– mamroczę pod nosem.

– Wiesz, jak nazywa się skrzyżowanie franciszkanina z kawą? – Gruby robi dramatyczną pauzę. – Frappuccino! – Głośno śmieje się z własnego dowcipu.

– Poddaję się. – Odstawiam na stolik kubek z ciężkostrawnym napojem.

– Zjedz ciastka. – Gruby przesuwając talerz w moją stronę. – Kupiłem muffiny, bo zaczynają się na tę samą literę co maritozzi.

– Mmm... mmniam – mamroczę, przedłużając w nieskończoność „m”, i zatapiam zęby w słodko-kwaśnym jagodowym nadzieniu.

Gruby daje mi kuksańca, zadowolony z mojej reakcji.

– Jesteśmy na dobrej drodze, ale możesz wykrzesać z siebie znacznie więcej!

– Na przykład zdecydować, dokąd pójdziemy? – Wyjmuję z kieszeni plan miasta. – Dzisiaj odnajdziemy Anię – oznajmiam z przekonaniem.

– A jej przyjaciółki Pauliny nie?

– Ją też... o ile nadal miło cię wspomina! Po tym, jak odkryła, że spotykałeś się z dwiema dziewczynami jednocześnie ponad rok, sam nie wiem...

– Powiedziałem jej, że obie rzuciłem dla niej!

– Na pewno w to uwierzyła!

Nagle twarz Grubego się rozjaśnia.

– Mam pomysł!

Zaczynam się martwić.

Odwraca się do kelnerki stojącej za barem. Kobieta ma na sobie koszulkę z krótkimi rękawkami, jej ręce pokryte są kolorowymi tatuażami.

Mam złe przeczucia co do pomysłu Grubego.

– Hej, proszę pani! – próbuje ją przywołać.

Kelnerka ma na oko czterdzieści lat i jest zbyt pochłonięta umieszczaniem w witrynce czekoladowych ciastek i równo pokrojonych porcji tortów, by zwracać na nas uwagę.

– Proszę pani! Hej, dziewczyno! *Bella!*

Kobieta reaguje na trzecie wezwanie, daje nam znak ręką, żebyśmy

poczekali, i po chwili podchodzi z bloczkiem w rękę, by przyjąć zamówienie.

– Podać coś jeszcze? – pyta.

Gruby kręci głową, tymczasem ja odczytuję napis widniejący na nadgarstku kobiety w środku wytatuowanego serca: *A bit of happiness*.

– Nie, chcieliśmy spytać, gdzie można kupić *maglietta* z orłem.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Gruby pokazuje swój podkoszulek.

– T-shirt z orłem.

– A, koszulki z orłem? Dostaniecie w sklepie z pamiątkami na Starym Mieście – wyjaśnia uprzejmie i wraca za ladę, gdzie czekają klienci.

– Koszulki z orłem! Co za genialny pomysł! Kupimy ich całą stertę i sprzedamy za dwa razy tyle we Włoszech!

– Gruby, zastanów się, jak my je przewieziemy? To nie ma najmniejszego sensu.

– Nieprawda, sam pomysł jest świetny. Wiesz, jaki jest twój problem? Nie masz żyłki do interesów, a okazje są w zasięgu ręki, trzeba tylko umieć je złapać... Tutejsze produkty są bardzo oryginalne w porównaniu z tym, co jest we Włoszech. W najgorszym wypadku zwróciłyby się nam koszty wyjazdu. Biorąc pod uwagę, że jesteśmy w Europie, mielibyśmy do uiszczenia jedynie opłaty celne. Jak dobrze pójdzie, może skończyć się założeniem w przyszłości firmy eksportowo-importowej.

Ten wyjazd ma na Grubego iście zbawienny wpływ. Odkąd przyjechaliśmy, wcielił się już w nieprzejednanego psychologa, niedoszęłego teologa, a teraz w analityka finansowego.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie każdy biznes, nawet najlepiej obmyślony, odnosi sukces? O porażkach nie opowiada się tak chętnie i głośno.

– Mówisz?

– Na bank.

Gruby zastanawia się przez chwilę nad moimi słowami.

– W takim razie to nie będzie tylko nasz problem, Polaków również.

Wzdycham. Nic na to nie poradzę, mój przyjaciel jest niezłomny.

Wstajemy od stolika, wychodzimy z kawiarni i ruszamy w miasto. W ręku trzymam mapę z zaznaczonym adresem Ani, mając nadzieję, że to przedsięwzięcie okaże się moim osobistym sukcesem.

16

Warszawskie metro, choć ma tylko dwie linie, jest jednym wielkim teatrem, a przedstawienie jest raczej niedrogie, jak na liczbę interesujących postaci, które się przez nie przewijają. Kiedy myślę o metrze, od razu przypominają mi się sceny z filmów, w których bohater, uciekając przed prześladowcami, wskakuje do wagonika tuż przed odjazdem. Drzwi za nim się zamykają, on opiera się o nie z wyrazem ulgi na twarzy, łapie oddech, a metro rusza ku kolejnej stacji. Prześladowcy biegną jeszcze przez chwilę po peronie, wymachując pięściami, ale nic więcej nie mogą zrobić. Po chwili pociąg znika w ciemnym tunelu – cięcie. Metro to jednak przede wszystkim ludzie. Można tu spotkać niespełnionych, nieodkrytych artystów. Na przykład teraz na jednym końcu korytarza stoi facet i gra na sakcie, a na drugim koncert daje dwóch perkusistów. Świetnie grają. Są też trzy dziewczyny, które tańcem umilają pasażerom oczekiwanie na przyjazd metra.

– Popatrz na nie!

Przyglądamy się zafascynowani ich rytmicznie poruszającym się ciałom, zgrabnym nogom, ślicznym buziom. W ich ruchach jest tyle życia, radości i energii, że dzień od razu zapowiada się lepiej.

– Wiesz, co mi to przypomina? – odzywa się Gruby – Ten stary film *Sława* i scenę, w której ojciec wychodzi ze szkoły z synem, tym, który gra na organach, przywołują taksówkę i wszyscy zaczynają tańczyć na jej dachu. – Widać, że jest dumny ze swojej filmowej wiedzy.

– Masz rację. – To jedyny komentarz, na jaki potrafię się zdobyć, bo wpatruję się w dziewczyny jak urzeczoney.

Niestety musimy w końcu zejść na peron. Nadjeżdża pociąg, wsiadamy. Mimo że w środku jest wielu podróżnych, udaje nam się znaleźć dwa wolne miejsca. Z zainteresowaniem obserwujemy pasażerów. Większość ma w uszach słuchawki, a w rękach komórki, sprawdzają pocztę, grają w różne gry, słuchają muzyki. Niektórzy czytają książki lub gazety. Na następnej stacji wsiada młody chłopak z gitarą i zaczyna grać, ale nie prosi o datki.

– Nasza stacja – mówi Gruby.

– Naprawdę? To metro jest szybkie jak błyskawica!

Wysiadamy. Idę za Grubym i po chwili znów jesteśmy na ulicy.

– W tym domu mieszka Ania, druga klatka, czwarte piętro – oznajmia Gruby.

Nagle dopadają mnie wątpliwości. I co teraz? To się dzieje naprawdę. Najpierw o czymś marzysz, fantazjujesz, dobrze się bawisz, potem podejmujesz decyzję, by coś zrobić, rozważasz za i przeciw... Ale tym razem było inaczej. W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Może należało wysłać jej SMS-a, napisać e-mail, zadzwonić, uprzedzić o przyjeździe. No tak, tylko jak miałem to zrobić?

– Za późno na zmianę decyzji. – Gruby chyba czyta w moich myślach.

Patrzę na niego w milczeniu. Czyżby rozwinął w sobie jakieś nadprzyrodzone zdolności?

– No i? – pyta.

– Co?

– Ty mi powiedz co! Przylecieliśmy do Polski, stoimy pod jej domem, co teraz? Poczekamy jeszcze kilka godzin? Nie podoba ci się kolor domofonu? Chciałbyś ekipę telewizyjną, żeby sfilmowała wasze spotkanie? A może wracamy do Rzymu?

Przez chwilę jego propozycja wcale nie wydaje mi się takim złym pomysłem.

– No... nie wiem... – Przypominam sobie słowa taty, który mawiał, że lepiej spróbować i się pomylić, niż tego nie zrobić i potem przez całe życie żałować. – Dobra, dzwoniemy. Jaki numer mieszkania?

– Sto osiemdziesiąt jeden – odpowiada Gruby. – To jak? Dzwonię?

– Nie, poczekaj...

– Dobra. W takim razie zostawiam cię tutaj, odejdę na bok, a ty się zastanów... dobrze?

Kiwam głową. Gruby odchodzi, a ja zaczynam się zastanawiać, przychodzą mi do głowy różne słowa, ale... odwracam się i staję twarzą w twarz z moim przyjacielem, który intensywnie się we mnie wpatruje.

– I jak? Na co czekasz?

Spoglądam na drzwi.

– Dzwon! – Gruby kręci głową i głośno wzdycha. – Nic z tego nie będzie, Nicco, nie myśl, tylko działaj! W niektórych sytuacjach tak należy zrobić, i to jest właśnie taka sytuacja.

– Pomyślałem, że cokolwiek powiem jej przez domofon, ona i tak nie zrozumie.

– To akurat prawda: ty nie mówisz po polsku, a ona po włosku, nie pogadacie...

– A jeśli mnie nie pozna? Jeśli mnie nie pamięta?

– Wybacz, ale jeśli wszystko, co mi opowiadałeś o tym fantastycznym seksie, jaki uprawialiście w apartamencie koło Koloseum, jest prawdą, nie rozumiem, jak Ania mogłaby o tym zapomnieć? Przecież nie minęło dziesięć lat! Ma alzheimera?!

– Masz rację, ale wolę poczekać na nią tu, na dole. Zrobię jej niespodziankę.

– Jak to, na dole? A jeśli wyszła i wróci dopiero wieczorem?

– Podejmiemy to ryzyko.

– A jeśli wyjechała i wróci za trzy dni?

– To znaczy, że nie była mi pisana.

– Chyba cię pogięło! Przeznaczenie może nam naskoczyć!

Wymija mnie zdecydowanym krokiem i wciska guzik domofonu.

– Nie! Stój! – krzyczę, ale jest już za późno.

Po kilku sekundach w głośniku rozlega się głos. Gruby zaczyna coś mówić, ale niewiele rozumiem, jednak rozmowa trwa jakiś czas i słyszę nawet śmiech. Wreszcie drzwi się otwierają. Mój kumpel patrzy na mnie i daje znak ręką, bym szedł za nim.

– I? – pytam skonsternowany.

– I co? Wchodzimy czy wolisz poczekać kilka lat? Czekają na nas na górze.

Wsiadamy do windy. Zastanawiam się, co mam jej powiedzieć, od czego zacząć. Czuję na sobie wzrok Grubego i słyszę, jak stara się nie wybuchnąć

śmiechem.

– Przestań! Stresujesz mnie!

– Przepraszam, ale powinieneś zobaczyć wyraz swojej twarzy. Skazany na śmierć ma weselszą minę. Pomyśl, jak Ania się ucieszy na twój widok! Za każdym razem, gdy cię widziała, jej twarz jaśniała i zawsze zastanawiałem się...

– ...co ona widzi w takim facecie jak Nicco?! – kończę za niego zdanie.

– Brawo! Widzisz? Rozumiemy się bez słów, jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi vintage! A już myślałem, że usłyszę od ciebie coś miłego.

Nad drzwiami windy wyświetla się czwórka, znak, że dotarliśmy na nasze piętro. Wsiadamy i Gruby od razu rozgląda się jak gończy pies.

– To tutaj. – Wskazuje drzwi.

– Poczekaj! – mówię, ale Gruby już wcisnął guzik dzwonka.

Stoimy i czekamy, wydaje mi się, że czas się zatrzymał. Są takie chwile w życiu, o których wiesz, że zawsze będziesz je pamiętał. To jedna z nich. Patrę na brązowe drzwi, identyczne jak wszystkie na tym piętrze, z numerem sto osiemdziesiąt jeden wypisanym na mosiężnej tabliczce. Jestem przejęty, niespokojny, wręcz przestraszony. Co ja tu robię? Będę w stanie powiedzieć jej coś inteligentnego? Ucieszy się na mój widok? Będzie tak samo uradowana jak wtedy, gdy wychodziła z hotelu i widziała, że na nią czekam? Twarz Ani rozjaśniała się w taki sposób, że nawet gdyby zgasły wszystkie światła, nadal byłoby ją widać. Nie ma piękniejszej rzeczy, niż powiedzieć komuś, że się go kocha, i w odpowiedzi zobaczyć iskrzące się miłością oczy. A ja? Czy ode mnie także bił taki blask? Czy dałem jej jasno do zrozumienia, jak dużo dla mnie znaczy? Jak ważne było to, co razem przeżyliśmy?

Być może nie udało mi się jej tego przekazać. Byłem zbyt rozkojarzony, nadal myślałem o Alessi, zdruzgotany, jakby mnie „rozjechał pociąg” – tak mawia Gruby.

Przygląda mi się uważnie, a ja uśmiecham się do niego niepewnie. Puszczam do mnie oko, chcąc dodać mi odwagi i obudzić w moim sercu nadzieję.

Nagle czuję, że za chwilę będę miał atak paniki. Ciśnienie skoczyło mi chyba do trzystu! Chcę wrócić do windy i uciec albo zbiec schodami,

pokonując te kilkadziesiąt stopni. Rozważam jeszcze ucieczkę przez okno, które znajduje się w głębi korytarza, ale w tej samej chwili słyszę za drzwiami mieszkania kroki. Ktoś przystaje i pyta: „Kto tam?”.

17

Gruby widzi, że nie odpowiadam, stoję jak zakłęty, nie mogę się ruszyć, więc przejmuje inicjatywę:

– To my! – Patrzy na mnie i unosi brew. – Jeszcze raz?

– No raczej – odpowiadam.

Gruby zdobywa się na bardziej rozbudowaną wypowiedź:

– Przyjechaliśmy z Włoch, jesteśmy kolegami Ani.

Słyszemy zgrzyt zamka. Może „Ania” jest magicznym słowem, jak „Sezanie, otwórz się”? Jeśli tak, to znaczy, że znalazłem się w prawdziwej bajce ze szczęśliwym zakończeniem. Oby!

Nadzieja malująca się na mojej twarzy natychmiast ulatuje, gdyż w drzwiach staje chudy platynowy blondyn. Na nosie ma okulary w turkusowych oprawkach, ubrany jest w zieloną marynarkę i żółtą koszulę oraz spodnie w biało-czarne romby. Całości dopełniają fioletowe buty.

– Czy my wzięliśmy jakiś kwas na śniadanie? – szepcze skonfundowany Gruby.

– Chyba raczej on... – odpowiadam, równie zbity z tropu.

– Jak mogę pomóc? – Chłopak uśmiecha się do nas radośnie.

Może kręcą jakiś film? Ma na sobie więcej kolorów niż tęcza. Cała scena wydaje mi się niedorzeczna, ale wreszcie odzyskuję pewność siebie i mówię po angielsku:

– Szukamy Ani... – Mam nadzieję, że mnie rozumie.

– Ani? Jakiej Ani?

– Tak, Ani. Jest Polką...

– Jak to? Nie wiesz, jak ona ma na nazwisko? – pyta zdziwiony Gruby.

– Nie pamiętam, ale czy ty znasz nazwisko swojej Polki?

– Nie.

– No widzisz, dlaczego ja mam znać swojej?

– Bo nie przyjechaliśmy tutaj szukać mojej dziewczyny, tylko twojej!

– Gdyby naprawdę była moja! Czy na tej kartce, którą dał ci portier, nie było jej nazwiska?

– Nie.

– Dałeś mu w łapę sto euro i nie spytałeś o nazwisko? Genialnie!

– Pytałem go o adres, dzięki temu tu jesteśmy... Czegoś się przynajmniej dowiedziałem, tymczasem ty przez cały tydzień nie dowiedziałeś się, jak ma na nazwisko!

– Wyjaśnij mi jedną rzecz... kiedy spotykasz się z dziewczyną, pytasz ją o nazwisko?

– Kiedy się spotykam, nie, ale kiedy się w niej zakocham, tak!

Sprzeczamy się jak dwie przekupki w hiszpańskiej dzielnicy Neapolu i nie zauważamy, że w międzyczasie obok właściciela mieszkania stanął chłopak ubrany – o ile to możliwe – jeszcze bardziej krzykliwie: w jaskrawoniebieską marynarkę, różową koszulę, spodnie w jasnoszare i ciemnoszare szerokie pasy i lakierowane pomarańczowe mokasyny. Najbardziej niedorzeczne jest to, że mówi po włosku!

– Hej, co się dzieje? O co chodzi?

Ma dziwny akcent, nie rozpoznaję, z jakiej części Włoch pochodzi.

– Szukamy Ani... Mieszka tutaj...

Nagle przypominam sobie, jak się nazywa: Malinowska! Pamiętam, że wyjaśniła mi, od jakiego owocu pochodzi jej nazwisko, a ja powiedziałem, że już wiem, dlaczego jest taka słodka.

– Malinowska, Ania Malinowska – precyzuję, jakbym pytał o agenta służb specjalnych.

– Jednak pamiętasz... – Gruby odwraca się do mnie zadowolony. – Ania Malinowska, bardzo ładnie brzmi!

– Ania Malinowska? – Drugi chłopak patrzy na nas zdziwiony.

– Tak... ale może najpierw się przedstawimy. Ja jestem Gruby, a to Nicco.

Podajemy sobie ręce.

– Mam na imię Venanzio. To mój przyjaciel Tomek. Od dwudziestu lat mieszkam w Warszawie, od osiemnastu w tym mieszkaniu i nigdy nie słyszałem o żadnej Ani Malinowskiej.

Czyż nie wspaniale jest spotkać w takim miejscu rodaka?! Od razu wszystko wydaje się prostsze, choć nie ma dla nas dobrych wieści.

Tomek przygląda nam się, próbując zrozumieć, o co chodzi. W końcu Venanzio wyjaśnia mu wszystko po polsku, ale ten wcale nie wygląda na zdziwionego. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, że dwóch Włochów szuka w jego mieszkaniu jakiejś Ani.

– Nie wiem, jak wam pomóc, może macie zły adres...

Nagle Tomek podchodzi do Venanzia, opiera się o niego i biorą się za ręce. Patrzą na siebie i widać, że się kochają, i oczywiście są gejami.

– Cóż, dzięki za pomoc, jeszcze raz przepraszamy za kłopot... – Gruby jest trochę speszony. Rusza w stronę windy.

– Gruby, poczekaj, ale jak znajdziemy Anię? – przytrzymuję go. Wyjmuję mu z ręki karteczkę z adresem i podaję ją Venanziovi. – Możesz sprawdzić, czy to ten adres? Czy jest jakaś inna ulica o tej samej nazwie? Jak mogę ją odnaleźć? Proszę, to ważne.

– Czy wiesz, ile panien Malinowskich jest w Polsce?! To bardzo popularne nazwisko! Naprawdę musiałeś zakochać się właśnie w niej? – Nie ma to jak najlepszy przyjaciel, myślę sobie.

– Miałem jakiś wybór?

– Masz rację... na nazwisko nie mamy wpływu.

Venanzio wybucha śmiechem i kręci głową.

– Przykro mi, nie umiem wam pomóc... Musicie spytać tego, kto dał wam adres, może pomylił ulicę, może chodzi o jakąś inną...

– Racja, świetny pomysł. Skąd jesteście?

– Dlaczego pytasz?

– Tak z ciekawości.

– Z Kalabrii. Wejdźcie, napijemy się czegoś.

– Dzięki, ale musimy lecieć, i tak bardzo nam pomogłeś... Jeszcze raz przepraszam... Trafiliśmy jak kulą w płot... Cześć – rzuca niepokieszony.

Venanzio i jego chłopak czekają uprzejmie, aż przyjedzie winda, i machają nam na pożegnanie. Myślę sobie, że miłość to wspaniałe uczucie, bez względu na to, kogo się kocha.

18

Znów jesteśmy na ulicy. Zawiedzeni i rozczarowani, nie bardzo wiemy, co powiedzieć. Wokół nas ludzie szybkim krokiem zacierają do swoich spraw. Takim to dobrze.

– Co teraz zrobimy? – pyta Gruby.

– Myślę, że koniec końców Venanzio miał rację.

– Nie zamierzasz chyba zmieniać orientacji seksualnej? – Mój przyjaciel patrzy na mnie z niedowierzaniem.

Nie chce mi się odpowiadać.

– Musimy zadzwonić do Roberta, tego portiera z hotelu, masz jego numer?

– Tak. Która godzina? Powinien być już w pracy.

Widzę, że Gruby jakby się waha.

– O co chodzi?

– Nie, nic... Tylko nie mam zbyt dużo minut w telefonie. Zapomniałem doładować przed wyjazdem, a poza tym jestem spłukany. Ostatnio nie sprzedałem zbyt wielu DVD. Teraz wzięciem cieszą się głównie gry, które bardzo trudno ściągnąć z netu, rozumiesz? Wszystkie swoje oszczędności zabrałem w tę podróż.

– Spoko, trzymaj. – Podaję mu swoją komórkę. – Mam specjalną taryfę, nazywa się żłudne sto procent przez całą dobę, w sam raz dla kretynów, którzy przemierzali pół Europy, szukając właściwej dziewczyny pod niewłaściwym adresem. Dzwoni.

Gruby sprawdza numer w swojej komórce i wystukuje go w mojej. Ktoś natychmiast odbiera.

– Hotel Fontana, dzień dobry.

– Cześć, Roberto! Jak leci?

– Kto mówi?

– Gruby, często przychodziłem z moim kumplem Nicco w odwiedziny do tych dwóch Polek.

– Ach, tak... Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać, możesz zadzwonić za pół godziny? Właśnie przyjechali goście i muszę się nimi zająć.

– Potrzebuję tylko jednej informacji. – Gruby daje mi znać, że Roberto prycha z niezadowoleniem.

– Dobra, mów, byle szybko.

– Wydaje mi się, że podałeś mi zły adres.

– Jaki adres?

– Ani, jednej z tych Polek, była z Warszawy...

– Dlaczego tak myślisz?

– Dlatego, że pod numerem sto osiemdziesiąt jeden nie mieszka żadna Ania, tylko dwóch gejów, którzy nigdy o niej nie słyszeli!

– Jesteś w Warszawie? Pojechaliście do Polski?

– Jasne, po co prosiłbym cię o adres?

– Myślałem, że tak tylko pytasz. Ludzie mają różne pomysły, mówią, że coś zrobią, i na słowach się kończy.

– Dla nas się nie skończyło i właśnie stoimy pod jej domem.

– W Polsce?

– Tak.

– W Warszawie?

– Tak. Możesz mi powiedzieć, czy ten adres jest prawidłowy? Podałeś...

– Nie jest.

– Jak to nie jest?

– Nie mogłem przecież dać ci adresu naszego gościa, chodzi o politykę prywatności. Ryzykowałem zwolnienie...

– Niech cię szlag trafi! Dałem ci sto euro, żeby dowiedzieć się, gdzie ta dziewczyna mieszka, a ty mi mówisz o polityce prywatności?!

– Mylisz mnie z kimś innym, nigdy od nikogo nie wziąłem żadnych pieniędzy. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę pracować.

– Poczekaj, aż wrócę, przyjdę do ciebie i obiję ci pysk, zrobię z ciebie miazgę! Halo?! Halo?!

Gruby patrzy na telefon, a potem na mnie.

– Ten dupek się rozłączył. Wie, że przyjechaliśmy do Warszawy, że mamy zły adres i że on zna ten właściwy, i zamiast mi go dać, co robi? Rozłącza się! Oskubał mnie na sto euro! Zabiję go, jak wrócę, już nie żyje!

– Uspokój się, mógłby na ciebie donieść. Niech coś mu się stanie, sprawdzą komórkę, namierzą połączenia i będziesz miał kłopoty... – tłumaczę, starając się go uspokoić.

– Ty je będziesz miał, bo to twój telefon – odpowiada Gruby, który odzyskał dobry humor.

– O kurwa, masz rację!

– Ale spoko, wszystko już obmyśliłem. My jesteśmy teraz tutaj, w Polsce, a on zostanie zabity we Włoszech.

– Niby jak?

– Zadzwoń do Pepe i powiem, że kiedy chodził z twoją siostrą Valerią, widziałem, jak Roberto ją całował i trzymał rękę na jej pośladkach. Już po nim!

– Jesteś nienormalny.

– A Roberto twoim zdaniem zachował się normalnie, nie podając nam prawdziwego adresu? Mógł to zrobić w imię miłości, a zrobił w imię kasy, i do tego nas oszukał! Przecież to, co robisz, jest super, ta podróż w poszukiwaniu kobiety, a przez takiego dupka wszystko bierze w łeb! Nagle jest prawym obywatelem, choć kantuje za plecami swojego pracodawcy!

Dopiero teraz zauważam wielki billboard, w który wpatruję się jak krety. Gruby potrząsa mnie za ramię.

– Oniemiałeś? Na co patrzysz?

– To reklama koncertu w Pałacu Kultury, który jest najbardziej rozpoznawalną budowlą w Warszawie. Moi rodzice mi o nim mówili... – wyjaśniam, zadzierając wysoko głowę.

– I co z tego? Przecież ich tu nie ma... – Gruby urywa w pół zdania i robi się czerwony ze wstydu. – Przepraszam, Nicco, powiedziałem straszne

głupstwo, nie wiem, jak mi się wymasknęło. Wiem, że często mówię głupoty, ale nie chciałem cię urazić, naprawdę, przepraszam.

– Nie ma sprawy... Masz ochotę tam pojechać?

Chyba z poczucia winy Gruby błyskawicznie łapie taksówkę. Rozumiem, że odpowiedź brzmi: „Tak”.

Biały mercedes miękko podskakuje na nierównej jezdni. Stosunkowo szybko docieramy do centrum, tuż pod Pałac Kultury i Nauki. Gruby wyjmuje portfel i płaci, zanim ja zdążam sięgnąć po swój.

Wysiadamy z taksówki i podaję mu swój telefon.

– Zrób mi zdjęcie.

– Po co?

– Mam pewien pomysł, przynajmniej do kogoś uśmiechnie się dziś szczęście.

– Dobra. – Gruby unosi telefon na wysokość oczu, ustawia kadr, zmienia pozycję na pionową, potem znowu na poziomą, udręka...

– Pośpiesz się! *Wojna światów* została szybciej nakręcona, niż ty robisz zdjęcia!

– Jeszcze chwilę...

– Zmieścił się napis?

– Jaki napis?

– Jak to jaki? Ten nade mną: „Pałac Kultury i Nauki”.

– Widać go, widać – zapewnia mnie, stukając w ekran. – Sprawdź!

Podaje mi komórkę. Patrzą z uznaniem na zdjęcie.

– Dobre, nie?

– Tak. Teraz musimy znaleźć jakiś punkt usług komputerowych albo obróbki cyfrowej zdjęć – mówię.

– Do usług – odpowiada i, jak wcześniej, machnięciem ręki przywołuje taksówkę.

Kierowca jest sympatycznym warszawiakiem, do tego kibicem włoskiej

ligi, więc od razu sprowadza rozmowę na kluby piłkarskie.

– Jasna sprawa! *Forza Roma!*

– *Forza Lazio...* – mówię.

– A ty komu kibicujesz? – pyta Gruby.

– Legendarnej Juve. Byliście już na Stadionie Narodowym? Piękny obiekt, wybudowany na Euro dwa tysiące dwanaście.

– Jeszcze nie, ale mówisz, że warto?

– Koniecznie musicie go zobaczyć. Skąd jesteście?

– Z Rzymu – odpowiadam.

– Ach, *Roma*, Koloseum, pizza, *bela ragaza* – mówi rozmarzonym głosem taksówkarz.

– *Bella ragazza* – poprawia go Gruby. – Podwójne spółgłoski.

Samochód zatrzymuje się przed wielkim sklepem komputerowym. Płacimy i wsiadamy.

To miejsce jest niewątpliwie obiektem pożądania wszystkich maniaków informatyki. Gruby dosłownie ślini się na widok każdego urządzenia, na które pada jego wzrok, wyposażonego w przycisk „on”.

– Mając taki sprzęt w domu, mógłbym ściągać filmy, których jeszcze nie nakręcono.

Podchodzi do nas zielonooka dziewczyna ubrana w koszulkę z logo sklepu i pyta, jak może nam pomóc. Jest bardzo sympatyczna. Próbuję wyjaśnić jej, po co przyszedłem.

– Mój tata, moja mama, ale mój tata nie żyje...

Składa mi wyrazy współczucia z powodu śmierci taty. Wyjmuję z portfela zdjęcie rodziców, które zawsze noszę przy sobie. Łamaną angielszczyzną i za pomocą gestów mówię, o co mi chodzi. O dziwo wie, co mam na myśli.

– Rozumiem, chodźcie za mną... To nie potrwa długo... – mówi uprzejmie.

Nie wiem dokładnie, co powiedziała, ale ruszam za nią.

W ciągu pół godziny mój pomysł zostaje zrealizowany. Rezultat pokazuje Grubemu, który nie wierzy własnym oczom.

– Genialne! Piękne! – wykrzykuje. Widać, że naprawdę mu się podoba.

Patrzę na zdjęcie będące efektem artystycznego fotomontażu, na którym widnieję ja i moi rodzice przed Pałacem Kultury. Włączam komórkę, skupiam się na kolejnych czynnościach. Otwieram pliki z muzyką, wybieram ich ulubioną piosenkę i wysyłam wraz ze zdjęciem.

Cieszę się. Nie ma nic piękniejszego niż sprawienie niespodzianki komuś, kogo się kocha. Zdecydowanie większą przyjemność sprawia mi dawanie niż dostawanie.

Spacerujemy z Grubym po centrum Warszawy. Dzień jest słoneczny, niebo niemal bezchmurne, tylko gdzieś w oddali widać białe pierzaste obłoki, ale nie stanowią żadnego zagrożenia dla wspaniałej pogody. Mrużę oczy w słońcu i dokładnie w tej samej chwili słyszę dzwonek swojego telefonu.

– Kochanie, nie trzeba było...

– Mamo...

Słyszę szloch i krótki oddech, niemal czuję jej ból.

– I jeszcze ta piosenka... – szepcze, po czym puszcza mi *Luglio* Riccarda del Turco.

Wyobrażam ją sobie przy domowym telefonie, z którego dzwoni, i z komórką w ręku, w której ogląda nasze zdjęcie i słucha piosenki.

– Jak to zrobiłeś? – pyta. Pociąga jeszcze nosem, ale już nie płacze. Całe szczęście.

– Łatwizna, mamó, zawsze noszę w portfelu wasze zdjęcie. Wszedłem do sklepu komputerowego, zeskanowali mi zdjęcie, połączyli z tym, które wcześniej zrobił mi Gruby, i wszystko razem obrobili w Photoshopie.

– Myślisz, że coś z tego zrozumiałam? – Mama w końcu wybucha śmiechem.

– Mamo, jesteś taka piękna, kiedy się śmiejesz. Podoba ci się zdjęcie?

Przez chwilę milczy, ja również nic nie mówię. Patrzę na Grubego, który stoi naprzeciwko mnie i nie wie, co powiedzieć.

– To najpiękniejszy prezent, jaki od ciebie dostałam.

– Mamo, tata chciałby, żebyś się więcej śmiała.

– Nie mów tak.

– Sam mi powiedział...

– Patrę na zdjęcie – niemal szepcze. Mówi powoli, przez łyżę. – Wszyscy troje wspaniale na nim wyglądamy. – Nagle poważnieje. – Dlaczego nie dołączyłaś sióstr?

Ręce mi opadają, kręcę z niedowierzaniem głową i spoglądam na Grubego, który nadal nie ma nic do powiedzenia. W życiu zawsze jest coś, co nie idzie po naszej myśli.

– Bo nie miałem przy sobie ich zdjęcia! Przecież nie będę podróżował z całym albumem pod pachą!

– Dobrze, już dobrze. Dbasz o siebie? Jesz coś? – mama zmienia temat.

– Oczywiście! Jedzenie tu jest pyszne i tanie. Ale muszę już kończyć, bo za chwilę całą kasę, której nie wydam na jedzenie, ty wydasz na telefon.

– W porządku, zawsze musisz kończyć.

– Mamo, jestem za granicą!

– Rozumiem. Jeszcze jedno pytanie: jak się czujesz?

– Dobrze, a jak mam się czuć?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Powiedziałem: dobrze.

– A jak przyjąłeś wiadomość o tym, że Alessia spotyka się z twoim przyjacielem Andrea?

Nie wierzę własnym uszom! Zakrywam ręką mikrofon telefonu.

– Moja matka też o tym wie? – pytam półgłosem Grubego.

– O czym?

– O Alessii!

– Że się rozstaliście? Matki przeważnie o wszystkim wiedzą...

– Nie! O Alessii i Bato!

Zdejmuję dłoń z komórki.

– Mamo, od kiedy o tym wiesz? Valeria ci powiedziała? Dlaczego o niczym nie wspomniałaś?

– Nie wiedziałam... – zaczyna niepewnie.

– Przecież właśnie mi o tym powiedziałaś!

– Bo teraz wiem, że ty wiesz!

Nie dogadam się z własną matką.

– Niccolò, ta dziewczyna nie zasługiwała na ciebie, nie myśl o niej więcej. Bądź spokojny i zapomnij o niej, dobrze? Czy posłuchasz się mnie choć raz w życiu?

– Tak, mammo.

– Zrobiłeś mi piękny prezent, dziękuję, wracaj szybko...

– Dobrze, dobrze, a ty o nic się nie martw, proszę cię.

Po chwili mama zmienia zdanie.

– Wiesz co, Nicco? Baw się dobrze i wracaj, kiedy chcesz.

Kończę rozmowę i wpatruję się w telefon.

– To jakiś absurd! Wszyscy wiedzieli – mamroczę pod nosem. – Niewiarygodne, wszyscy wiedzieli i nikt mi nic nie powiedział.

Nagle chce mi się śmiać.

– Nawet moja mama wiedziała. Ta historia jest naprawdę niedorzeczna!

– Co więcej, twoja mama nie wiedziała, jak ci o tym powiedzieć.

– Skąd wiesz? Rozmawialiście o mnie?

– Tak, kiedy przychodziłem do ciebie i zostawaliśmy sami, od razu podejmowała temat: „Powiedziałeś mu?”, „Nie, a pani?”, „Też nie!”, „Kto mu powie?”, „Nie wiem”. Mówię ci, to było straszne.

Wybuchamy śmiechem. Nie śmialiśmy się tak od czasów liceum.

– Starczy tego dobrego, Gruby. Wracajmy do Rzymu. Ani i tak nie odnajdziemy.

– Stary, no co ty, zapłaciliśmy z góry za hotel, poza tym nie możemy przebukować biletów, musimy zostać, nie ma rady...

– Dobra... No to co teraz będziemy robili?

– Zwariowałeś? Mamy do obejrzenia całe miasto! Chcę wjechać na ostatnie piętro Pałacu Kultury, zobaczyć Stadion Narodowy, Starówkę, poszwendać się po knajpach...

Gruby widzi malujące się na mojej twarzy szczęście. Wygląda na to, że znalazłem rozwiązanie naszych problemów.

- Co się dzieje? Co ci przyszło do głowy? – pyta.
- Zobacz, tam jest Ania, odnaleźliśmy ją.

19

Za nami, na reklamie H&M widać Anię w całej okazałości.

Idzie po rajskiej plaży, w ręku trzyma okulary przeciwsłoneczne, wiatr rozwiewa jej włosy, ma na sobie niebieski kostium kąpielowy i patrzy prosto na mnie. To znaczy, patrzy na całe miasto z wysokości budynku, na którym rozpięty jest gigantycznych rozmiarów baner. Na kolejnym zdjęciu idzie w stronę turkusowego morza, zmysłowo odsłaniając piękne plecy i zgrabne pośladki.

– O kurwa... – Gruby wpatruje się w billboard jak sroka w gnat. Wreszcie odwraca się w moją stronę. – Miałem na myśli tę plażę.

– Tak, oszałamiająca.

– Zdajesz sobie sprawę, że byłeś z modelką? Ania jest modelką!

– Tak, i byłem na tyle głupi, że nie rozumiałem, jak dużo dla mnie znaczy, ale nadszedł czas, by to zmienić. Wiemy już, że Ania Malinowska jest cała i zdrowa, i piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, że jest modelką i że zrobiła tę reklamę. Poczekaj, zrobię zdjęcie. – Wyjmuję z kieszeni telefon. – Teraz musimy wykombinować, jak ją odnaleźć. Kto mógłby nam pomóc?

– Nie mam bladego pojęcia. Moglibyśmy porozmawiać o tym przy stole? Umieram z głodu – odpowiada Gruby.

– Jesteś najbardziej gruboskórną osobą, jaką znam. Ja jestem tak podekscytowany, że nie mógłbym niczego przełknąć – protestuję.

– Nigdy nie doświadczyłem takich emocji...

W końcu propozycja Grubego wygrywa i po tym, jak odkryłem, że Ania jest na wyciągnięcie ręki, wracają mi apetyt i radość życia. Wchodzimy do pobliskiego baru sushi, zasiadamy na ciężkich krzesłach przy stole z czerwonym lakierowanym blatem.

– Wyśmienite te sashimi, lepsze niż u nas...

– Nicco! Nie wierzę własnym oczom!

Czuję, jak ktoś klepie mnie po ramieniu i o mało nie wpycham sobie do gardła pałeczek z pierożkiem gotowanym na parze. Przede mną stoją Venanzio i Tomek. Świat jest naprawdę mały.

– To nasza ulubiona knajpa! Zauważyliśmy was z ulicy. Idziemy na wystawę przyjaciela, może chcecie się przyłączyć?

Gruby kopie mnie pod stołem, dając znać, że wystawa w ogóle go nie interesuje, a już na pewno nie w ich towarzystwie.

– Nie, dzięki, chyba wrócimy do hotelu odpocząć.

– W porządku. Udało wam się namierzyć tajemniczą Anię?

Zanim zdążę otworzyć usta, Gruby dzieli się szczegółowo naszym odkryciem, nie pomijając walorów cielesnych i kształtnych pośladków Ani.

– Sam zobacz. – Pokazuję Venanzioowi zdjęcie reklamy.

– Piękna dziewczyna – komentuje z uznaniem.

– Żebyś wiedział – mówię.

Tomek szturcha go w bok, chyba zrozumiał jego słowa. Zaczynają rozmawiać z ożywieniem, ale słysząc żartobliwy ton.

Gruby pochyła się w moją stronę.

– Zobaczymy, czy przez Anię zmienią orientację. – Wybucho śmiechem jak wariat.

– Macie fart – zwraca się do nas Venanzio.

– Dlaczego?

– Robiłem wszystkie ostatnie kampanie reklamowe dla Mango i Reserved.

– Ale Ania wystąpiła w reklamie H&M – wyjaśnia Gruby.

– Nie szkodzi. Mam kontakty w tym środowisku, może będę mógł wam pomóc, ale muszę trochę podzwonić. Wpadnijcie wieczorem na kolację, to pogadamy. Adres znacie.

Tym razem Gruby daje mi pod stołem solidnego kopniaka, lecz Ania jest najważniejsza, więc chętnie przyjmuję zaproszenie.

– Z przyjemnością przyjdziemy, zresztą nie mamy żadnych planów na wieczór. Prawda, Gruby?

– Oczywiście! – W jego głosie słysząc nutkę ironii.

Docieramy na miejsce punktualnie. Gruby ma taki wyraz twarzy, jakbyśmy mieli wejść do jaskini lwa, lecz Venanzio i Tomek okazują się bardzo serdecznymi i gościnnymi gospodarzami.

– Kawa, herbata, ja? – pyta Venanzio od progu, cytując słowa Joan Cusack z *Pracującej dziewczyny*.

Obaj są dowcipni, choć Gruby nie bawi się najlepiej, jest zdystansowany.

Mieszkanie wygląda jak skrzyżowanie galerii sztuki minimalistycznej i pracowni Lele Mory, którą widziałem ostatnio w telewizji. Na ścianach wisi mnóstwo kolorowych obrazów, wokół stołu ustawione są krzesła, każde w innym stylu, ponadto w salonie znajdują się miękkie czerwone, fioletowe i amarantowe fotele. Gruby przygląda się meblom z rozbawieniem i chyba wreszcie się odpręża.

– Gdyby udało im się kupić chociaż dwa krzesła do kompletu!

– To specjalnie – wyjaśniam. – Wydaje mi się, że ich praca związana jest ze sztuką.

Venanzio tłumaczy, że ma przyjaciół, którzy pracują w reklamie, organizują castingi i współpracują z agencjami modelek. Zdają sobie sprawę, że jest moją ostatnią szansą, i sądząc po jego minie, rozumie, jak ważna jest Ania dla mnie i dla mojego zdrowia psychicznego. Po chwili krąży po mieszkaniu z telefonem przy uchu, rozmawiając podniesionym głosem.

– Nie, nie, muszę rozmawiać z właścicielem.

Ze zdecydowanego tonu jego głosu wnioskuję, że Venanzio jest osobą liczącą się w środowisku. Jak gdyby nigdy nic prosi do telefonu najważniejsze osoby i nawet nie wiem, czy wyjaśnia im, skąd jego zainteresowanie młodą modelką. Chyba czyta w moich myślach, bo zasłania ręką mikrofon i szepcze:

– Powiedziałem, że przyjechaliście nakręcić reklamę dla Armaniego, są zainteresowani i z pewnością znajdą namiary Ani. – Wraca do rozmowy, kiwa z zadowoleniem głową i się rozłącza.

– Jesteśmy na dobrej drodze, pozostaje nam czekać. Posłuchamy muzyki?

Nie daje nam czasu na odpowiedź, włącza supernowoczesny sprzęt i z głośników płynie *Last Christmas* George’a Michaela.

– Zaraz przyniosę coś do picia – mówi i znika w kuchni.

Dopiero teraz Gruby rozsiada się wygodnie w fioletowym fotelu.

– Słuchaj, a jeśli wrzucą nam jakieś narkotyki do drinków i potem nas wykorzystają?

– Ależ ty jesteś ograniczony! Oni nie są nami zainteresowani! Szkoda im czasu na takie głupoty! – Złości mnie, gdy tak mówi, a kiedy pomyślę, że przecież jest inteligentnym chłopakiem, złość się jeszcze bardziej.

Venanzio wychyla się z kuchni.

– Na co macie ochotę? Białe wino, campari, colę czy sok pomidorowy?

– Dla mnie cola – mówię. Gruby patrzy na mnie, wygląda na odprężonego, więc idzie na całość.

– A ja wezmę campari.

– Super, zaraz przyniosę.

Gruby sięga po pilota, włącza telewizor i czuje się jak u siebie w domu, skacząc z kanału na kanał, aż trafia na transmisję z meczu.

– Zajebicie, mają Champions League.

Teraz jest już całkowicie zrelaksowany, zapada się w miękkim fotelu, wyłącza fonię i ogląda mecz przy dźwiękach *Faith* George'a Michaela. O rany, chyba nie będą przez cały wieczór katowali nas muzyką z lat osiemdziesiątych?

– Proszę bardzo... – Venanzio staje w progu z tacą z chipsami, oliwkami i czterema szklankami, za nim wchodzi Tomek. – Kolacja będzie gotowa za jakiś czas, więc na razie częstujcie się i czujcie jak... u mnie w domu!

Gruby prostuje się w fotelu, gdy Venanzio stawia przekąski i napoje na niskim białym stoliku w czarne plamy.

– Podoba wam się? – pyta, widząc że Gruby nie może oderwać wzroku od mebla. – Kupiłem go w pewnym antykwariacie i nazwałem Sto Jeden na cześć dalmatyńczyków... Nie kosztował zbyt dużo jak na to, ile jest wart, w przeliczeniu jakieś pięć tysięcy euro, pochodzi z lat trzydziestych.

– O cholera! – komentuje Gruby, ale zaraz się poprawia: – Chodziło mi o... myślałem, że jest starszy.

– Bardzo ładny – mówię.

Venanzio wręcza nam drinki.

– Wypijmy za Anię Malinowską i za nasze szczęście!

Tłumaczy toast Tomkowi, który wydaje się zgadzać z jego słowami, i stuka się z nami.

Wypijam colę jednym haustem, Gruby ledwie moczy usta w campari i odstawia je na stolik, nadal podejrzewając, że do drinka dodano jakąś niebezpieczną substancję. Venanzio i Tomek całują się w usta. Przez chwilę im zazdroszczę, choć wiem, że to wstrząsnęłoby Grubym. Tak, zazdroszczę im, bo mieszkają w tym kolorowym domu, który sami urządzili, wśród mebli, które im się podobają i które sami znaleźli i kupili, że ubierają się tak, jak lubią, i że się kochają i wyglądają na szczęśliwych.

Tomek mówi coś do Venanzia, ten kiwa głową i odwraca się w naszą stronę.

– Idę nastawić wodę, uwielbiam gotować dla gości! – oznajmia i znika w kuchni.

Tymczasem jego partner wstaje z kanapy i zmienia płytę. Nastawia *Tourist St Germain* i po chwili rozlegają się wspaniałe jazzowe dźwięki. Tanecznym krokiem podchodzi do dużej lakierowanej białej szafy.

– Możemy pomóc? – pytam go uprzejmie po angielsku.

Dokładnie w tej chwili z kuchni wychyla się Venanzio i autorytatywnym, acz żartobliwym tonem zwraca się do mnie:

– Ty dotrzymasz mi towarzystwa w kuchni, a ty, Gruby, tak cię zwa, prawda?

Mój przyjaciel, który w międzyczasie się wyluzował i wypił całe campari, potakuje bez słowa.

– Pomożesz Tomkowi nakryć do stołu. Od jakiegoś czasu szukamy podkuchennej... – Widać, że Venanzio ma ochotę trochę się poprzekomarzać.

– Sam jesteś podkuchenna – ripostuje Gruby. A niech mnie, Gruby, który się odgryza!

Tomek każe sobie wszystko przetłumaczyć, po czym wybucha śmiechem.

– Venanzio to wariat – mówi przeprasającym tonem.

– Chodź, Nicco, zrobimy pyszny makaron.

Wpuszcza mnie do kuchni.

– Stań tutaj. – Podaje mi nóż, deskę i kilka cebul. – Pokrój je w plasterki, przygotujemy spaghetti. Kilka dni temu naszła mnie ochota na włoskie jedzenie i zamówiłem w knajpie tortellini. Czasami bardzo tęsknię za Włochami... tak jak dzisiaj... i kto się wtedy zjawia? Wy! Czy to nie wspaniałe?

Zabieram się do krojenia cebuli.

– Krój na cieńsze plasterki.

Zerkam do salonu. Chłopaki nakrywają duży stół w jaskrawym kobaltowym kolorze, rozkładają serwetki, potem Tomek podaje Grubemu kieliszki i gdy ten tylko postawi je przy nakryciach, chwytą go za ręce i unosi je, chcąc zachęcić mojego przyjaciela do tańca. Nie ma mowy, by mu odmówić, i po chwili obaj wirują po pokoju.

– Nie wierzę własnym oczom – mówię, przyglądając się im.

– O co chodzi? – Venanzio patrzy na mnie z ciekawością.

– Tańczą.

– No pewnie! Tomek ma muzykę we krwi, to jest silniejsze od niego.

– Czego nie da się powiedzieć o Grubym. Twój chłopak dokonał cudu, nie mogę przepuścić takiej okazji! – Wyjmuję z kieszeni komórkę i uwieczniam ten moment. Kiedy Tomek widzi, że ich nagrywam, zaczyna rytmicznie poruszać pupą! Gruby również zorientował się, że filmuję całą scenę.

– Przestań! Wyłącz to! – krzyczy, usiłując wyrwać się z objęć Tomka, co nie jest łatwe.

– Za późno. Już jest w sieci!

Kilkanaście minut później Venanzio oznajmia donośnym głosem:

– Zapraszam do stołu! Jedzenie gotowe.

Siadamy, a on nakłada nam makaron na talerze.

– Jeśli będzie wam smakować, jest przewidziana dokładka. Nie krępujcie się.

– Dobrze. – Próbuję dania. – Mmm... pycha! – Makaron jest naprawdę wyśmienity.

Venanzio nawija spaghetti na widelec i nagle klepie się dłonią w czoło.

– Zapomniałem o winie! Macie ochotę na chianti?

– Tak, chianti będzie idealne – odpowiadam w imieniu swoim i pozostałych, którzy mają usta pełne jedzenia.

Venanzio biegnie do kuchni i po chwili wraca z butelką czerwonego wina.

– Przyniosłem jednak amarone, trzymałem je na specjalną okazję, a ta taką z pewnością jest! Tomku, otwórz je, proszę. – Podaje mu butelkę i jakby go nagle coś oświeciło, rzuca: – Poczekajcie, chcę coś nastawić...

Wyjmuje z czytnika CD płytę z jazzem i wsuwa inną.

– To składanka.

Tymczasem Tomek otworzył wino i wacha korek.

– Mmm... dobre – stwierdza, po czym rozlewa trunek do czterech kieliszków. Każdy jest w innym kolorze, podobnie jak krzesła.

Venanzio puszcza muzykę.

– Same włoskie piosenki. Pierwszą, cover *La prima cosa bella*, śpiewa Malika Ayane. To są stare kawałki w aranżacjach współczesnych wykonawców. Potem jest *Ma il cielo è sempre più blu* Giusego Ferreriego i *Insieme a te non ci sto più* w wykonaniu Franca Battiaty. Cholera, zebrało mi się dzisiaj na wspomnienia... Jestem starym sentymentalnym facetem. –

Venanzio unosi kieliszek. – Proponuję toast. Wypijmy za Anię Malinowską, największą szczęściarę w Polsce, choć jeszcze o tym nie wie!

Śmiejemy się i stukamy kieliszkami. Makaron i ciepły domowy chleb są pyszne, wino wyborne, ma odpowiednią temperaturę i gęstość, a oni są parą niespodziewanych przyjaciół, gościnnych i kolorowych! To jest taka chwila, z której często ludzie nie zdają sobie sprawy, nie zauważają jej – chwila szczęścia. Nie chcę popełnić więcej tego błędu, więc rozkoszuję się każdą minutą. Patrzę na Grubego, który wyraźnie się rozkręcił, mówi na przemian po włosku i angielsku, starając się dogadać z Tomkiem.

– Zobacz, jaki świetny z ciebie tancerz – mówię mu i pokazuję nagranie w telefonie.

– Natychmiast je skasuj!

– Teraz jesteś człowiekiem, którego można szantażować. Coś mi się wydaje, że jutro YouTube się zawiesi...

Gruby się śmieje, ale odpuszcza i zwraca się do naszego gospodarza:

– Jesteś mistrzem kuchni, powinienes otworzyć włoską knajpę.

Venanzio tłumaczy słowa Tomkowi.

– On mi to zawsze powtarza – mówi, wskazując swojego chłopaka, który tylko potakuje, bo usta ma pełne jedzenia.

Mój przyjaciel natychmiast podchwytuje temat:

– Zróbmy to! Mówię poważnie. Będziemy wam dostarczać informacje o najnowszych włoskich trendach w gotowaniu, a w restauracji możemy również sprzedawać nasze produkty. Co wy na to?

– Wielu przed tobą wpadło już na ten pomysł – gaszę go.

– Ale my zrobimy to lepiej! – On się nigdy nie poddaje.

W głębi pokoju rozlega się dzwonek telefonu. Venanzio wstaje i idzie odebrać.

– Halo? Tak? – Stoi przed biblioteczką i słucha swojego rozmówcy. – Super, dzięki.

Odkłada słuchawkę i patrzy na mnie.

– Mamy ją!

Wydaje mi się niemożliwe, by odnaleźć człowieka, mając tak niewiele danych na jego temat, więc nie kryję sceptycyzmu, lecz entuzjazm Venanzia jest zaraźliwy.

– To ona, jestem pewny! Klaudia, z którą rozmawiałem, jest świetna. Zajmuje się organizacją castingów do najważniejszych kampanii reklamowych. Powiedziała, że zna tę waszą Anię i że zrobi wszystko, by wam pomóc.

Zrobiło się późno i Venanzio odprowadza nas do drzwi.

– Poczekajcie, gdzieś tu mam plan miasta.

Wraca po chwili z rozłożoną mapą w ręku.

– Agencja reklamowa znajduje się tutaj. – Zakreśla na czerwono jakiś punkt. – Ale i tak na wszelki wypadek dam wam nasze zamiary – mówi i wręcza nam wizytówki.

Są bardzo proste: biały kartonik i granatowe litery. Spodziewałbym się po nim czegoś bardziej szalonego, kiczowatego, a przynajmniej kolorowego, tymczasem odkrywam drugą stronę jego natury: to poważny profesjonalista. Nagle odzyskuję wiarę, nie mam wątpliwości, że Klaudia jest superodpowiedzialną osobą, że wszystko pójdzie dobrze i że odnajdę Anię.

Żegnamy się z naszymi gospodarzami. Venanzio okazał się bardzo pomocny, to prawdziwy przyjaciel. Jest idealnym połączeniem południowca i człowieka sukcesu, serdeczny i skuteczny jednocześnie.

– Dzięki, jeśli będziecie kiedyś w Rzymie, dajcie znać. Z przyjemnością wam się odwiedzimy, podpowiemy, dokąd pójść, gdzie można dobrze i tanio zjeść – mówię na koniec, a Venanzio się uśmiecha. To „tanio” mogłem sobie darować. Sądząc po umeblowaniu ich mieszkania, raczej nie mają kłopotów finansowych. Wręczam mu swoją wizytówkę z agencji nieruchomości.

– Dobra, stary, pomyślę o tym. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy... Pozdrówcie od nas Rzym – odpowiada rozbawiony.

Na ulicy Gruby znowu zaczyna swoje:

– Pomyśl tylko, nas dwóch w opłu tigrze z nimi na tylnym siedzeniu zamiast cudzoziemek... Gwarantowane zrujnowanie reputacji! – mówi kąśliwie.

– Nie lubisz ich, ale makaron wsunąłeś bez słowa.

– Jestem starym sentymentalnym Włochem – odpowiada, parafrazując słowa Venanzia. – Momentami miałem wrażenie, że jesteśmy na planie filmu Ferzana Özpeteka, tylko zabawniejszym...

– Wiesz, że masz rację? Jego filmy są jednak zbyt melancholijne.

– Dla mnie wręcz nudne! I ci geje, zawsze smutniejsi niż normalni ludzie... Z czego tu się śmiać!

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Geje smutniejsi od „normalnych” ludzi? Przecież nie rozmawiamy o kosmitach!

– Jak dla mnie są trochę nie z tego świata... Istoty pozaziemskie, gościnne, ale jednak pozaziemskie! Bardziej niż *Pod dobrą gwiazdą* przypominało mi to film o fanatykach mody *Diabeł ubiera się u Prady*!

20

Kiedyś przeczytałem w jakimś artykule, że mieszkańcy dużych miast są tak zabiegani, że w ogóle nie przyglądają się sobie nawzajem, co bardzo odpowiada międzynarodowym gwiazdom, jak na przykład Sting czy Michale Bublè – jeżdżą sobie nowojorskim metrem i nikt ich nie rozpoznaje. Nie wiem, czy to prawda, ale u nas mówiło się, że Alex Britti[4] grał na gitarze w londyńskim metrze, gdzie wypatrył go jakiś producent i zaproponował nagranie płyty. Może metro przynosi szczęście? Miejmy nadzieję.

– Tam. – Gruby wskazuje stację metra. – Jezu, ale chce mi się spać, do trzeciej nad ranem oglądałem telewizję.

– Super, ale zrozumiałeś wszystko?

– Zrozumiałem, że należało lepiej przykładać się do angielskiego!

Schodzimy do metra. Jakiś zespół gra cover Bruce’a Springsteena. Niebieskooka blondynka zmysłowo śpiewa do mikrofonu, z małych głośników rozbrzmiewa wyraźnie jej całkiem niezły głos. Zespół jest naprawdę dobry, ale większość pasażerów nie zwraca na niego uwagi.

Schodzimy na peron, nadjeżdża pociąg i wsiadamy. Muszę przyznać, że warszawskie metro jest bardzo czyste, jeszcze nie widziałem brudnego wagonu pokrytego graffiti czy to z zewnątrz, czy w środku. Nie tak jak w innych miastach albo na amerykańskich filmach, gdzie nie ma ani jednej niezamalowanej sprayem ściany. Komfort jazdy w takich warunkach jest nieporównywalny. Metro rusza natychmiast po zamknięciu się drzwi, a my znajdujemy wolne miejsca i siadamy.

Przez jakiś czas nic nie mówimy, w końcu Gruby nie wytrzymuje. Jako dziecko chyba nigdy nie został królem ciszy.

– Musisz przyznać, że pomysł z otwarciem włoskiej knajpy nie jest zły.

Patrzę na niego trochę nieprzytomnie, bo też jestem śpiący, ale podejmuję wysiłek i odpowiadam:

– Ale konkurencja na rynku jest ogromna!

– Moglibyśmy zrobić coś na wzór Roscioli lub Frontoni w Rzymie: pizza o każdej porze z różnymi dodatkami, z mozzarellą, pomidorami, salami, szynką parmeńską, mortadelą, włoskimi produktami wysokiej jakości. Moim zdaniem odnieśliśmy sukces i zgarnęli kupę kasy!

– Najpierw miałeś wstrząsnąć środowiskiem nowej ekonomii, potem wymyślić innowacyjne aplikacje, zostać pierwszym Włochem, który rzuci wyzwanie Zuckerbergowi i chłopakom z Google, a teraz wróciłeś do idei włoskiej restauracji za granicą. No naprawdę, nie można ci odmówić kreatywności i oryginalności.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Stworzę aplikację, dzięki której będziesz mógł złożyć zamówienie bez konieczności stania w kolejce lub z dostawą do domu.

– Taka aplikacja już istnieje.

– Ja zrobię ją lepiej i potem...

– ...i potem wejdziemy na giełdę i zostaniemy milionerami. Ciągłe opowiadasz tę samą historię.

– Słuchaj, jeśli nie będziesz miał wielkich marzeń, niczego nie osiągniesz. Na małym biznesie nie zbijesz fortuny. Jeśli się nad tym zastanowić, już Machiavelli opracował ten koncept: wystrzel strzałę wysoko w niebo, bo nawet jeśli do niego nie doleci, spadnie daleko!

– Wybiórczą wiedzę wyniosłeś z liceum, a praktyczną...

– À propos – Gruby zniża głos do konspiracyjnego szeptu – zauważyłeś, że tym, którym świetnie szła nauka w liceum, nie powiodło się na studiach? Rozejrzałem się wśród naszych klasowych kolegów i wiesz, co odkryłem? Większość tych, którzy jechali na trójkach, zaczęła się jako stażyści w różnych firmach, a kujony trzy lata po maturze nic nie robią...

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że szkoła jest do bani!

Siedząca naprzeciwko nas dziewczyna z długimi ciemnymi włosami, niebieskimi oczami i kolczykiem w nosie, ubrana w szerokie dżinsy i krótką wiśniową kurteczkę, wybucha śmiechem. Gruby patrzy na mnie.

– Niemożliwe żeby znała włoski – szepcze.

– Może śmiała się z ciebie, nie z tego, co mówisz.

Metro wjeżdża na stację. Dziewczyna wstaje i wysiada. W ostatniej chwili Gruby odczytuje nazwę stacji.

– O cholera, chyba mieliśmy wysiąść na poprzedniej.

– Jak to?

– Tak, tak, jestem pewny. Rusz się, wysiadamy!

W ostatniej chwili wyskakujemy z wagonu, tuż przed zamknięciem drzwi. Pociąg odjeżdża, a my idziemy za dziewczyną w stronę wyjścia.

– Przepraszam... – zaczepia ją Gruby – wiesz, gdzie jesteśmy?

Dziewczyna kręci głową, chyba nie rozumie.

– Gdzie jesteśmy? – próbuje Gruby po angielsku.

– Na Pradze.

– Jak to na Pradze? Co teraz zrobimy?

Wyjmuje mapę i wskazuje zaznaczony na niej czerwony punkt.

– Przykro mi, nie wiem – mówi dziewczyna, kręcąc głową, i odchodzi.

– No to już wiem trzy rzeczy. – Gruby składa plan miasta. – Po pierwsze, nie mówi po włosku, po drugie, śmiała się z siebie tylko znanych powodów, i po trzecie, przejechaliśmy naszą stację i już po nas...

– Dlaczego?

– Jesteśmy na Pradze, ta dzielnica ma bardzo złą opinię.

– W takim razie chodźmy stąd.

Pomysł nie jest zły, ale ulica, na którą wychodzimy, nie wygląda zachęcająco.

Dokładnie w tej samej chwili zza rogu wyjeżdża grupa motocyklistów. Wszyscy mają jednakowe skórzane kurtki i harleye z długimi widelcami, wysokimi siedzeniami i szerokimi kierownicami obwieszonymi błyskotkami i emblematami, boczne lusterka skierowane są w dół.

– Zobacz, wyglądają jak z tego filmu *Wojownicy*, pamiętasz go?

Mężczyźni zatrzymują się tuż koło nas, wciskają klaksony i pedały gazu, niemiłosiernie hałasując. Nie wiemy, co robić.

– Chyba mają do nas jakąś sprawę.

Wyłączają silniki, butami rozkładają boczne nóżki i zsiadają. Wszyscy są potężnie zbudowani, a może to skórzane kurtki nadają im niedźwiedzi wygląd, niemniej w czarnych koszulkach w trupie czaszki, z napompowanymi bicepsami i wytatuowanymi ciałami nie są osobami, które chciałbyś spytać o drogę. Idą w naszą stronę. Co będą mieli nam do powiedzenia? I tak ich nie zrozumiemy.

Są coraz bliżej. Uświadamiam sobie, że lanie, które zaraz nam spuszcza, w każdym języku wygląda tak samo. Chciałbym zniknąć, rozplynać się w powietrzu albo już leżeć na ziemi po ciosie w twarz. Aniu, wspaniale byłoby cię znów zobaczyć, jeśli możesz, odwiedź mnie w tym szpitalu, do którego mnie zawiozą...

Motocyklistów dzielą od nas centymetry, zamykam oczy, ale nic nie czuję, nic się nie dzieje.

Kiedy je otwieram, widzę, że nas zignorowali i wchodzi do pubu, który znajduje się za naszymi plecami.

– Nic do nas nie mieli – mówię do Grubego, który jest blady jak gotowany ryż.

– Uff... Oczami wyobraźni widziałem już nagłówki jutrzejszych gazet: *Dwóch Włochów pobitych do nieprzytomności przez gang motocyklistów.*

– Aha, a Ania i Paulina zobaczyłyby nas w wiadomościach, ale nie rozpoznałyby, bo mielibyśmy spuchnięte gęby.

– Spróbujmy zorientować się, dokąd iść, zanim tamci zmienią zdanie.

Gruby znów wyjmuje mapę i rozkłada ją na bagażniku jakiegoś samochodu.

– Pomóż mi, bo nic z tego nie rozumiem. Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

W tym momencie z pubu wychodzi jeden z motocyklistów, chyba najmłodszy w tym gronie. Wyjmuje z kieszeni torebeczkę z tytoniem, bibułkę i z wielką wprawą skręca sobie papierosa, co zajmuje mu kilkanaście sekund. Zapala, zaciąga się głęboko i rozgląda. Tymczasem Gruby obraca mapę, usiłując zorientować się, jak należy ją czytać, i z desperacją w oczach spogląda na ulicę, szukając jakiejś wskazówki. Facet wypuszcza z ust dym i zgaduje:

– Hej, zgubiliście się?

Nie czekając na odpowiedź, podchodzi do nas z papierosem w ustach, staje przy samochodzie i spogląda na mapę, po czym obraca ją i wskazuje pulchnym palcem jakiś punkt.

– Jesteśmy tutaj... Chcecie dostać się tam? – Puka w czerwoną kropkę.

– Tak! – Kiwamy z ulgą głowami, szczęśliwi jak dwóch wędrowców na pustyni, którym zaoferowano lodowatą colę.

– To niedaleko. Hej, Bruno!

Nasz wybawca przywołuje kumpla właśnie wychodzącego z pubu, tego, który wydawał nam się najbardziej groźny z całej bandy harleyowców. Rozmawiają przez chwilę.

Minutę później siedzimy za tymi dwoma wielkimi facetami na potężnych i agresywnych harleyach, bez kasków, z włosami rozwiewanymi przez wiatr i mkniemy ulicami Pragi.

Gruby, którego twarz odzyskała naturalny kolor, krzyczy do mnie:

– Kto wymyśla te wszystkie historie o Pradze? Przecież oni są przesympatyczni i łagodni jak baranki, uparli się, żeby nas podwieźć!

– Sam mówiłeś, że to niebezpieczna dzielnica. Nie bądź takim pesymistą, staraj się zawsze znaleźć dobrą stronę...

– Jasne, ale może właśnie zostaliśmy uprowadzeni, wywiozą nas do jakiejś piwnicy, spiorą na kwaśne jabłko i zażądadają od rodzin okupu.

– Może są napakowani i wytatuowani, ale nie są kretynami! Zrozumieli, że to oni musieliby zapłacić, by nas od nich zabrano!

Gruby śmieje się bez troski, chyba mu ulżyło. Tylko z pozoru wygląda na luzaka, widziałem, że był zdenerwowany.

Motocykliści przyśpieszają, ryk silników jest ogłuszający, w moich żyłach buzuje adrenalina. Po chwili dodają jeszcze gazu i jednocześnie pochylają motory, wchodząc w zakręt. Wreszcie zatrzymują się przed wysokim budynkiem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia młodszy z nich.

Zsiadamy i dziękujemy im za pomoc. Mówimy, że jeśli będą kiedyś w Rzymie, chętnie zabierzemy ich gdzieś na przejażdżkę. Wyobrażam sobie wieczór w towarzystwie tych dwóch harleyowców, Venanzia i Tomka – cała

nasza szóstka na kolacji w Pizza Re! To byłby widok. Nie wiem, czy zrozumieli, co powiedzieliśmy, bo nie poprosili nawet o numer telefonu. Wcisnęli gaz do dechy i odjechali.

Wchodzimy do holu. Gruby jest nabuzowany.

– Zajeście było na tym motorze! Po powrocie do Rzymu idę kupić taki sam! Mam już skórzaną kurtkę Bruce’a Lee, muszę tylko zapuścić kucyk.

– Skręty też palisz... niczego więcej ci nie trzeba!

Portier w eleganckim uniformie kieruje nas do recepcji, gdzie śliczna dziewczyna pyta nas, do kogo przyszliśmy.

– Agencja Orange Models, Klaudia Józwiak.

– Chwileczkę. – Daje znak, żebyśmy poczekali.

Podnosi słuchawkę telefonu, wybiera numer wewnętrzny i z kimś rozmawia. Wygląda na to, że Klaudia została uprzedzona o naszej wizycie.

– Dwunaste piętro.

Wsiadamy do windy. Kilkanaście sekund później docieramy na miejsce. Agencja Orange zajmuje całą kondygnację. Za szeroką nowoczesną ladą jak w ukropie uwijają się młodzi ludzie, trzymający w rękach teczki, projekty, kartki, rysunki, zdjęcia...

Na wysokich ścianach wiszą plakaty najważniejszych kampanii reklamowych: H&M, Levi’s, Mango, Reserved. A na nich ona.

– Jest i twoja przyjaciółka, Ania Malinowska.

Na zdjęciu ma delikatnie umalowane oczy i jasną skórę, w zagłębieniu otwartej dłoni trzyma słoiczek z kremem nawilżającym, któremu zawdzięcza swoją urodę: Vichy. Nieprawda, krem nie ma tu nic do rzeczy, ona po prostu taka jest, jej uroda to wyłącznie zasługa natury.

– W czym mogę pomóc? – Dziewczyna za ladą recepcji przywołuje nas do rzeczywistości.

– Jesteśmy umówieni z Klaudią Józwiak. – Gruby jest szybszy ode mnie.

– Chwileczkę.

Podobnie jak kobieta na dole, ona również wybiera wewnętrzny i zamienia

kilka słów z rozmówcą.

– Oczywiście – mówi i odkłada słuchawkę. Wychodzi zza lady. – Tędy, proszę.

Wprowadza nas do nowoczesnej poczekalni z brązowymi skórzanymi kanapami. Na ścianach wiszą białe draperie, a na nich różnokolorowe obrazy w jasnych drewnianych ramkach. Podłoga zrobiona jest z szerokich ciemnych dębowych desek, specjalnie postarzonych, przymocowanych bolcami z ocynkowanej stali. Przed naszą kanapą stoi niski wypolerowany żeliwny stolik, na którym leżą albumy ze zdjęciami z kampanii reklamowych zrobionych przez studio. Niektóre rozpoznaję, innych nigdy wcześniej nie widziałem, ale wszystkie są piękne, niektóre wręcz niezwykle. Gruby przegląda jeden z nich.

– Zobacz, tu jest Ania. – Pokazuje mi fotografię. – I tu. – Przewraca kolejne kartki. – Tutaj też.

Ania pozuje w różnych odsłonach: w bieliźnie, w sukni ślubnej, w kostiumie kąpielowym, w okularach przeciwsłonecznych, w jasnej sukience, w ciemnej sukience, na fotelu u fryzjera.

– Ona musi mieć kupę kasy! Chyba zawiąłeś do właściwego portu. Okaze się, że wyrwałeś nie tylko zajebistą laskę, ale i nadzianą! Ale jaja... Ty i ona!

– Co za wysublimowany język. Doprawdy imponujące... Poza tym, skąd miałem wiedzieć, że ona jest modelką? Nawet nie wie, że tu jestem, zaraz się okaże, że przyniesiesz mi pecha.

– Dlaczego?

– Albo jej nie znajdziemy, albo nie ucieszy się na mój widok!

– Daj spokój...

– Jesteście Włochami! Venanzio nic mi nie powiedział! Może chciał mi zrobić niespodziankę? On i Tomek są nieobliczalni... – Podchodzi do nas śliczna szatynka i wyciąga rękę na powitanie. Ma doskonale obcięte krótkie włosy, niewątpliwie efekt pracy jakiegoś modnego i drogiego fryzjera.

– Tak... – bąka niepewnie Gruby, lecz zaraz rozpromienia się na jej widok.

– Klaudia Józwiak. Miło mi.

Wymieniamy uściski dłoni i się przedstawiamy.

– Domenico.

– Niccolò.

Klaudia siada na kanapie stojącej obok naszej.

– Siadajcie... Mówcie powoli, bo mój włoski nie jest zbyt dobry. Co mogę dla was zrobić? Venanzio wspomniał mi, że chcecie Anię Malinowską, prawda? W jakim celu?

Mam ochotę się roześmiać, na szczęście Klaudia mówi dalej:

– Co to za reklama? Macie już jej zarys? Chcecie kręcić tutaj czy we Włoszech? Chodzi o reklamę prasową?

Gruby wpatruje się w nią tępo. Dziewczyna patrzy na nas z zaciekawieniem, czekając, aż któryś z nas poda jej powód naszej wizyty.

– Ja będę mówił, dobrze? – zwracam się do swojego przyjaciela.

– Tak będzie lepiej.

Zaczynam całą historię od początku. Nie wiem dlaczego, ale opowiadam Klaudii o swoim życiu, o rodzinie, o śmierci taty i o Alessii, która rzuciła mnie z dnia na dzień bez słowa wyjaśnienia. Opowiadam o Ilarii de Luce, którą podejrzewałem o romans z moim ojcem, a okazało się, że tylko pożyczył jej pieniądze na leczenie córki, i o tym, jak przyszła pewnego dnia do biura, w którym pracuję, by oddać pieniądze, dzięki którym udaliśmy się w tę podróż. Mówię, jak Gruby stroił sobie ze mnie żarty, biorąc mnie za żigolaka. Klaudia spogląda na niego, kręcąc głową, a on nie odrywa od niej wzroku.

– Potem, pewnego dnia pojawiła się w moim życiu Ania...

Opowiadam, jak zaczęliśmy spotykać się z nią i jej przyjaciółką, o naszej podróży do Wenecji, Neapolu i Florencji, o tym, jak zacząłem powoli się w niej zakochiwać i jak nadal myślałem o Alessii, i że kiedy Ania to zrozumiała, wyjechała bez pożegnania, żeby nie cierpieć.

– Nie potrafiłem powiedzieć jej, ile dla mnie znaczyła, myślała, że to tylko przygoda... Dlatego postanowiłem tu przyjechać i ją odnaleźć. Wziąłem ze sobą Grubego, choć boi się latać... Tak na niego mówią przyjaciele.

– Bałem się latać – prostuje Gruby.

Klaudia kiwa głową – jest skupiona i lekko rozbawiona. Potem opowiadam o tym, co usłyszałem od Grubego w samolocie, że Alessia chodzi z moim

najlepszym kumplem, i o tym, jak zrozumiałem, że nic mnie to nie obchodzi, bo od dłuższego czasu najważniejsza jest Ania, po prostu wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Klaudia odzywa się dopiero po chwili:

– A więc nie ma żadnej reklamy?

Gruby ocknął się z otępienia, w jakie wprowadziła go obecność dziewczyny.

– Nie, ale musisz nas zrozumieć... – Nachodzą go wątpliwości. – Mogę mówić ci po imieniu, prawda?

– Jasne! Wydaje mi się, że jesteśmy w podobnym wieku, poza tym w tym środowisku wszyscy jesteśmy na ty, bez względu na wiek!

– Szukanie dziewczyny do kampanii reklamowej było pomysłem Venanzia... Przepraszamy, ale czy nie powinnaś docenić naszej szczerości?

– Na tym polega moja praca. Przez to miejsce codziennie przez cały rok przewija się tłum modelek i agentów. Daleko byście nie zaszli z tą historią, wyłapałabym was błyskawicznie, tak się mówi?

– Przyłapałabys.

– Właśnie, przyłapałabym was natychmiast. Nauczyłam się tego na studiach w Mediolanie. Mam włoskie korzenie, dlatego znam ten język. Tak czy inaczej, szybko bym was przejrzała i Anię oglądalibyście tylko na zdjęciach.

Gruby zrywa się na równe nogi.

– A więc jest jakaś szansa, nadzieja, że ją odnajdziemy, prawda? W przeciwnym razie Nicco zrzuci całą winę na mnie, powie, że przyniosłem mu pecha.

– Co to ma do rzeczy? – Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Ma, ma, popatrz tylko na niego.

Klaudia przygląda mi się z uwagą, a ja nie wiem, co o tym myśleć. Nie mam pojęcia, co zamierza Gruby.

– Widzisz go? – ciągnie. – W tym momencie znajduje się w stanie zawieszenia, jego los jest niepewny, przemierzył pół Europy, by odnaleźć Anię. Na tę podróż udało mu się również namówić swojego najlepszego przyjaciela, czyli mnie, choć ten bał się latać...

Dziewczyna unosi brew.

– Krótko mówiąc, Klaudio, wszystko w twoich rękach. Ty decydujesz o życiu tego człowieka, możesz zapewnić mu radość lub rozpacz do końca jego dni, uszczęśliwić lub pozbawić szczęścia na zawsze... Dzięki tobie może narodzić się miłość, rodzina, dzieci... Klaudio, teraz jesteś Bogiem!

– Słuchaj, nie lubię żartów na ten temat. – Dziewczyna wstaje.

– Chciałem tylko, żebyś zrozumiała!

– Bardzo dobrze rozumiałam... We Włoszech pracujesz jako komik, prawda?

– Nie, ściągam... – do Grubego dociera, że za chwilę może się pogryźć.

– Co? – pyta zaskoczona.

– Ściągam... głośniki.

– Pracuje w telekomunikacji – interweniuję, starając się ratować sytuację, która wymyka się spod kontroli.

– Choć aktor... – Gruby zerka na mnie.

– Żartuj sobie dalej! – Klaudia traci cierpliwość. – W naszym środowisku takie sprawy są traktowane bardzo poważnie. Nie mogę dać wam namiarów na osobę, która dla nas pracuje, nie wiem nawet, czy was zna, ani tym bardziej czy ma ochotę się z wami spotkać. To są kwestie ochrony danych osobowych i jeśli dowiedzieliby się o tym moi przełożeni, natychmiast straciłabym pracę. Rozumiecie?

– Tak, ale wytłumacz im, że to w słusznej sprawie.

– Nic nie rozumiałeś. Tu nie jest tak jak we Włoszech. Jeśli popełnisz błąd, idziesz do więzienia i nie ma znaczenia, jakie masz znajomości ani jakie były powody twojego postępowania. Naprawdę chcesz, żebym tak skończyła?

– Nie... – odpowiada Gruby po chwili milczenia. – Ale gdybyś znalazła...

– Nie mogę, nie potrafię wam pomóc... Nie chcę tego robić, wybaczenie.

– Spróbuj... – nalega mój kumpel.

– Przykro mi, ale nic z tego. Muszę wracać do pracy.

Odprowadza nas do windy. Wsiadamy, wciskam guzik „zero” i Klaudia rzuca mi ostatnie spojrzenie.

– Przykro mi...

Przyzwyczałem się do tych słów, nie robią już na mnie wrażenia. Kiedy drzwi się zamykają, mam ochotę rzucić się na Grubego.

– Doskonale! Brawo! – Klaszczę. – Gratuluję. Zrobiłeś z siebie kretyna, jesteś zadowolony? Z całego serca ci dziękuję, naprawdę okazałeś się bardzo pomocny. Przed tobą świetlana przyszłość. Pamiętasz, co powiedziała Klaudia? Jesteś urodzonym komikiem!

– Strasznie mi się podoba... Kocham ją... – odpowiada Gruby, niewzruszony moim wybuchem złości. Nie ma w nim cienia skruchy.

– Jasne! Tobie podoba się wszystko, co się rusza.

– Nie, z nią jest inaczej.

– Gruby, wiesz, ile razy słyszałem te słowa z twoich ust? Setki, jeśli nie tysiące! Powinienem sprać cię na kwaśnie jabłko! Mieliśmy jedyną szansę na odnalezienie Ani, a tobie tylko żarty w głowie!

– Nie żartuję. Chyba po raz pierwszy w życiu się zakochałem.

– Nie bądź idiotą.

– Przysięgam! Dlaczego mi nie wierzysz? Po raz pierwszy w życiu nie chciałem jej przelecieć, tylko z nią rozmawiać, patrzeć na nią... Zauważyłeś, jak przygryza wargę?

– Nie.

– Kiedy opowiadałeś jej całą tę historię, delikatnie przygryzała wargę, była wzruszona i przysięgam, że poczułem ucisk w sercu, taki dziwny, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Patrzę na niego, wygląda bardzo poważnie.

– Może coś w tym jest?

– Chodzi o ucisk w sercu?

– Nie, o wargę. Kiedy zwracamy uwagę na jakiś nic nieznaczący szczegół, który staje się dla nas czymś najwspanialszym na świecie, cóż, to znak, że...

– Że co?

– Że jesteśmy zakochani.

– Mam pomysł.

Winda zatrzymuje się na parterze, drzwi się otwierają, a Gruby jak

wystrzelony z procy pędzi w stronę portiera, który wybałusza oczy, lekko zdezorientowany takim zachowaniem. Mój przyjaciel zwariował, w najlepszym wypadku zaraz go aresztują. Widzę, że tłumaczy coś, energicznie gestykulując, i chyba osiąga cel, bo portier podaje mu kartkę i długopis. Gruby coś na niej pisze, składa ją na pół i oddaje mężczyźnie, po czym klepie go przyjaźnie po plecach i pędem wraca do mnie.

– Zrobione, idziemy!

– Co zrobiłeś?

– Nic, nie martw się.

– Kiedy tak mówisz, zawsze się martwię.

– Weź, wyluzuj! Będzie dobrze!

Wychodzimy z budynku. Gruby kładzie mi ręce na ramionach.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, odnajdziemy twoją Anię, możesz być spokojny!

Patrzę na niego nieufnie, ale jego optymizm jest zaraźliwy. Może ma rację?

Po krótkim spacerze jesteśmy w centrum miasta. Kolejne dwie godziny spędzamy na łażeniu po sklepach, zaglądamy w różne miejsca, podpatrując trendy. W końcu kupujemy bilety na musical *Mamma Mia*, który święci triumfy na całym świecie, i choć nie rozumiemy ani słowa, jesteśmy zachwyceni muzyką i stroną wizualną przedstawienia.

Wychodzimy z teatru na ulicę pełną ludzi, którzy przyszli na kolejny spektakl. Zerkam na repertuar i widzę, że w programie są inne musicale, równie znane, takie jak *Deszczowa piosenka*, *Koty*, *Grease* czy *Aladyn*.

Postanawiamy coś zjeść, więc idziemy do Bazyliuszka, restauracji, którą polecił mi mój szef, Alfredo Bandini. Po drodze dzielimy się wrażeniami z przedstawienia.

Wybór knajpy okazuje się strzałem w dziesiątkę. Jedzenie jest wyśmienite, zwłaszcza zupy, obsługa bardzo miła, a wewnątrz przytulne. Wreszcie, wykończeni po pełnym wrażeń dniu, wracamy do hotelu.

– Jeśli padnę do łóżka na kilkanaście godzin, to uformuję w materacu Rów Mariański – oznajmia Gruby, znikając w swoim pokoju.

Wchodzę do siebie, rozbieram się i wskakuję do łóżka. Mimo zmęczenia

dociera do mnie, że poniekąd dzięki *Mamma Mia*, pysznemu jedzeniu i sympatycznym kelnerkom w Bazyliszku w ogóle nie myślałem o Alessii ani o tym, co teraz robi na drugim końcu Europy. Cieszy mnie to. Muszę nadal kroczyć tą drogą.

Wyłączam lampę, wpatruję się w światło latarni wpadające do pokoju, nasłuchuję odległych odgłosów miasta. Chciałbym, żeby ta podróż nie okazała się niepotrzebna, przykro by mi było, gdyby nie udało mi się zobaczyć Ani. Muszę się z nią jeszcze spotkać, nie proszę o więcej, ale życie jest mi winne tę przysługę!

Z nadzieją, że moje życzenie zostanie spełnione, wreszcie zasypiam.

21

Na oko cztero- lub pięcioletni blondynek przemyka zwinnie między moimi nogami i zbiega po schodach. Chwytam się poręczy, by nie stracić równowagi, kiedy widzę nadchodzącego korytarzem Grubego. Maluch o nordyckich rysach twarzy, zwrotny jak fretka, pojawia się teraz za plecami mojego przyjaciela, wymija go i puszcza się pędem na dół.

– Jak się wydostał? Zamknąłem go w schowku! – Zaspany Gruby pokazuje dzieciaka.

– Zamknąłeś dziecko w schowku? Zwariowałaś?! – Wytrzeszczam oczy z niedowierzania.

– O szóstej rano śpiewał pod moimi drzwiami. Wyglądał jak muzyczna reklama katalogu Ikea.

On jest szurnięty, ale nie mogę zachować powagi.

– Lepiej ściągnijmy windę. – Wciskam guzik. – Jeśli okaże się, że na dole czekają przedstawiciele polskiej niebieskiej linii gotowi wsadzić nas do paki, będziemy wyglądali na bardziej wypoczętych – żartuję.

Na dole znów spotykamy żywiołowego blondaska: najpierw stoi w jednym rogu holu, a po chwili w drugim. Kręcimy z niedowierzaniem głowami, bo nikt nie jest tak zwinny, by w ciągu nanosekundy przemieszczać się z jednego miejsca w drugie. Dopiero po chwili dociera do nas, że maluchów jest dwóch... Bliźniaki!

– Ha! Ten sobowtór go uwolnił! – W głosie Grubego pobrzmiwa nutka dumy więziennego klawisza.

Obaj uciekinierzy dopadają młodą parę stojącą przy ladzie recepcji z kolejną dwójką dzieci. Około trzyletni chłopczyk trzyma się kurczowo spodni taty, a w chuście matki śpi maleńka dziewczynka.

Dla Europejczyków z północy nie ma barier nie do pokonania, myślę. W Rzymie też często ich widuję, jak w czterdziestostopniowym upale z gromadką dzieci zwiedzają miasto. Moi rodzice mówili, że będą mogli

podróżować, dopiero kiedy ja, Valeria i Fabiola dorośniemy. „Jak można poznawać nowe miejsca z trójką małych dzieci?” – pytała mama. Ci tutaj mają czwórkę, a w planach zwiedzenie Muzeum Narodowego albo piknik w Łazienkach. Są szczęśliwi jak kibice, których drużyna strzeliła gola. Uważam, że dobrze robią, trzeba wypływać na szerokie wody, mieć odwagę, tylko tak można brać z życia to, co najlepsze, przeżywać wspaniałe chwile, które zaskakują nas w każdym zakątku ziemi. Gdyby mama i tata nie czekali z podróżowaniem, aż dorośniemy, może udałoby im się zwiedzić świat i przywieźć fantastyczne zdjęcia i pamiątki.

Jeden z bliźniaków celuje palcem w Grubego. O cholera. Robię krok do tyłu, kiedy niespodziewanie ktoś klepie mnie w plecy. Słyszę chrząknięcie i damski głos, który mnie woła. Jak nic mama Ikea zamierza oskarżyć nas o znęcanie się nad jej dziećmi, wskazać jako potomków Heroda Wielkiego i dostarczyć nasze głowy UNICEF-owi. Nie mam odwagi się odwrócić.

– Nie wierzę własnym oczom – w głosie Grubego słychać ekscytację.

Odwracam się: przed nami stoi Klaudia Józwiak w ołówkowej spódnicy do kolan, cienkiej skórzanej kurtce i z ogromną torbą na ramieniu, taką, jakie noszą modelki... i kobiety pracujące z modelkami! Wszystko oczywiście czarne. Mam wrażenie, że w tym środowisku elegancja tylko jedno ma imię: *total black*.

Muszę przyznać, że jeśli chodzi o niespodzianki, tej spodziewałem się najmniej.

– Widać, że macie wakacje. Jest już wpół do jedenastej, a wy jeszcze nie wyściubiliście nosa z hotelu.

Gruby odgarnia włosy do tyłu, nagle odzyskał wigor.

– Gdybym wiedział, że wpadniesz, obejrzelibyśmy razem wschód słońca.

Klaudia albo nie łapie aluzji, albo udaje, że nie widzi jego zalotów. Ja natychmiast zwracam uwagę na radosne tony w głosie mojego przyjaciela. Co się z nim dzieje?

– Jak nas znalazłaś? – pytam, by dać mu trochę czasu na odzyskanie równowagi.

Kiedy zadaję pytanie, od razu przychodzi mi do głowy odpowiedź, którą Klaudia i Gruby wykrzykują jednocześnie:

– Venanzio!

– Co za jednomyślność! – komentuje Gruby, nie odrywając od niej wzroku.

– Macie fart. – Klaudia pokazuje nam jakąś kartkę. – Proszę bardzo, wczoraj pytano o Anię Malinowską...

– Tak, wiem, my o nią pytaliśmy – wyjaśniam skonsternowany. – Chcieliśmy wiedzieć, gdzie mieszka...

Klaudia patrzy na mnie, jakbym był jednym z tych szwedzkich maluchów, które chwilę temu biegały po hotelowym lobby.

– Mówię o rewelacyjnym kontrakcie na film reklamowy za milion złotych.

Gruby, do tej pory lekko zaspany, natychmiast się ożywia. Wyglądamy jak Totò i Peppino na wakacjach.

– Cała kasa dla niej? – pyta, choć myśli, że byłby gotów zapłacić tyle samo za możliwość pójścia na kawę z Klaudią.

– Nie – Klaudia się śmieje – taki jest budżet całego przedsięwzięcia. Muszę do niej pojechać i przedstawić jej warunki oferty. Na tym polega moja praca i pomyślałam, że jeśli macie ochotę, możecie jechać ze mną.

W naszych głowach, choć z innych powodów, rozbrzmiewają chóry anielskie.

– Jestem bardzo roztrzępana, dlatego nie zauważyłam, że ze mną jedzicie, tak? – Puszczą do nas oko.

Umowa stoi, obaj kiwamy energicznie głowami.

– Chodźmy zatem na kawę.

Teraz przemawia przez nią Bóg.

Prowadzi nas do małego baru w podwórzu, ignorując Costa Coffee, koło której przechodzimy.

– Wierz mi, ich kawa wcale nie jest taka zła. Choć włoska jest najlepsza, wy też umiecie ją robić... – Gruby ćwierka jej do ucha jak słowik, chcąc się przypodobać, kiedy mijamy wejście do kawiarni z wymalowanym napisem „Frappuccino” nad gigantycznym kubkiem.

– Ten syf? – Klaudia krzywi się z niesmakiem. – Daj spokój, tego nie da się pić.

– Masz rację. Nicco mówił wczoraj, że mu smakuje, a ja od razu powiedziałem, że jest ohydna. – Gruby chce znaleźć uznanie w jej oczach.

– Czarne mocne espresso, taka powinna być kawa – oznajmia Klaudia, gdy kelnerka stawia przed nami filiżanki z prawdziwej porcelany z gorącą kawą. W maleńkiej kawiarence nie ma stolików, tylko blaty, kawę pije się na stojąco. Ciastka z naturalnych produktów wypiekane są na miejscu i pachną jak domowe. Inny świat w porównaniu z papierowymi kubkami i sztucznymi muffinami!

– Po trzech latach spędzonych w Mediolanie i z takim pochodzeniem nie potrafię pić innej kawy – wyjaśnia Klaudia z tym swoim niepewnym akcentem, choć bardzo cool, jak to się teraz mówi.

– Powinnaś spróbować kawy w Rzymie – mówi Gruby takim tonem, jakby ją zapraszał.

– W Neapolu też jest niezła – wtrącam się.

Daje mi kuksańca w bok, przez co o mało nie rozlewam kawy, i mówi przez zaciśnięte zęby: – Po czyjej jesteście stronie?

– W jakim sensie? – pyta skonsternowana Klaudia.

– Miałem na myśli, po której stronie blatu stoi... Zajął tyle miejsca.

I tak, między zakłopotaniem, niedopowiedzeniem i aluzją, wyglądamy jak troje przyjaciół, którzy znają się od lat i mają w zwyczaju jadać razem śniadania. Klaudia jest zrelaksowana, o wiele sympatyczniejsza niż wczoraj z biurze, gdy zachowywała się chłodno i profesjonalnie. Opowiada o swoim pobycie we Włoszech, jak doskonale się bawiła i jak dużo nauczyła.

– Miałam chłopaka z Grossissimo... nie... – Marszczy czoło, szukając właściwego słowa.

– Grossissimo? – Grubemu rzędzie mina.

– Z Grosseto! Z Toskanii, przypomniałam sobie. Był taki romantyczny.

– To znaczy, że nie żyje? – Mojemu przyjacielowi momentalnie wraca humor.

– Nie, skąd! Coś się zaczęło, coś się skończyło, takie jest życie. Po dyplomie musiałam wracać do Polski, a on przeniósł się do Singapuru. Ale wy, Włosi, jesteście niesamowici, nie myślicie tylko o pracy.

– Możesz być pewna, że on z pewnością nie myśli o pracy – mówię, zerkając na Grubego.

– Twoja wczorajsza opowieść bardzo mnie rozbawiła, ale i wzruszyła – ciągnie Klaudia. – Przeważnie za każdą historią kryje się jakiś interes, ktoś chce coś sobie przy okazji załatwić, tymczasem twoja love story jest taka szczerą i prawdziwą. – Patrzy na mnie z zachwytem. – Podoba mi się, że zdecydowałaś się wyjechać, zanim dowiedziałaś się, że twój przyjaciel Cato...

– Bato – poprawiam ją.

– W przeciwnym razie wyglądałoby to na klasyczny odwet, na chęć udowodnienia za wszelką cenę, że jesteś szczęśliwy, że też masz kogoś, gdy twoja była cię zdradza... Tymczasem ty przyjechałeś tu specjalnie dla Ani.

– Niestety ona o tym nie wie. Nie powiedziałem jej tylu rzeczy... – W moim głosie słychać żal i gorz.

– Ale przecież ona ni w ząb nie zna włoskiego, ty polskiego, a twój angielski jest do bani.

Klaudia się śmieje, a mało wyszukane słownictwo mojego przyjaciela nie robi na niej wrażenia.

– Językiem ciała i z pomocą gestów można bardzo wiele przekazać – odcinam się. Grożę mu palcem i daję do zrozumienia, że pożałuje swoich słów.

– Jej też powinno się dostać, też się śmieje. – Gruby szuka sprzymierzeńców.

– Co dostać? O co chodzi? – dopytuje się nasza nowa znajoma, udając, że nic nie rozumiała.

– Jeśli uda mi się spełnić moje marzenie i spotkam Anię, dostaniecie wielki tort – odpowiadam wymijająco.

– Pamiętaj, że ma być dietetyczny – żartuje Klaudia, która jest o wiele zabawniejsza, niż na to wygląda.

Kręcę głową i dopijam kawę, która nie jest może tak niedobra jak ta z sieciowej kawiarni, ale daleko jej do tej rzymskiej. Zastanawiam się, co takiego napisał Gruby w liściku do Klaudii, że dziś się u nas zjawiała. Próbowałem go wczoraj przycisnąć, ale nie puścił pary z ust. Powiedział, że

to mogłoby przynieść pecha.

Nie wiem, czy naprawdę by tak było, ale faktem jest, że bilecik zrobił swoje.

Klaudia wyjmując z czarnej torby czarny skórzany portfel i płaci za kawę. Gruby próbuje ją powstrzymać.

– Nie możemy pozwolić, by kobieta za nas płaciła.

– Spokojnie, wrzucę to w koszty – odpowiada Klaudia pragmatycznie. Jest interesującą mieszanką stanowczości i kobiecości. W jej tonie słychać raz uległość, raz zdecydowanie. – Zbieramy się. Pociąg odjeżdża za półtorej godziny, kupiłam bilety.

– Dzisiaj? Teraz? – pytam skonsternowany. Czasami zupełnie zapominam o radzie taty, by w niektórych sytuacjach, zanim coś powiem, policzyć do dziesięciu, przez co wychodzę na kretyna.

– Świat reklamy jest szybki, przyjacielu. Tu wszystko robi się natychmiast. – Klaudia pstryka palcami, dając znak, byśmy szli za nią.

– Wszystko, co? – powtarza Gruby z zadowoleniem. W wyobraźni leży pewnie w wielkim małżeńskim łóżu z Klaudią w koronkowej bieliźnie. Chyba wie, że czytam w jego myślach, bo szybko zmienia temat, upewniając się co do szczegółów naszego wyjazdu.

– Zatem jedziesz z nami? – dopytuje z entuzjazmem, jakby wybierali się w podróż poślubną.

– To wy jedzicie ze mną... Powiem inaczej, jedzicie za mną bez mojej wiedzy, pamiętajcie o tym! Chociaż to wyjazd służbowy, postanowiłam wziąć kilka dni wolnego, zrezygnowałam z tego samego co zawsze hotelu i środka lokomocji, wybrałam alternatywne rozwiązanie. Postanowiłam zabawić się w swatkę, tak się mówi? Jestem ciekawa, jak skończy się ta niesamowita historia miłosna.

– Nasza? – Teraz Gruby marzy na całego, ale widząc zaskoczenie w oczach Klaudii, wycofuje się do narożnika. – Miałem na myśli ich historię, oczywiście.

Chyba się denerwuję, bo dociera do mnie, że zostałem bohaterem przedstawienia, w którym wszyscy chcą wziąć udział. Boję się o szczęśliwe zakończenie, nie chciałbym rozczarować żadnego z uczestników i przede

wszystkim nie chciałbym zawieść samego siebie. Zaczynam rozumieć, na co się porwałem: jestem na drugim końcu Europy i mam się spotkać z dziewczyną, która być może chciała przeżyć ze mną tylko wakacyjny romans, która już pewnie o mnie zapomniała i na mój widok zrobi w tył zwrot i odejdzie.

Mam ochotę spytać: „A jeśli Ania ma chłopaka, jeśli jej historia miłosna nie jest moją historią?”. Nic jednak nie mówię. Na tym etapie podróży zarówno Gruby, jak i Klaudia mogliby się na mnie wkurzyć, gdybym okazał niezdecydowanie.

Tymczasem docieramy do naszego hotelu.

– Ile potrzebujecie czasu? – pyta nasza polska koleżanka profesjonalnym tonem, patrząc na zegarek.

– Dziesięć minut, może pięć, spakujemy tylko parę rzeczy. – Gruby trochę przesadza.

– Daj nam pół godziny – poprawiam go. Jestem realistą.

– Dobrze, za trzydzieści minut widzimy się na dole. Widzę, że przyjechała moja asystentka. Miała przywieźć mi walizkę.

Klaudia wskazuje samochód, który parkuje przed hotelem. Wchodzimy przez obrotowe drzwi do holu.

– Nieźle, ma własną asystentkę. – Szturcham lekko Grubego, który idzie tyłem, by móc patrzeć na Klaudię, przez co o mało nie zostaje zmiażdżony przez drzwi.

– Ma całą masę rzeczy – mamrocze, nie odrywając od niej wzroku.

Z eleganckiego samochodu wysiada dziewczyna, również ubrana na czarno, całuje Klaudię przelotnie w usta, wręcza jej skórzany plecak i odchodzi.

Gruby z rozpaczy niemal rzuca się na ziemię.

– O nie! Chyba nie jest lesbijką?

Popycham go zdecydowanie w stronę windy.

– Skończ z tymi swoimi uprzedzeniami, nie mamy czasu.

– Jakie uprzedzenia! Zobaczyłem i wyciągnąłem wnioski!

– Są przyjaciółkami, koniec, kropka.

– My też jesteśmy przyjaciółmi, ale nie całujemy się w usta na powitanie.

– Gruby, ciebie nie pocałowałbym nawet, gdybyś był kobietą, nie jesteś w moim typie – biorę go pod włos.

– Ta dziewczyna przywiozła jej spakowany plecak z bielizną i osobistymi drobiazgami... a ta historia z Toskańczykiem? Wybacz, ale sam słyszałeś, rozstali się, a jej to nic nie obeszło, takie jest życie, powiedziała. Może woli kobiety?

– Przynajmniej coś was łączy – mówię, gdy idziemy do naszych pokoi.

– Sam nie wiem. Ona jest taka idealna, że tu musi być jakiś haczyk. – W głosie Grubego słychać powagę. Nie wierzy w to, co mu się przytrafia, i za wszelką cenę próbuje znaleźć powód, by umknąć przed rodzącym się uczuciem.

– Mimo to wszystko mi się w niej podoba. Jak się śmieje, jak gestykuluje, jak trzyma filiżankę, jak pije kawę, jak wrzuca nas w koszty... Podoba mi się jej chód, jej styl, jej zapach. Podobałaby mi się nawet, gdyby śmierdziała.

Zaczynam myśleć, że Gruby w wersji romantycznej jest jeszcze bardziej popapwany niż Gruby w roli kobieciarza.

– Stary, za dwadzieścia minut mamy być na dole. Idź, spakuj kilka par slipek, w przeciwnym razie to ty będziesz śmierdział!

Zostawiam go pod drzwiami i wchodzę do swojego pokoju.

Potrzebuję kilku minut. Muszę odetchnąć. Sprawy przybrały dość nieoczekiwany obrót. Już straciłem nadzieję, tymczasem godzinę temu złożono mi propozycję nie do odrzucenia, wreszcie wiem, czego chcę i co czuję. Wkrótce zobaczę Anię. Może wmówiłem sobie tę namiętność do niej? Może miał to być sposób, by zapomnieć o Alessii? A może wymyśliłem sobie inną chorobę, na którą nie ma lekarstwa? Tęsknota za Anią była tak ogromna i nieznośna, bo każda niespełniona miłość wydaje się najpiękniejsza i największa ze wszystkich. Najważniejsze historie to te, które się nie skończyły, które trwają jakby w zawieszeniu.

Czy zatem prawdą jest, że tylko niespełniona miłość trwa wiecznie?

Kilkanaście minut później stoję w holu z torbą na ramieniu. Energią

dorównuję szwedzkim bliźniakom, którzy tak dokazywali z rana. Uznałem, że szczęście istnieje, i postanowiłem dać mu szansę. Chcę dać szansę sobie. Spojrzę Ani w oczy i wsłucham się w swoje serce, będę wiedział, czy ją kocham, czy nie.

Po chwili dołącza do mnie Gruby. Taszczy ogromny plecak z mnóstwem przedmiotów poprzyczepianych do pasków. Wygląda, jakby wyjeżdżał na bezludną wyspę. Zabrał nawet kapcie hotelowe.

– Słuchaj, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Nie potrzebujemy krzesiwa, by rozpałcić ogień – mówię do niego z lekkim wyrzutem.

– Nie mogłem zostawić kurtki Bruce’a Lee, jeśli chcę wyrwać Klaudię. Spakowałem też trochę DVD, które wprowadziłyby w zakłopotanie samego Rocca Siffrediego... A poza tym, kto wie, jak długo nas nie będzie? Magia miłości... – mruczy pod nosem i niczym marynarz wiedziony przez syrenę idzie w stronę Klaudii, która gestem przywołuje nas do siebie.

Stoi oparta o czarny samochód, w ręku trzyma plecak, który przywiozła jej asystentka.

Wsiadamy. Klaudia prosi kierowcę, by zawiózł nas na Dworzec Centralny.

– Stamtąd ruszamy? – Zżera mnie ciekawość, ale ona tylko kiwa głową i nie mówi ani słowa.

– Zajebicie jest mieć kierowcę. Kilka razy miałem taki pomysł, żeby zapisać się do jakiejś partii. W Rzymie to jedyny sposób, by jeździć granatowym samochodem.

Wzdycham. Miłość jeszcze nie zdążyła go zmienić.

22

Kiedy miałem dziewięć lat, zgubiłem się na dworcu Termini. Pojechaliśmy odebrać Fabiolę, która wracała ze szkolnej wycieczki do Florencji. Wychowawca zdecydował się na podróż pociągiem, ponieważ w tamtym okresie doszło do wielu wypadków z udziałem szkolnych autokarów. Mama trzymała za rękę malutką Valerię, a ta dawała wyraz swojemu niezadowoleniu. Już wtedy objawiał się jej krnąbrny charakter. „Zmiażdżysz mi rękę, co z tego, że nie wpadnę pod pociąg, skoro mi ją urwiesz”, narzekała. Tata zapewnił ją wtedy, że istnieje specjalny klej do mocowania dziecięcych rączek. Zastrzegł jednak, że specyfik nie działa na wyrwany za gadulstwo język.

Gdy oni się tak przekomarzali, ja wyszedłem na dwór, by popatrzeć na zegar, który odliczał czas do roku dwutysięcznego. To odliczanie czasu wstecz wydawało mi się takie tajemnicze, nie wiedziałem, czy mam myśleć o tym jak o nadchodzącym początku, czy o końcu. Kiedy rodzice już mnie znaleźli, pomyślałem, że nie dożyję do końca wieku, tak na mnie krzyczeli.

Teraz stoję w hali głównej Dworca Centralnego w Warszawie. Ruch tutaj jest tak samo duży jak na lotnisku, w jednym końcu jest kilkanaście kas, przed którymi wiją się kolejki pasażerów. Na środku stoją nowoczesne kioski z przekąskami, napojami i prasą. Jest również wystawa fotograficzna, Grand Press Photo. Rzucam pośpiesznie okiem na fantastyczne zdjęcia. Rozglądam się i zastanawiam, co robi dziecko, które się tu zgubi? To największa hala dworcowa, jaką widziałem!

– Perony są na dole – wyjaśnia Klaudia, kierując się w stronę schodów.

Idziemy przejściem podziemnym, z którego wchodzi się na poszczególne perony. Widać, że dworzec przeszedł niedawno gruntowny remont, pasaż jest czysty i schludny, a sklepiki i kawiarenki eleganckie. Neonowy napis nad wejściem do baru przypomina mi scenę z filmu *Armageddon*, w której asteroida spada na dworzec kolejowy. Ogień, płomień, zniszczenie. Ale nam na szczęście nic nie grozi, jesteśmy bezpieczni i zaraz ruszamy w nieznane.

Czuję, jak ogarnia mnie ekscytacja na myśl o tej podróży, której zwieńczeniem będzie spotkanie z Anią.

– Jedziemy do Krakowa – wyjaśnia Klaudia.

Wreszcie poznajemy nasz cel.

– Kraków? A więc tam jest teraz Ania! – wykrzykuję jednocześnie zaskoczony i szczęśliwy.

– Tak. – Klaudia kiwa z zadowoleniem głową. – W mieście miłości.

Wymieniamy z Grubym niepewne spojrzenia. Czy ona żartuje? Robi aluzje do tego, co wydarzy się między mną i Anią oraz nią i moim kumplem? Wie, jaka czeka ją przyszłość?

– W mieście miłości do sztuki – precyzuje nasza towarzyszka. – To tam są najważniejsze teatry, festiwale, wydarzenia kulturalne, tam była kiedyś stolica Polski i tam panowała włoska królowa Bona... wasza antenatka, prawda?

Jej znajomość historii własnego kraju robi na nas wrażenie.

Pociąg stoi na peronie. Gdy tylko wsiadamy, rusza. Kilkanaście sekund później jesteśmy daleko od dworca. Patrzą na płataninę torów w tunelu, które krzyżują się i rozwidlają, by w końcu doprowadzić do tego samego celu, a potem znów rozjechać się do różnych miast. Przypomina mi się moja kolejka z dzieciństwa, tylko ta jest dziesięć, sto, milion razy większa. Mieszanka żelaznych prętów, techniki i świetności. Pociąg jedzie coraz szybciej, przez okno widzę migające budynki, sklepy, ulice pełne samochodów i przechodniów pośpiesznie zmierzających w sobie tylko znanym kierunku. Znowu czuję się jak bohater żywego obrazka, wszystko dookoła jest takie poetyckie i legendarne. Myślę, że gdyby świat stanął teraz w miejscu, mógłbym godzinami napawać się tym widokiem, odkrywać coraz to nowe szczegóły i szukać w pamięci, gdzie już je kiedyś widziałem.

Spoglądam na swojego przyjaciela, który pochłonięty jest szukaniem w iPhonie natychmiastowych odpowiedzi na nurtujące go pytania.

– Google Maps podaje, że do Krakowa jest około trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Za jakieś trzy godziny powinniśmy być na miejscu.

Klaudia patrzy na niego figlarnym wzrokiem, w którym widać również przyganę.

– Jesteś bardzo niecierpliwy, prawda? Zdecydowałam się na ten pociąg,

trochę wolniejszy od superszybkiego Pendolino, bo chciałam się dowiedzieć, z kim mam do czynienia.

– Jeśli o to chodzi, pytaj śmiało, jestem gotów zaspokoić twoją ciekawość – zachęca ją Gruby, chowając telefon do kieszeni. – Ja też lubię wiedzieć, z kim obcuje. Wiesz, wczoraj wieczorem uciałem sobie pogawędkę z włóczęgą, na którego natknąłem się pod hotelem.

Klaudia uśmiecha się niepewnie. Wyrobiła już sobie zdanie na temat Grubego, ale jednego jeszcze nie wie: kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie. Muszę przyznać, że ja również czasem się nie orientuję.

Tymczasem dzwoni jej komórka.

– Cześć, kochanie! Tak, jesteśmy w pociągu. Wszystko w porządku.

Gruby na dźwięk słowa „kochanie” blednie i gotuje się z zazdrości.

Klaudia rozłącza się i zwraca do nas ciepłym głosem:

– Moja asystentka Ela, nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Ta wiadomość wcale nie uspokaja mojego przyjaciela, wręcz przeciwnie, umacnia jego podejrzenia. Chyba chce coś powiedzieć, ale powstrzymuje go muzyka, która rozlega się nagle w głośnikach umieszczonych w przedziale.

Klaudia podryguje rytmicznie, poruszając ramionami i zamykając co rusz oczy.

– Jest prze-pię-kna – Gruby bezgłośnie sylabizuje słowa, otwierając usta jak ryba w akwarium.

Jego księżniczka otwiera oczy i z wdziękiem odgarnia włosy.

– Po powrocie do Warszawy zabiorę was na rundkę po najlepszych klubach. Zaczniemy od Syreniego Śpiewu, to ostatnio jedno z najbardziej popularnych miejsc. Jestem pewna, że wam się spodoba. – Puszczą do mnie oko. – Może wybierzemy się razem z Anią.

– Oby... – Przełykam nerwowo ślinę, usiłując pozbyć się wielkiej guli, która wypełnia moje gardło. Euforia, jaką czułem na początku, szybko zamienia się w napięcie. Jak zwykle, kiedy zbliżam się do rozwiązania jakiejś sprawy, zaczynam się bać, że nie podołam.

Natomiast Gruby jest wyluzowany. Jeśli chodzi o niego, nie dałby sobie odebrać Klaudii nawet wyspecjalizowanemu oddziałowi komandosów. Widzę,

jak na nią patrzy, jak pieszczotliwie przesuwając spojrzeniem po jej kształtnym ciele, które porusza się w rytm muzyki. Dziewczyna chyba poczuła na sobie jego namiętny wzrok, bo pyta go prowokacyjnie:

– Lubisz tańczyć?

– Bardzo.

Gruby patrzy na mnie niewinnie, ale jego lekko uniesiona brew nakazuje mi zachować milczenie. Obaj wiemy, że kłamię.

– W Rzymie nie przepuszczam żadnej okazji, uczestniczę w każdej inauguracji nowego lokalu. Byłem nawet na otwarciu Gay Village w czerwcu.
– Gruby puścił wodze fantazji, ale zaraz gryzie się w język. Nie chciałby być źle zrozumiany. – To takie samo miejsce jak każde inne.

– Patrząc na ciebie, odnoszę wrażenie... – Klaudia zawiesza głos. Mój przyjaciel się poci, zastanawiając się, co ma na myśli. – Odnoszę wrażenie, że bardziej interesuje cię patrzenie na tańczących ludzi niż sam taniec.

Nasza nowa znajoma trafiła w sedno: obnażyła słabości Grubego. Szkoda, że teraz nie znajdują się oboje na jakiejś tropikalnej plaży, bo mój kumpel gotów jest zerwać z siebie ubranie i na zawsze zostać jej niewolnikiem.

Klaudia wstaje, w jej ruchach jest pewna nonszalancja. Nie robi nic, by być uwodzicielską, odnoszę nawet wrażenie, że za wszelką cenę stara się zachować dystans. A jednak ma w sobie fascynującą dojrzałość, jest trochę wyniosła, ale nigdy bezczelna. Chyba właśnie te cechy uwiodły nieujarzmionego dotąd Grubego.

– Rzucicie okiem na moje rzeczy? Idę do łazienki.

– Oczywiście.

Gdy tylko wychodzi z przedziału, mój przyjaciel zarzuca mnie swoimi wątpliwościami.

– Kurwa, chyba nie zniechęciła jej ta historia o Gay Village? Ale kretyn ze mnie, nawet nie wiem, gdzie to jest. Mogłem siedzieć cicho.

– Klaudia nie wygląda na osobę, która łatwo się zniechęca.

Gruby sięga po jej torebkę i zaczyna przeglądać zawartość.

– Zwariowałeś?

– Muszę sprawdzić, ile ma lat.

Wyjmuje portfel i go otwiera.

– Zostaw to, co ty robisz?! Zaraz wróci i cię przyłapie. Ładnie się zaprezentujesz, i to po tym wszystkim, co dla nas robi. Pomyśli, że chcesz jej gwizdnąć kasę. Odłóż to!

– Mam jej dowód osobisty. Szesnasty maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy... to teraz ma...

– Odłóż to na miejsce! – W końcu udaje mi się go zmusić, by schował portfel do torebki.

– Dwadzieścia siedem! Jest trzy lata starsza ode mnie. Potrzebuję dojrzałej kobiety. Chcę być jej zabawką, jej przystojniakiem, jej kociakiem! Miau, miau, miau... – Gruby wydaje dźwięki jak wykastrowany kocur.

Dokładnie w tym momencie wraca Klaudia.

– Czyżbym słyszała jakiegoś kotka?

– Mówiłem, że niektóre słowa po włosku są do siebie podobne, jak *ciao* i *miao* – tłumaczy pośpiesznie Gruby. – Ale ty dobrze znasz ten język, więc sama wiesz najlepiej. Może po rocznym pobycie tutaj też będziemy mówili po polsku tak dobrze, jak ty po włosku.

– Z pewnością najlepszą formą nauki jest praktyka, ale miejcie na uwadze, że spędziłam w Mediolanie aż trzy lata.

– Całe szczęście, że nie złapałaś akcentu od tego Toskańczyka, jak on się nazywał...

– Lorenzo, jak Lorenzo il Magnifico, Wawrzyniec Wspaniały. – Klaudia uśmiecha się na wspomnienie swojego byłego chłopaka, które nie psuje jednak jej dobrego nastroju. – Nauczyłam się jeszcze dwóch słów: *bauscia* i *bela madunina*[5] – dodaje rozbawiona.

– W takim razie teraz przydałoby ci się parę lekcji dialektu romańskiego. Jeśli chcesz, zrobię ci przyśpieszony kurs...

– Hm... albo lepiej zrobmy wymianę, ja przyjadę do ciebie, jeśli ty przyjedziesz do mnie – bierze go Klaudia pod włos. Chyba nie wie, że to naprawdę jest żart, bo we Włoszech w wieku dwudziestu trzech lat wszyscy nadal mieszkają z rodzicami. A jeśli sprawy przybierają zły obrót, to znacznie dłużej. Oczami wyobraźni widzę elegancką Klaudię i mamę Grubego, która krząta się po kuchni.

– W ten sposób nigdy więcej jej nie zobaczę... – mamrocze do mnie Gruby, jednak nie poddaje się i mówi do Klaudii: – Niech będzie pół na pół, dwa miesiące w Rzymie i dwa miesiące w Warszawie, ja ciebie oprowadzę tam, ty mnie oprowadzisz tu. Będę twoim Cyceronem, jak mawiamy we Włoszech.

– Ha, ha, *cecero*... – Klaudia wybucha zaraźliwym śmiechem. – Zawsze bawiło mnie to słowo. Jak pasta *al cecero*...

My też się śmiejemy, słysząc jej zabawną wymowę, akcent i to, jak kaleczy włoski.

– À propos jedzenia, jesteście głodni? – Sięga po torbę i widzi, że jest otwarta.

– Chyba spadła... – mówię, natomiast Gruby zarzuca ją szczegółami, co zawsze stanowi pierwszy dowód winy podejrzanego.

– Złapaliśmy ją w ostatniej chwili... Pociąg gwałtownie wchodził w zakręt... – Jasne, myślę, jakbyśmy jechali przez góry.

Klaudia poprawia torbę na siedzeniu i wyjmuje z niej dwa pudełka, które wyglądają, jakby pochodziły ze sklepu Tiffany'ego.

– Pora na lunch... – Otwiera pudełka, są w nich małe buteleczki z napojami i kanapki. – Wzięłam dla was z serem, jajkiem, indykiem i cebulą lub bez. Pomyślałam, że będą wam smakować.

Mówi niemal z pogardą i zaraz wyjmuje kolejne pudełko, jeszcze ładniejsze od poprzednich: pomalowane na czerwono, ozdobione japońskimi rysunkami.

– Dla mnie sałata, sok z pomarańczy i ciemne pieczywo. Wszystko naturalne, bez konserwantów, ze sklepu ze zdrową żywnością.

Gdyby nie to, że Klaudia mówi to tak naturalnie, można by pomyśleć, że zadziera nosa. Ale gdy widzę, jaka jest pragmatyczna i jak konsekwentnie dąży do celu, jest dla mnie jasne, że to nie poza, że moda na zdrowe jedzenie jest nową religią młodych ludzi nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Lata tłuszczów nasyconych odeszły w niepamięć.

– Perfekcyjna organizacja – komplementuje ją Gruby, sięgając po kanapkę bez cebuli, by zyskać uznanie w jej oczach.

Klaudia wzrusza ramionami.

– W Orange Models zajmuję się planowaniem, choć zazwyczaj nie noszę śniadania w torebce... najwyżej wysyłam okolicznościowe koszyki. Ale teraz łączę pracę z wakacjami.

Nie wiem, czy to dlatego, że wziąłem kanapkę z cebulą, ale po pierwszym kęsie czuję ucisk w żołądku. Chyba denerwuję się na myśl o tym, że niebawem znów zobaczę Anię. Przypominam sobie, jak jako dziecko odliczałem czas do różnych wydarzeń. Jeszcze sto dni do końca szkoły, dwadzieścia do moich urodzin, dziesięć do Bożego Narodzenia, pięć do powrotu z wakacji mojej dziewczyny, jeden do rozpoczęcia kolejnego roku szkolnego. Jak ten wielki zegar przed dworcem Termini, który odliczał czas do końca wieku. Czy to będzie początek nowej wspaniałej miłości?

Do godziny zero niewiele już brakuje. Do godziny prawdy. Sięgam po sok z pomarańczy i wracam do rzeczywistości i gadaniny Grubego, który niczego nie zostawia przypadkowi. Prawdziwy Cynceron.

– Naprawdę nigdy nie byłeś w Argentario?

– Masz na myśli Buenos Aires, Argentynę?

– Nie, Argentario. W takim razie ten twój Wspaniały wcale wspaniały nie był. Wybacz, ale facet był z Grosseto i ani razu nie zabrał cię nad morze?

– Zanim przeniósł się do Singapuru, mieszkał w Mediolanie, poza tym pokłócił się z rodzicami i w ogóle nie jeździł do domu.

– Ja cię tam zabiorę, musisz koniecznie poznać tę część Toskanii. Żeby dotrzeć tam z Rzymu, potrzeba godziny lub półtorej... a miejsce jest bajeczne.

Planuje ze szczegółami tę hipotetyczną podróż z Klaudią po Włoszech i po wszystkich pięknych plażach, które zamierza jej pokazać. Ona z kolei opowiada, jak wybrała się nad morze z koleżankami ze studiów. Pojechały na małą wyspę Olio, na której kobiety piekły chleb, a jedynym środkiem transportu były osiołki. Nie mogła uwierzyć, że takie miejsca jeszcze istnieją, czuła się jak na planie filmu z lat pięćdziesiątych.

– A więc tobie też zdarza się czuć jak na planie filmowym? Całe szczęście.
– Oddycham z ulgą.

– Oczywiście, Fellini, *la dolce vita*... – Klaudia uśmiecha się błogo, wznosząc oczy do nieba.

– Mogłabyś takie ze mną mieć – mówi Gruby cicho. Jego słowa na

szczęście zagłusza pisk hamulców. Pociąg zwalnia i wjeżdża na stację Kraków Główny. Jesteśmy na miejscu.

Gruby proponuje, że weźmie plecak Klaudii, który wygląda bardzo niewinnie w porównaniu z jego ekwipunkiem godnym himalaisty. Po całej serii namów i komplementów, których nigdy wcześniej nie słyszałem z ust mojego przyjaciela, osiąga cel.

Krakowski dworzec jest znacznie mniej zatłoczony niż warszawski. Przyglądam się pasażerom, starając się odgadnąć cel ich podróży: czy to powrót do domu, krótka wizyta, nowe doświadczenie? Próbuję wyobrazić sobie ich odpowiedzi, kiedy słyszę wymianę zdań między Grubym i Klaudią.

– Ty jesteś autorem tekstu na karteczce, którą zostawiliście dla mnie w agencji?

– Przejrzałaś mnie! – oznajmia z dumą.

– Owszem, przejrzałam... Spodobało mi się to, co napisałeś, ale...

Gruby spija słowa z jej ust, jest pewny, że ją zdobył, że zaraz zarzuci mu ręce na szyję.

– Ale?

– Następnym razem spytaj po prostu, ile mam lat, i nie grzeb w mojej torbie! – Rozsuwa dłonie, trzymając złączony kciuk i palec wskazujący. – W przeciwnym razie zrobię ci... taki tort, a potem cisnę ci nim w twarz.

Cóż, całkiem sporo dowiedziała się o nas Klaudia podczas tej podróży.

Warszawa wydała mi się miastem tętniącym życiem, pełnym śpieszących się ludzi i różnorodnej, momentami chaotycznej architektury, a Kraków mogę porównać do centrum odnowy biologicznej: jest tu wszystko, czego ci trzeba, ale panuje spokój. Różnica jest taka jak między wysokoprocentowym drinkiem a kieliszkiem wina. Niby wszystko jest podobne – budynki, ulice, środki komunikacji miejskiej, ludzie – lecz atmosfera jest odprężająca, niemal senna. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie, oglądając miasto przez okno taksówki, którą jedziemy do hotelu. To miasto oddycha w normalnym rytmie i może to pomoże mi uporać się z pulsującymi werblami, które czuję w klatce piersiowej za każdym razem, gdy pomyślę o Ani i o tym, co dla niej robię. Gdybym spotkał ją w Warszawie, moje serce mogłoby tego nie wytrzymać, w mieście żyjącym tak intensywnie nie możesz dostarczać sobie równie intensywnej emocji. Tutaj mogę odetchnąć z ulgą, moje uczucia mają szansę zgrać się z jej uczuciami. Jakie jest prawdopodobieństwo, że są takie same jak moje? Nie umiem tego policzyć.

Osobą, która nie przejawia żadnych oznak zmęczenia, jest niewątpliwie Klaudia.

– Zarezerwowałam pokoje w Holiday Inn. Kierowałam się waszym wyborem hotelu w Warszawie, chciałam dopasować ofertę do waszych wymogów. Noc kosztuje dwieście złotych, w cenę wliczony jest podatek i opłata klimatyczna, WI-FI jest gratis – wyjaśnia nam królowa zaradności. Patrzę na nią z uwielbieniem, a Gruby wręcz z miłością.

– A niech mnie! Powinni powołać cię na ministra finansów we Włoszech. W ciągu kilku miesięcy zaprowadziłabyś ład w publicznych pieniądzach!

Klaudia z wdziękiem przyjmuje komplement.

– Wiedz, że liczenie nie jest moją ulubioną czynnością, chociaż czasami muszę zająć się również tym. O wiele bardziej wolę zajmować się organizacją, przygotowywaniem spotkań... Dlatego jestem tutaj: chcę zobaczyć, jak potoczą się sprawy między Nicco i Anią.

– Też chcę to zobaczyć, o ile wcześniej nie zemdleję – mamroczę pod nosem i opuszczam szybę. Muszę zaczerpnąć powietrza, decydujący moment zbliża się wielkimi krokami. Gruby udaje, że wygląda przez okno, ale bez przerwy zerka na Klaudię.

– Piękny jest ten Kraków. Właściwie pomyłka Roberta...

– Kim jest Roberto?

– Portierem w hotelu w Rzymie, od którego wzięliśmy adres Ani. Niestety dał nam złe namiary, bo nie sądził, że przyjedziemy do Polski.

Klaudii ewidentnie podoba się nasza odwaga.

– Tak trafiliśmy do Venanzia i Tomka, myśleliśmy nawet, że ona gdzieś tam się ukrywa, ale okazało się, że oni nigdy o niej nie słyszeli – dodają.

– Nic dziwnego, modelki ich w ogóle nie kręcą – mój przyjaciel zawsze musi wtrącić swoje trzy grosze. Szturcham go łokciem.

– Hej, okazali się bardzo pomocni. Kiedy znów na siebie wpadliśmy i pokazaliśmy im Anię na billboardzie, zaprosili nas na kolację.

– No i dzięki nim poznaliśmy ciebie. – Gruby puszcza do Klaudii oko.

A ona zmienia temat.

– Bosko gotują, prawda?

– Powinno się ich wysłać do *MasterChefa* – ironizuje Gruby.

– Gdyby facet zaprosił mnie na kolację i ugotował coś tak wyśmienitego, od razu bym się w nim zakochała!

– Ha... – Mój kumpel patrzy na mnie znacząco, jakby chciał powiedzieć, że dla niego to łatwizna, choć ja wiem, że ledwie umie usmażyć jajecznicę.

– Szkoda, że żaden hetero tego nie potrafi – wzdycha Klaudia.

– Umiemy robić inne rzeczy... – zaczyna Gruby.

– Owszem, ale przeważnie są one mało zabawne – odpowiada trochę dwuznacznie.

Taksówka zatrzymuje się na podjeździe przed hotelem, Klaudia płaci i od razu wysiada.

– To też wrzucisz w koszty? – żartuje Gruby, ale ona jest już w drzwiach wejściowych do hotelu. Hm, nie należy do kobiet, które tracą czas na bzdury.

– Kiepsko to widzę – mówię do Grubego. – Ona jest inna niż twoje dotychczasowe zdobycze.

– Spoko – klepie mnie po plecach – już mam gotowe rozwiązanie, właśnie ściągnąłem aplikację dotyczącą gotowania.

Wysiadamy z taksówki. Kiedy wchodzę do lobby Holiday Inn, natychmiast nasuwa mi się skojarzenie z salonem fryzjerskim, do którego chodziła moja matka: obicie kanap i foteli jest bardzo podobne do tych w Tony Beauty Hair, gdzie mama, czekając na farbowanie, przeglądała mnóstwo niepotrzebnych kolorowych magazynów. Podchodzę bliżej, by upewnić się, że również faktura obić jest taka sama, ale Gruby mnie odciąga, łapiąc za marynarkę.

– Co robisz? Szukasz pluskiew?

Muszę przyznać, że jasny kolor ścian i kamiennej posadzki oraz ciemny odcień kanap i kontuaru recepcji nadają hotelowi surowszy wygląd niż ma salon Tony’ego. Wręczamy recepcjonistce nasze dowody i odbieramy klucze, gdy tymczasem Klaudia rozmawia przez telefon ze swoją asystentką.

– My tyle nie gadamy ze sobą przez telefon – stwierdza Gruby, marszcząc czoło.

Klaudia Józwiak rozłącza się i podchodzi do nas.

– Co robimy? – pytam niepewnie.

Patrzy na mnie, po czym uruchamia tryb menedżerki.

– Nie wiem, Nicco, ty mi powiedz, jakie masz plany. Po pierwsze: chcesz pobyć chwilę sam? Po drugie: chcesz pomyśleć w spokoju? Po trzecie: wolisz, żebyśmy we trójkę opracowali jakąś strategię? Mogę wszystko zaplanować...

Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki: siedzimy we trójkę przy stole pochyleni nad słupkami obrazującymi prawdopodobieństwo zaistnienia miłości między mną a Anią. Wchodzę jej w słowo:

– Może najpierw się odświeżę, a potem coś zdecydujemy.

– Dobrze, ja też potrzebuję chwili oddechu. Muszę sprawdzić warunki umowy z naszą top modelką, Anią Malinowską.

Gruby z troską bierze lekki jak piórko plecak Klaudii.

– Odebraliśmy już nasze klucze, ale jeśli chcesz, poczekamy na ciebie –

mówi.

Klaudia wyjmuję mi z ręki jeden z nich.

– Dwieście złotych i WI-FI gratis dotyczy pokoju dwuosobowego. Jeden klucz jest mój. Wy śpicie razem, ale spokojnie, będzie wam wygodnie.

Trudno się z nią nie zgodzić. W pokoju są dwa duże osobne łóżka. Gruby z czasów „sprzed Klaudii” już organizowałyby tu orgię. Tymczasem zrzuca z ramion swój przenośny dom i pada na miękkie pościelenie pod oknem.

– Myślisz, że zrobiła to specjalnie? Wzięła dwa pokoje, żebym potem, narzekając, że chrapiesz, poszedł spać do niej?

– Gruby, z nas dwóch to ty jesteś tym, który chrapie! Jeśli ktoś ma szukać schronienia, to ja.

Stawiam torbę na fotelu i też wyciągam się na łóżku.

– Twoim zdaniem podobam się jej? – pyta Gruby.

– Chcesz usłyszeć prawdę?

– Bądź ze mną szczery, tak jak ja zawsze byłem z tobą. – Posyłam mu mordercze spojrzenie. – Dobra, dobra, jeśli chodzi o tę historię z Bato, przecież cię nie okłamałem, tylko zawoalowałem to i owo. – Podrzuca wysoko poduszkę, zdumiony swoją elokwencją językową. – Kurwa, ale mi dobrze idzie! Nawet nie wiedziałem, że znam takie słowa. To miłość, tylko miłość!

Poduszka uderza go w twarz, podobnie jak moje słowa.

– Moim zdaniem w ogóle jej się nie podobasz.

Odwraca się gwałtownie w moją stronę i siada.

– A więc mam rację, jest lesbijką. Nie ma na świecie kobiety, która oparłaby się mojemu urokowi. Sam widziałeś, ciągle gada przez telefon z tą Elą. A te jej komentarze o hetero? A jednak nie wygląda na lesbijkę, jest taka kobieca...

– Jesteś zwykłym troglodytą, dla ciebie wszyscy geje paradują w kolorowych gatkach, a lesbijki wyglądają jak kierowcy tirów. A Jodie Foster? A Portia De Rossi? Czy one nie są kobiece? A Lindsay Lohan, o której powszechnie wiadomo, że woli panie od panów? I jeszcze ta ruda aktorka z *Seksu w wielkim mieście*?

– No dobra, ale jeśli nie jest lesbijką, to muszę się dowiedzieć, jakie ma

wady.

Zdejmuję buty i wyciągam nogi na narzucie w kratkę.

– Kobieta nie może być idealna? – pytam zaczepnie.

– Nie, ale może bardzo zbliżyć się do ideału.

Nic tu po mnie, jest z nim coraz gorzej.

– Niemniej jednak mogłeś skłamać. – Gruby znów kładzie się na łóżku, by zaraz się poderwać. – No to w takim razie dlaczego przyjechała z nami aż tutaj? Mogła jechać samochodem z kierowcą.

– Lubi historie miłosne.

– To niech chodzi do kina. Nie, nie przekonałeś mnie. – Mój przyjaciel z impetem opada na łóżko.

– Masz rację, leci na mnie. Chce zobaczyć, jak mi pójdzie z Anią, a kiedy dostanę kosza, spróbuje wskoczyć na jej miejsce.

Cała ta sytuacja zaczyna mnie bawić, ale Gruby chyba nie podziela mojego dobrego nastroju. Zdaje się, że w ogóle nie zauważył, że żartuję.

– Nie waż się na nią spojrzeć! – Patrzy na mnie groźnie.

– Dlaczego?

– Bo ona nawet ci się nie podoba.

– Teraz, kiedy w perspektywie mam spotkanie z Anią, faktycznie mi się nie podoba, ale jeśli z Anią mi nie wyjdzie, to kto wie, może chętnie pocieszę się Klaudią... – Nie mam dla niego litości.

– Nie możesz.

– Gdzie jest tak napisane?

– Bo ona podoba się mnie! – irytuje się nie na żarty Gruby. – A my jesteśmy przyjaciółmi.

– A co to ma do rzeczy? Z Bato też się przyjaźniłem, i co zrobił? Zaczął spotykać się z Alessią.

– Nie byliście już razem. Poza tym żaden z nas nie jest Bato, mamy swoje zasady.

Nie zamierzam wyprowadzać go z błędu co do początków historii Alessii i Bato, wolę jeszcze trochę się nad nim poznać.

– Zasady są po to, by je łamać... I dlatego zamierzam umówić się z Klaudią. – Wbijam nóż jeszcze głębiej i rozkoszuję się tym. W końcu nie mogę już dłużej wytrzymać i wybucham śmiechem. Do mojego kumpla wreszcie dociera, że cały czas się wygłupiam, i rzuca we mnie poduszką. Nie pozostaję mu dłużny i przez jakiś czas naparzamy się poduszkami jak małe dzieci na koloniach, bawiąc się przy tym wybornie. Gruby niechcący trafia w moją komódkę i w stojący na niej ozdobny wazon, który łapię, zanim spadnie na podłogę.

– Ostrożnie! Bo dopiszą go do rachunku Klaudii! – kpi.

– Czy w cenę dwustu złotych nie są przypadkiem wliczone szkody? – odpowiadam.

Uspokajamy się, Gruby poważnieje. Siada ze skrzyżowanymi nogami, wkłada sobie poduszkę za plecy i opiera się o ścianę.

– Nigdy wcześniej dla nikogo nie straciłem głowy.

– Najpierw trzeba tę głowę mieć – dogryzam mu.

– Nie mogę przestać o niej myśleć. Kiedy jest obok, nie potrafię utrzymać rąk przy sobie, ciągle chcę jej dotykać, muskam jej dłonie albo trącam ramieniem, choć nie ma to żadnego uzasadnienia. Ona jest jak narkotyk, wcześniej kobiety mało mnie obchodziły, zawracały głowę, teraz, dzięki Klaudii, kocham je wszystkie, wydają mi się najpiękniejsze na świecie. Kiedy na pożegnanie pocałowałem ją w policzek i objąłem w pasie, myślałem, że zwariuję, mógłbym się ciągle z nią żegnać.

– Przepraszam, ale kiedy ty się z nią żegnałeś? Jak na razie w ogóle się nie rozstawaliśmy.

– Widzisz, masz rację, zobacz, w jakim jestem stanie, wyśniłem to sobie. – Zaczyna śmiać się jak wariat. – Nicco, jestem wrakiem... Może ona ma kogoś, może podoba jej się ktoś inny?

– Co było wpisane w dowodzie? Panna? Racja, przecież ty nie znasz polskiego!

– Nieładnie naśmiewać się z zakochanych... – odpowiada zmartwiony.

– À propos miłości, pragnę ci przypomnieć, że przyjechaliśmy tutaj, by dać mi szansę odnaleźć Anię, a tymczasem co robimy? Ciągłe rozmawiamy o Klaudii... Idę pod prysznic, może przyjdzie mi do głowy jakiś plan. –

Ściągam spodnie i koszulę. – Ty jesteś kuźnią pomysłów, może znajdziesz dla mnie jakieś dobre rozwiązanie.

Wchodzę do łazienki. Odkręcam kurek pod prysznicem, by wyregulować temperaturę wody, bo przeważnie jest albo za ciepła, albo za zimna. Spoglądam w lustro: mam dwadzieścia trzy lata, jestem w Polsce i szukam miłości. To właśnie mogę o sobie powiedzieć, myślę, analizując swoją sytuację. W sumie, co w tym złego? Dlaczego nie miałbym tego zrobić? Wskakuję pod silny strumień wody, który, mam nadzieję, pomoże mi rozjaśnić umysł. Odprężam się i zaczynam planować kolejny krok.

Gdzie byłoby najlepiej się z nią spotkać? Czy powinienem przygotować jakąś niespodziankę? Nie, nie, to zbyt pretensjonalne, za dużo zamieszania, a jeśli okaże się nietrafiona, będę miał przejebane... To musi być coś osobistego, intymnego. Czasami o wielkim uczuciu świadczą drobne gesty. Muszę znaleźć odpowiednie słowa, by przekazać jej, co czuję, by wiedziała, jak wiele dla mnie znaczy. Wiem, że to moja słaba strona, nie jestem w tym dobry. Układam w myślach kilka zdań, ale wydają mi się śmieszne, sam je cenzuruję. Jeśli chodzi o wyrażanie uczuć po włosku, jestem jedną wielką katastrofą, a co dopiero po angielsku. Potrzebuję kogoś, kto napisze te słowa za mnie, jakiejś subtelnej duszy, która przeleje na mnie swoją wrażliwość, poety, który uzyczy mi słów...

– A jeśli weźmiesz ją na gokarty i tam się oświadczysz?! – krzyczy z pokoju Gruby. Jest i poeta, myślę z przekąsem.

Namydlam się i wzdycham ciężko. Wychylam się z kabiny prysznicowej, by lepiej mnie słyszał.

– Miał rację profesor Gioia, mówiąc, że jeśli bardzo potrzebujesz pomocnej dłoni, znajdziesz ją na końcu ręki.

Przez chwilę nic się nie dzieje, wreszcie dociera do mnie odpowiedź Grubego:

– Nicco, co robisz?! Walisz konia?!

24

Kobieta leży na łóżku w gabinecie lekarskim. Jest zakutana aż po szyję, ma na sobie obszerny sweter z mankietami, które niemal w całości zakrywają jej palce. Kręci głową, a lekarz próbuje zachęcić ją do rozmowy. Kobieta się boi, aż w końcu mężczyzna zbiera się na odwagę i podciąga rękawy jej swetra. Przedramiona ma całe pokryte czerwonymi krostkami. Strapiona kobieta tłumaczy się, powtarzając w kółko jedno słowo: „wstyd”. Domyślam się, że ma na myśli swoją pokrzywkę. Gruby, który siedzi obok mnie na czekoladowej kanapie w holu, sięga po pilota i zmienia kanał.

– Co za ohyda! Po co to oglądasz? – Zaczyna drapać się po całym ciele. Takie programy są również we Włoszech. Zazwyczaj gościem jest osoba dotknięta jakimś rzadkim, krępującym schorzeniem. Czy gdyby moja miłość do Ani była chorobą, chybionym uczuciem, znalazłby się lekarz gotów wyleczyć mnie z zażenowania, którego z pewnością doświadczę, gdy dotrze do mnie, że wybrałem się w tę podróż na próżno?

Klaudia zmierza w naszą stronę zdecydowanym krokiem z komórką przy uchu i teczką pod pachą.

– Okej, na razie. Hej.

Rozłącza się, siada na kanapie naprzeciwko nas i kładzie teczkę na stoliku.

– Super! Oto punkt wyjścia naszych działań. Wspomniałam już o tym Grubemu, kiedy czekaliśmy na ciebie: ten kącik będzie pełnił funkcję naszej salki konferencyjnej, zapewni nam odrobinę prywatności.

Rozgląda się, faktycznie nikogo nie ma. Słychać tylko brzęczący nad naszymi głowami telewizor. Spoglądam na ekran, teraz widać ludzi biegnących sklepowymi alejkami z koszykami wyładowywanymi do granic możliwości.

Klaudia patrzy na mnie lekko poirytowana, wciska guzik na pilocie i wyłącza telewizor. Nic nie może zakłócać jej zebrania, ona naprawdę jest w pracy. Zaciera z zadowoleniem rękę.

– Nie mogę uwierzyć, Nicco, że zaraz podejmiemy decyzje, które mogą

całkowicie zmienić życie twoje... i Ani. Ona niczego się nie spodziewa, nie wie, że przyjechałeś, że jesteś tak blisko niej, że zaraz napiszesz jej historię od nowa...

Napisać historię od nowa, myślę, czy to aby nie brzmi zbyt poważnie?

Ale Klaudia opowiada w taki sposób, jakby mówiła o ataku nuklearnym, o grabieży rezerw złota lub o lądowaniu grupki dzieci na Marsie. Jest bardzo konkretna, wyraża się z niemal naukową dokładnością, jakby wszystko można było zaplanować w najdrobniejszych szczegółach przy tym stoliku. Może to właśnie ten zmysł praktyczny sprawia, że jest tak fascynująca, niczego nie pozostawia przypadkowi. Nie ma rzeczy niemożliwych. Skoro Gruby się w niej zakochał, naprawdę wszystko jest możliwe...

– Na tę chwilę sprawy mają się jak w filmach – ciągnie pewnym głosem. – Takich, jakie uwielbiają dziewczyny. Takich, dzięki którym marzą z otwartymi oczami. Bo w rzeczywistości rzadko sprawy przybierają podobny obrót jak na ekranie. Po seansie każda z nich wraca do domu, do smutnego życia, kłótni z chłopakiem, o ile w ogóle go ma...

Tembr głosu Klaudii jest taki, jakby przeprowadzała analizę rynku. Gruby przygląda jej się uważnie, próbuje dowiedzieć się czegoś nowego na jej temat.

– Generalnie każda dziewczyna chciałaby, żeby chłopak przeleciał dla niej pół Europy, nie mając gwarancji, że ją spotka, nie wiedząc, czy ma kogoś, czy nie... Każda marzy o takim facecie...

– Ty też? – Gruby nie może się powstrzymać.

Klaudia, sprytna jak lis i zwinna jak pantera, wymiguje się od odpowiedzi.

– Rozmawiamy o Nicco. Teraz to on jest... wymarzoną mężczyzną – mówi stanowczo, choć odrobinę figlarnie. Mój przyjaciel naprawdę zaczyna wierzyć, że ona leci na mnie, i posyła mi nienawistne spojrzenie.

– Miejmy nadzieję, że jestem tym właściwym wymarzoną mężczyzną – dodaję z typowym dla siebie pesymizmem. Mam na myśli Anię, nie Klaudię, ale Gruby i tak kopie mnie pod stołem w łydkę. Natomiast ona, świadoma czy nieświadoma efektu, jakie wywołały jej słowa, podsumowuje ze szczyptą dwuznaczności:

– Wkrótce się przekonamy.

Niczym taran prze naprzód i opracowuje zwycięską strategię. Chyba to, że

do miłosnej historii może zastosować metody, które wykorzystuje codziennie w swojej pracy, sprawia, że tyle w niej entuzjazmu.

– Zobaczmy, jaki masz pomysł, by zdobyć jej serce. Po pierwsze, może to być coś zapierającego dech w piersiach, zrobionego z rozmachem, jak samolot ciągnący za sobą napis „Aniu, kocham cię” albo baloniki w kształcie serca wypuszczone pod jej oknem... – Krzywi się. – Nie, to jednak trochę tandetne. – Stawia wielki krzyżyk na jednej z kartek, którą wyjęła z teczki. Rozważa inną możliwość: – Albo druga opcja, spokojniejsza, zgodna z twoim charakterem, bardziej wyrafinowana.

– Phi, wyrafinowana – prychna Gruby, patrząc z dezaprobatą na moją czapkę bejsbolową.

– Nie myślałem o niczym konkretnym. – Patrzę na nich i rozkładam ręce. – Zupełnie o niczym. Co więcej, jeśli mam być szczery, najchętniej wsiadłbym w pierwszy samolot i wrócił do Rzymu.

– Nie ma mowy! – Klaudia unosi się w fotelu. – Jak to, o niczym nie myślałeś? Przyjechałeś aż tutaj, przemierzyłeś na piechotę pół Europy, zobaczyłeś ją na billboardzie, odnalazłeś jej agencję, stałeś pod nią nie wiadomo jak długo...

– To nie było tak. – Uśmiecham się.

– Wiem, ale tak możemy to sprzedać... Zdobędziesz dodatkowe punkty już na starcie!

Oto handlowa strona jej duszy, zdolność „pozycjonowania produktu”. Coś mi mówi, że jeśli się u niej odrobinę poduczę, będę potrafił sprzedać nawet swoją kolekcję Pokemonów z czasów wczesnego dzieciństwa.

Podchodzi do nas kelner z tacą w ręku. Nie ma odwagi przerwać naszego zebrania. Klaudia podnosi wzrok.

– Ach, tak, zamówiłam herbatę. Proszę postawić tutaj i dopisać do mojego rachunku, pokój dwieście jeden, dziękuję bardzo.

Kelner stawia tacę na środku stolika i odchodzi.

Klaudia zdejmuje pokrywkę z imbryczka i odkłada ją na bok, następnie sięga po metalowy koszyczek z saszetkami herbaty i je przegląda.

– Macie jakąś ulubioną?

– Jest zielona?

Spoglądam zdumiony na Grubego.

– Ale...

– Czytałem, że jest najlepsza na wolne rodniki.

– Proszę. – Klaudia podaje mu herbatę. – Dla ciebie to samo? – zwraca się do mnie.

– Tak, może być... – Jesteśmy świadkami cudu, widzę w tym rękę Boga. Mój kumpel zawsze pił tylko piwo, gdy nie chciał się upić, oraz gin, wódkę lub jakiegokolwiek inne mocne trunki, gdy miał zamiar sponiewierać się na całego. A teraz zamawia herbatę! Do tego zieloną! Gdybym to ja miał takie życzenie, już słyszałbym jego słowa: „Co z tobą? Stałeś się pedałem?”. A tu proszę, bezlitosny pogromca wolnych rodników.

Klaudia zanurza saszetki z herbatą w czajniczku i delikatnie nimi porusza. Woda zabarwia się na jasnożółty kolor.

– Jestem pewna, że to pomoże ci znaleźć najlepsze rozwiązanie. Jeśli macie ochotę na herbatniki, częstujcie się... – Wskazuje przezroczystą szkatułkę, w której leżą idealnie ułożone ciasteczka. – Czekoladowe, z cukrem trzcinowym i kokosowe – wyjaśnia.

Gruby bierze czekoladowe.

– Zajebisty jest ten hotel. Za dwieście złotych dają ci tyle pyszności.

– Prawdę mówiąc, zamówiłam je w cukierni naprzeciwno, niestety jagodowe już się skończyły. Na zebraniach cieszą się największym wzięciem u klientów.

Ostatnie słowo wypowiada z godną pozazdroszczenia nonszalancją. A więc tym dla niej jesteśmy? Gruby z pewnością byłby skłonny zapłacić każde pieniądze, żeby już zawsze mieć ją u swego boku.

Sięgam po kokosankę, a Klaudia nalewa do mojej filiżanki herbatę, po czym zwraca się do Grubego:

– Też masz ochotę?

– Jasne! Nie mogę się doczekać! – Czasami im bardziej się stara, tym mniej jest wiarygodny.

– Jeśli wolisz piwo czy coś innego, nie ma problemu, mają wszystko.

– Nie, skąd ten pomysł? Chętnie napiję się herbaty, naprawdę.

Klaudia przygląda mu się uważnie.

– Nie wyglądasz mi na miłośnika herbaty... – Kolejna prowokacyjna szpila przed odstawieniem czajniczka.

– Nie masz pojęcia, jakie niespodzianki chowam w zanadrzu... Ten wyjazd wyciąga ze mnie mnóstwo ukrytych głęboko cech, które nie mogą się doczekać, by ujrzeć światło dzienne.

Klaudia wytrzeszcza oczy.

– No wiesz, turlanie się po trawie, wygrzewanie w słońcu... – uściśla Gruby, by nie zostać źle zrozumianym.

Dziewczyna nie odpowiada, ale widzę w jej oczach błysk zadowolenia. Sięga po herbatnika z cukrem trzcinowym.

– Każde z nas wzięło inne ciastko – zauważam.

– To może wydawać się głupie, ale to, że zwracasz uwagę na takie niuanse, w oczach kobiety może okazać się wielką zaletą, to jedna z twoich twarzy...

– Tak, pięćdziesiąt twarzy Nicco... – szydzi Gruby.

Klaudia posyła mu groźne spojrzenie.

– Robicie sobie ze mnie jaja? – denerwuję się.

– Skąd! Mówię tylko, że zwracasz uwagę na szczegóły. Kobiety lubią takich mężczyzn. Kto wie, co będziesz potrafił zauważyć każdego dnia, który spędzisz z Anią? Że obcięła włosy, zmieniła kolor, ma na sobie nową bluzkę, że coś ją zasmuciło lub uszczęśliwiło... Takie rzeczy sprawiają, że nie będzie mogła ci się oprzeć.

– Wydaje mi się, że zmieniłaś buty – mówi Gruby, podnosząc z podłogi kostkę cukru, którą upuścił specjalnie.

– Tamte miały zbyt wysokie i seksowne obcasy, jak do tej pracy – uściśla panna Jóźwiak, nie precyzując jednak, jaki rodzaj pracy dokładnie w tym momencie wykonuje. Chce usmażyć Grubego, a potem pochłonąć go jednym kłapnięciem? A może ochronić swoje serce przed jakimkolwiek uczuciem, odgrywając kobietę zdystansowaną?

Nie wiem, kto wygra tę bitwę, ale odnoszę wrażenie, że oboje doskonale się bawią.

– Poza tym masz zwycięstwo w garści – oznajmia Klaudia, rzucając okiem na kartkę pokrytą jakimiś zawijasami.

– Tak wynika z twoich notatek? – żartuję.

– Nie, to ty powiedziałeś mi o tym wczoraj. Ta dziewczyna się w tobie zakochała.

– Bez przesady...

– Ależ tak, jaśniała na twój widok! – Gruby robi, co w jego mocy, i zazarcie wspiera Klaudię.

– Owszem, ale to nic nie znaczy – próbuję ostudzić ich zapał. – Była na wakacjach z przyjaciółką, w nowym miejscu, za granicą, spotkała kogoś, kto jej się spodobał, kto pokazał jej miasto, spędziła miłe chwile. Z dala od domu wszystko wydaje się piękniejsze i bardziej romantyczne, a potem wraca codzienność.

Klaudia się nie poddaje, analizuje, porównuje, wyciąga wnioski.

– To tak nie działa, to nie automat – tłumaczy. – Nie wszystkie dziewczyny umawiają się z Włochem tylko dlatego, że są na wakacjach. Na przykład ta jej przyjaciółka Paulina zachowywała się zupełnie inaczej.

– Co masz na myśli? – Skąd nagle wzięła się w rozmowie Paulina? Czyżby Klaudia była jasnowidzem?

– Z tego, co mówił mi Gruby... Ale może coś źle zrozumiałam...

Mój przyjaciel natychmiast wtrąca się do rozmowy, nie dając jej czasu na dokończenie zdania. Okazuje się, że to on jest moim rzecznikiem, a Klaudia wcale nie ma nadprzyrodzonych zdolności.

– Kiedy czekaliśmy na ciebie, opowiedziałem jej dokładnie historię z dziewczynami. No, że ty nawiązałeś romans z Anią, a z Pauliną... wiadomo, jak było... – Na jego twarzy maluje się tak głęboki smutek, że nawet Nemo wyglądał radośniej, myśląc o nieżyjącej mamie.

A niby jak było, jego zdaniem? Co wymyślił tym razem?

Dzwoni komórka Klaudii.

– Elu, poczekaj chwilę... – Wstaje i oddala się, pokazując nam palec wskazujący na znak, że zajmie jej to tylko minutę. – Zaraz wracam.

Patrzę zaciekawiony na Grubego.

– Co takiego nie wydarzyło się między tobą a Pauliną? Jakich bzdur jej nagadałeś? Chcę je usłyszeć.

– Nic takiego. Zszedłem na dół przed tobą, żeby pobyć z Klaudią sam, żeby zobaczyć, jak to rozegrać. Spytała o te dwie dziewczyny, co było między nami... Jakoś tak uznałem za naturalne powiedzieć jej, że między mną a tamtą biedaczką do niczego nie doszło.

– Niewiniątko! A ona „biedaczka”? Zwariowałeś? A jeśli Klaudia porozmawia z Anią? Wyjdiesz na idiotę!

– Nie przesadzaj, pomyślałem, że wezmę ją na współczucie, skoro inne metody zawodzą. Powiedziałem, że dawno nie byłem z żadną kobietą, bo moja ostatnia dziewczyna...

– Ostatnia?

– Zginęła w wypadku!

– Nie żyje?! Jesteś, kurwa, wdowcem, a ja o tym nie wiem!?

– Nie zdążyłem ci powiedzieć.

– Teraz mów, co jej napisałeś na tej choliernej karteczce. Jesteś zdolny do wszystkiego. Mogłeś równie dobrze powiedzieć, że ujrzenie Ani jest moim ostatnim pragnieniem, bo umieram na białaczkę.

– W większości przypadków jest uleczalna, więc w czym problem?

– Wiesz, jaki ty masz problem? Kwestie etyczne dla ciebie nie istnieją.

– A kto tu mówi o kwestiach etycznych?

Odwracamy się. Za nami stoi Klaudia z iPadem w ręku.

– Patetycznych – prostuje Gruby. – Nicco martwi się, że komuś, kto nie zna dobrze mojej historii, może wydawać się patetyczna...

– Melodramatyczna. – Odchrząkuję. – To słowo lepiej oddaje ideę.

– My mówimy „wyciskacz łez”. – Klaudia ma raczej obojętny wyraz twarzy, chyba dramatyczne rewelacje mojego szurniętego kumpla nie zrobiły na niej wrażenia. Pokazuje nam ekran iPada.

– Ela podesłała mi link z dokładnym adresem panny Malinowskiej. Miło z jej strony, prawda?

– Bardzo – mówi z przekąsem Gruby.

W północno-wschodniej części mapy na tablicie mruga czerwona lampka.

– Tu mieszka Ania, dziesięć kilometrów od nas.

Na myśl, że jesteśmy tak blisko siebie, znowu czuję ucisk w żołądku. Sięgam po herbatę, ale dawno wystygła. Mam ochotę wstać i iść do kuchni, by ją podgrzać, tylko po to, żeby się stąd oddalić, uciec, rzucić wszystko w cholerę. Panie i panowie, to był żart, teraz wracam do Rzymu.

– Mam pomysł... – Klaudia przygważdża mnie wzrokiem, jakbym był obrazem wartym dwadzieścia milionów dolarów w najlepiej strzeżonym muzeum na świecie. Czasami chciałbym, żeby możliwa była teleportacja. Oczami wyobraźni widzę siebie jako Spocka, bohatera *Star Treka*, tego z charakterystycznymi uszami, i nagle znikam jak on. Ale to jest fantastyka, w rzeczywistości Klaudia przeanalizowała wszystkie teorie, obliczenia i hipotezy dotyczące ewentualnej reakcji Ani na mój widok. Według jej równania, którego nie umiałbym powtórzyć, Ania będzie uszczęśliwiona.

– A jeśli ma chłopaka?

– Skoro spotykała się z tobą, to znaczy, że z tamtym chłopakiem było coś nie tak... W najgorszym wypadku na tym będziemy bazowali!

Gruby podziela jej zdanie.

– Tutaj jest inaczej. Nie ma tej zazdrości, tej zaborczości jak u nas. Dziś dziewczyna jest z jednym, jutro z drugim...

– Kto ci to powiedział? – Klaudia patrzy na niego zaintrygowana.

– Przeczytałem w przewodniku. Upadek komunizmu, demokracja, czemuś to miało służyć... Co to oznacza?

– Że jesteś dupkiem. – Klaudia się śmieje. – Tak się mówi, prawda?

Jej słowa dodają Grubemu odwagi, czuje się jak ryba w wodzie. Kontynuuje swój wywód, który tak naprawdę mają tylko jeden cel.

– Weźmy na przykład ciebie, wyjechałaś, ot tak, z dnia na dzień, bez żadnych problemów...

– To moja praca. Przyjechałam tu na trzy dni, by dopiąć ważny kontrakt. Jeśli pozyskam pannę Malinowską, pozyskam klienta.

– Rozumiem, ale twój chłopak nie robił ci z tego powodu żadnych problemów.

Oto Gruby docierający do sedna. Patrzy na nią zniecierpliwiony, rzucił bombę i czeka na wybuch. Przebiegła Klaudia nie daje jednak złapać się w pułapkę.

– *Maybe...* – odpowiada figlarnie. Wstaje, bierze ze stolika teczkę, iPada i swoje notatki. – Chodźmy odsłonić nasze karty.

Podchodzi do kontuaru recepcji i zostawia klucz od pokoju. Gruby odciąga mnie na bok.

– Co znaczyło to *maybe*?

– „Może”.

– Wiem, dzięki, przyjacielu! To jedno z niewielu słów po angielsku, które zapamiętałem z liceum... Idiota. Chodziło mi o to, co twoim zdaniem miała na myśli?

– Że może nie robił jej problemów, a może robił, albo może nie ma chłopaka. Może znaczy... może! – odpowiadam enigmatycznie.

– Następnym razem poszukam pomocy w horoskopie Paola Foxa – besztam mnie zawiedziony.

Klaudia prosi portiera o wezwanie taksówki, tymczasem na kanapach przy „naszym” stoliku siada para starszych ludzi. Ona sięga po pilota i włącza telewizor.

– Czy przynajmniej wiesz, co jej powiesz? – pyta moja swatka, trochę zdezorientowana, bo najwyraźniej nie mam żadnej strategii. Ociągam się z odpowiedzią, trochę mi wstyd. Wreszcie wyjmuję z kieszeni wymiętą kartkę.

– Po wyjściu spod prysznic napisałem krótką przemowę. Jest trochę wilgotna. – Klaudia i Gruby patrzą na mnie z zaciekawieniem. – Przetłumaczyłem najlepiej, jak umiałem, ale angielski nie jest moją mocną stroną...

– Pomogę ci, jeśli chcesz, znam biegle ten język. – Klaudia czeka na moją odpowiedź, z którą trochę się ociągam. Czuję się jak uczeń na lekcjach miłości. Ale skoro dotarliśmy aż tutaj, a Klaudia towarzyszy nam niemal od początku, zorganizowała spotkanie, by podjąć jakieś decyzje, to chyba może poprawić mój tekst.

– Niech będzie – poddaję się. Klaudia bierze kartkę i czyta w skupieniu. Raz się uśmiecha, to znów poważnieje, zauważam w jej oczach błysk, czyżby się wzruszyła? Nie, wybucha śmiechem. Patrząc na nią zaskoczony, nie mam

pojęcia, co ją tak rozbawiło.

– Jest jeden błąd. Jeśli używasz podwójnego zaprzeczenia, wychodzi na to, że nie chcesz jej więcej widzieć!

Poprawiamy razem tekst, Gruby rzuca pochlebstwami na prawo i lewo, obracając wszystko w żart. Na koniec Klaudia mówi, że list bardzo jej się podoba, widać, że słowa płyną prosto z mojego serca i że niewiele kobiet ma szczęście dostać coś takiego.

– Twój *maybe* też nigdy nie napisał ci takich słów? – pyta prowokacyjnie Gruby.

– *Maybe* – odpowiada Klaudia bez troski, wzrusza ramionami i kieruje się w stronę wyjścia.

Taksówka już czeka na nas na podjeździe. Mój przyjaciel idzie pokornie za swoją królową. Zauważam, że zostawiłem na kanapie czapkę, więc zawracam. Dwoje starszych ludzi, którzy usiedli na naszych miejscach, oglądają z zadowoleniem telewizję. Na ekranie mężczyzna z długą brodą i smętnym spojrzeniem z trudem porusza się po mieszkaniu pełnym najróżniejszych przedmiotów, śmieci, a nawet zwierząt. Za każdym razem, gdy próbuje wziąć do ręki jakąś rzecz, cała sterta leci na podłogę. Starsi państwo śledzą jego poczynania z zapartym tchem.

Zastanawiam się, kiedy powstanie program telewizyjny, w którym przeciwnicy będą zmagali się z układaniem miłosnych wyznań.

Może miałbym szansę wygrać?

25

Taksówka podwozi nas na ulicę Chełmońskiego, tu mieszka Ania. Klaudia płaci taksówkarzowi. Kiedy wysiadam, słyszę, jak Gruby ustala z nią jakieś szczegóły.

- Notujesz wszystkie wydatki? Musimy się potem rozliczyć – mówi.
- Oczywiście, nic się nie martw – uspokaja go Klaudia.
- Martwię się, bo nie chciałbym być twoim utrzymankiem...
- „Utrzymankiem”? Co to znaczy?

Przyglądam się im obojgu i niemal słyszę słowa, które Gruby zamierza jej powiedzieć, słowa, które ich do siebie zbliżą. Myślę o tym, co ja sam zawsze starałem się mówić dziewczynom – nie po to, by zrobić na nich wrażenie, ale po to, by uznały mnie za mężczyznę ich życia, za tego jednego. Ciekawe, czy między Grubym i Klaudią mogłoby zaiskrzyć tak, jak między mną a Anią. Kiedyś mój tata powiedział, że koniec końców wszystkie historie miłosne są takie same, ale każda z nich jest wyjątkowa. Miał rację.

Patrzę na swojego przyjaciela, opowiada coś, gestykuluje, śmieje się. Kiedy mężczyźni chcą zdobyć kobietę, czasem bywają śmieszni w swoich staraniach. Gruby zmienia się na moich oczach, momentami drży mu głos, odnosi się do Klaudii z dystansem, od tej strony go nie znałem. Synchronizuje swój oddech z jej oddechem. Niesamowite, jak zmienia się człowiek, kiedy jest zakochany, jak stara się przypodobać drugiej osobie, pokazać z jak najlepszej strony.

Nagle staje mi przed oczami obraz Ani, bardzo wyraźny. Spoglądam na dom, od jej drzwi dzieli mnie kilka metrów. Jest prosty, ale nowoczesny, elegancki i ładny. Odgradzony od sąsiedniej willi kwitnącym żywopłotem trawnik jest świeżo skoszony, a mały ogródek przed wejściem zadbane. Na prawo od drzwi znajduje się garaż, obok pomalowana na jaskrawozielono ławka, o którą stoi oparty rower. Może Ani?

Jakże bym chciał mieć teraz w ręku pilota do swojego życia. Wcisnąłbym

przycisk, którym można dokonywać wyboru scen podczas oglądania filmów na DVD i wybrałbym tę, w której ja i Ania jedziemy na rowerach, jesteśmy roześmiani i szczęśliwi. Udaję, że opadłem z sił, ona mnie wyprzedza, ale nie wie, że drzemie we mnie duch rywalizacji, i po chwili ją doganiam. Mimo szalonej jazdy próbuję ją pocałować, o mało nie taranując po drodze wszystkiego, w tym starszej pani, która zamiast na mnie nakrzyczeć, tylko uśmiecha się z pobłażaniem, wspominając swoją młodość. Ania mówi mi, że jestem szalony jak wszyscy Włosi, po czym szepcze, że mnie kocha, i dodaje, żebyśmy się pośpieszyli, bo musimy jeszcze zrobić zakupy. Dziś wieczorem chce, żebym to ja gotował, przypomniała sobie, co jedliśmy w Rzymie i jak smakowały jej tagliatelle z sosem pomidorowym.

Dociera do mnie, że uśmiecham się jak krety do własnych myśli, że właśnie wróciłem do rzeczywistości i że, cholera jasna, nie mam żadnego pilota! Nagle przychodzi mi do głowy coś, z czego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy: przy Ani zawsze byłem sobą. Niczego nie musiałem wymyślać, niczego nie mówiłem tylko po to, by jej się przypodobać, by zrobić na niej wrażenie. Nie zrobiłem niczego wbrew sobie, ani przez chwilę nie byłem kimś, kogo Nicco chciałby przypominać, by uwieść tę Polkę. Pokazałem swoją prawdziwą naturę i otworzyłem się jak nigdy wcześniej, dzieląc się z nią swoimi myślami, opowiadając o tym, co mnie spotkało, czego doświadczyłem, z jakiego powodu cierpiałem. Z nikim innym nigdy nie udało mi się nawiązać takiego porozumienia, ani z rodzicami, ani z Grubym czy innym kumplem, o Alessii nie wspominając. Czy nie jest paradoksem, że postanowiłem, do tego z powodzeniem, być sobą właśnie z Anią, która nie mogła dokładnie rozumieć moich wynurzeń przekazywanych mieszkanką angielskiego i włoskiego? Ktoś mógłby powiedzieć, że takie zachowanie jest tchórzostwem. Już słyszę słowa Grubego: „Tak to każdy będzie idealny!”, i pewnie będzie miał rację, ale ja wiem, że to, co wydarzyło się między mną a Anią, było wyjątkowe. Pamiętam, jak na mnie patrzyła, jak słuchała moich słów, choć pewnie nie wszystko było dla niej jasne, jak się do mnie uśmiechała i jak miałem wrażenie, że rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny. I dlatego teraz się tutaj znalazłem.

– Niewiarygodne... Więc te wszystkie dziewczyny pozwalają się utrzymywać? – dziwi się Klaudia.

– Tak – słyszę odpowiedź Grubego.

– Dużo ich jest?

- Całkiem sporo.
- Hm... – chrząkam rozkojarzony.
- Tak? – Oboje odwracają się w moją stronę.

Zatracili się w rozmowie, porwani wzajemnym zainteresowaniem, tym przyciąganiem, które potrafi zatrzymać czas. Gruby chyba zgubił wątek, bo patrzy na mnie niechętnie, jakbym przerwał im najpiękniejszą chwilę.

– Nicco, wybacz nam. Chciałeś coś powiedzieć? – Klaudia zwraca się do mnie, jakbyśmy byli na zebraniu.

– Nie, nie, mam pomysł, żebyśmy poszli tam spokojnie pogadać. – Wskazuję bar u zbiegu ulic.

– Gdybym pobierał euro za każdym razem, kiedy Nicco mówi „mam pomysł”, zostałbym milionerem. Steve Jobs mógłby się przy mnie schować: iPomysł, albo bardziej światowo: iDea. Muszę natychmiast zarejestrować to jako znak towarowy! Czy jest tu gdzieś urząd patentowy?

– Nie, ale w pobliżu jest renomowany zakład leczenia chorób umysłowych – odpowiadam, gdy przechodzimy przez ulicę. Siadamy przy stoliku i Klaudia zamawia trzy kawy. Przez chwilę rozważam, czy nie poprosić kelnera o espresso, ale rezygnuję.

– O co chodzi? – pyta nasza przyjaciółka, kiedy zostajemy sami.

– Podszedłem do tematu zbyt powierzchownie... Skoro dotarliśmy aż tutaj, musi być jakiś powód. Nic nie dzieje się bez przyczyny.

Oboje patrzą na mnie poważnie i kiwają głowami.

– Jeśli będziecie tak na mnie patrzyli, nic więcej nie powiem.

– Sam zacząłeś takim poważnym tonem. – Klaudia wybucha śmiechem. – Wyglądało na to, że masz dla nas jakąś superważną informację!

– Nigdy cię takiego nie widziałem, byłem pewien, że ogłosisz nam, iż odkryłeś tajną formułę coca-coli.

– Niech wam będzie... Chciałem tylko powiedzieć, że cieszę się, że dotarłem aż tutaj. Dziękuję, Gruby, że przezwyciężyłeś lęk przed lataniem i postanowiłeś mi towarzyszyć.

– To twoja zasługa.

– Klaudio, tobie też chcę bardzo podziękować – ciągnę, a ona lekko się rumieni. – Za to, że stoimy teraz przed jej domem.

– Sami też byście tu dotarli, to była tylko kwestia czasu. Jeśli mężczyzna czegoś pragnie, sięga po to i już...

– Zgadzam się z tobą, nie wiem tylko, czy będę w stanie to udźwignąć.

Nie patrzę na Grubego i mówię dalej:

– Ale gdyby nie twoje zdolności organizacyjne, bilety kolejowe, kanapki, zarezerwowany hotel, daleko byśmy nie zaszli, nie mam co do tego wątpliwości...

Klaudia spuszcza wzrok, lekko zakłopotana.

– Ale ja nic nie zrobiłam. – Spogląda na mnie. – Naprawdę, to minimum...

– Dla mnie to bardzo dużo. Jesteś wyjątkowa, z całego serca ci dziękuję. Również za poprawienie błędów w moim liście i za twój fantastyczny śmiech. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem, by ktoś śmiał się do rozpuku, czytając miłosne wynurzenia cierpiącego człowieka...

– Wybacz, ale kiedy pomyślę o tym, co napisałeś, znowu chce mi się śmiać. Generalnie miałeś zamiar powiedzieć Ani, że nie chcesz jej więcej widzieć. –

Klaudia zakrywa dłonią usta i niewiele brakuje, a zaraz znowu wybuchnie śmiechem.

– Wiem, wiem, dlatego jestem ci bardzo wdzięczny za poprawki, dodały mi pewności siebie. Czuję, że nie jestem bez szans.

Patrzy na mnie oczami pełnymi łez. Jest wzruszona.

– Oczywiście, że masz szansę, twoje uczucia do niej są szczerze i piękne, a słowa czarujące.

– Dzięki, w takim razie pozwólcie, że podzielę się z wami swoim pomysłem...

Przedstawiam im plan i oboje go aprobują. Klaudia, która zawsze jest krok przed nami, sugeruje pewne rozwiązanie, o którym w ogóle nie pomyślałem, a które dopełnia całości, jest klasyczną wisienką na torcie.

Gruby przez cały czas kiwa głową, nie odrywając zachwyconego wzroku od Klaudii, która tymczasem wyjęła ze swojej przepastnej torby sporych rozmiarów kalendarz i coś w nim zawzięcie notuje.

– Dobrze... – mówi wreszcie z przekonaniem i zdecydowanym ruchem zamyka notes. Dokładnie w tym momencie kelner przynosi nam kawy, Klaudia sięga po swoją filiżankę, dodaje łyżeczkę cukru, miesza szybkimi ruchami i wypija jednym haustem.

– Idę, sprawdzę i zaraz wracam... Nie ruszajcie się stąd – mówi, wstając z krzesła.

– Nigdzie się nie wybieramy... – zapewnia Gruby, patrząc na nią z tępa fascynacją. Popija kawę i odprowadza ją wzrokiem aż do wyjścia.

– Nie dodałeś cukru – zauważam.

– Nie szkodzi.

– Na pewno? Zazwyczaj pijesz słodką jak ulepek.

– Klaudia jest moim cukrem, słodzikiem, miodem.

– A kto jest twoim psychiatrą? Mamy do pogadania...

– Widziałeś, jak wyjęła kalendarz i zaczęła robić szczegółowe notatki na temat planu?

– Tym się właśnie zajmujemy! Co innego miała notować, twoim zdaniem?

– Wiem, ale podoba mi się, że jest taka skrupulatna, szaleję za nią... Do wszystkiego podchodzi z powagą i profesjonalizmem.

– Racja.

– Jednocześnie nie jest wyrachowana i zimna, wzrusza się, oczy zachodzą jej łzami.

– Racja.

– Podoba mi się, że jesteśmy tu we trójkę i że wszystko odbywa się tak zgodnie i bezproblemowo. Nigdy nie byłem z kobietą, w której towarzystwie czułbym się tak swobodnie, będąc jednocześnie ze swoim przyjacielem.

– Tu też masz rację! Jeśli nadal będziesz ją tak wychwalał, zmienię zdanie, odpuszczę sobie Anię i umówię się z Klaudią!

Gruby patrzy na mnie i przez ułamek sekundy myślę, że zaraz wyleje na mnie zawartość swojej filiżanki. Tymczasem chodzi mu po głowie coś zupełnie innego.

– A jeśli to nie my – zaczyna – dokonujemy wyboru i podejmujemy decyzje,

tylko one wybierają nas?

– O rany, czas na filozofię...

– Mówię poważnie... Przy niej czuję się zupełnie kimś innym – wyjaśnia poważnym tonem, ale błyskawicznie odzyskuje dawną werwę. – Ale jeśli tylko spróbujesz wyrwać Klaudię, nogi ci z dupy powyrywam!

– To się nazywa zakochanie... – wyjaśniam mu.

– Możliwe, ale powiem ci jedno: całe mnóstwo rzeczy już mnie nie obchodzi, nie chcę być sławny, nie chcę, by pewnego dnia usłyszał o mnie cały świat. Chcę tylko jej, obcować z nią, być blisko.

– Gdybyś jej to napisał albo powiedział, spodobałoby jej się o wiele bardziej niż mój list.

– Nie umiałbym. Doznałem olśnienia i stałem się kimś innym.

Przyglądam mu się uważnie.

– Przysięgam, nie żartuję. Pamiętasz Klaudię Koll, tę, która grała w filmach erotycznych Tinta Brassy? Notabene, bardzo mi się podobały...

– Pamiętam, ale nie widzę związku.

– W pewnym momencie swojego życia odnalazła wiarę, teraz jeździ po świecie i opowiada o zaletach człowieka wierzącego, była w Afryce... Tak naprawdę nigdy w to nie wierzyłem, myślałem, że to część przemyślanej strategii. Natomiast teraz wiem, że spotkało ją coś takiego jak mnie.

– To porównanie nie jest chyba zbyt udane. Ona zobaczyła światło, ty się zakochałeś... – zauważam.

– Twoim zdaniem to mało?! Spotkaliśmy miłość.

– Tylko żebyś nie zaczął pisać książek albo nie poszedł do *Porta a Porta*, tego programu, w którym zajmują się polityką.

– Daj spokój, a podobno to mnie trzymają się żarty...

– Masz rację, przepraszam, ale dam ci jedną radę: nie wspominaj Klaudii o jej imienniczce, Claudii Koll... Dobrze?

Dokładnie w tym momencie spoglądamy przez okna baru i widzimy naszą przyjaciółkę przed drzwiami domu Ani.

26

Klaudia właśnie wcisnęła dzwonek i odwraca się w naszą stronę. Daje znak, że wszystko w porządku, ale widać, że jest równie podekscytowana jak ja.

– Popatrz na nią... – szepcze Gruby, jakby obawiał się, że może nas usłyszeć z tej odległości.

– Widzę ją, wyluzuj.

Drzwi domu się otwierają. Natychmiast przesuвам się z krzesłem, żeby mieć lepszy widok. Ciekawe, kogo zaraz w nich ujrzę. W ciągu kilku sekund, których potrzebuje człowiek, by nacisnąć klamkę i otworzyć drzwi, zastanawiam się, co mogłoby się wydarzyć. Myślę o zdumionej twarzy Ani na widok stojącej w progu Klaudii, o tym, w co może być ubrana i czy w domu też tak starannie dobiera kolory, jak robiła to, będąc w Rzymie, kiedy przychodziłem po nią do hotelu. Czy przeszło jej przez myśl, choć przez ułamek sekundy, że za drzwiami może stać ten Włoch, z którym kochała się w apartamencie z widokiem na Koloseum, czyli ja. Niestety jak stara winylowa płyta porysowana igłą od adaptera zaczyna wydawać zniekształcone dźwięki, tak moje nadzieje walą się w gruzy na widok jakiejś pani, która staje w drzwiach wejściowych.

Domyślam się, że Klaudia się przedstawia, wymieniają jakieś serdeczności, po czym kobieta kręci głową. Czuję, jak grunt usuwa mi się spod nóg.

– Nie ma jej w domu... – udaje mi się tylko wykrztusić.

Gruby patrzy na mnie zaskoczony.

– A ty kto, medium? Wiesz też, co jadła na śniadanie? Masz bioniczne uszy?

– Nie żartuj sobie.

Śledzę poczynania Klaudii, która zegna się z kobietą i zmierza w naszą stronę. Kiedy siada przy stoliku, zarzucam ją pytaniami:

– Co ci powiedziała? Ani nie ma, prawda? Zrozumiałem po sposobie,

w jaki tamta kobieta kręciła głową. Ale jest w Polsce, prawda?

– Nie, wyjechała do Włoch, żeby cię odnaleźć!

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami. Nagle świat stanął w miejscu.

– Żartowałam! Ale pomyśl, jaka piękna mogłaby wyjść z tego historia!

– No nie wiem, ja bym natychmiast wrócił do Włoch, by jej szukać, a ona do Polski w nadziei, że tu się spotkamy...

– Tak, a potem oboje zawiedzeni, myśląc, że druga strona nie jest zainteresowana, wyjechalibyście na jakąś egzotyczną wyspę, by zapomnieć, i tam byście się odnaleźli razem z Alessią i Bato! – wtrąca się Gruby.

– Jako scenarzyści oboje jesteście do bani.

– Sam zacząłeś... Chcesz wiedzieć, gdzie ona jest? – pyta nasza agentka specjalna, trochę urażona.

– Oczywiście!

Dowiedziała się, że Ania poszła po zakupy do pobliskiego centrum handlowego, że kobieta, która otworzyła drzwi, to jej matka, i że bardzo się cieszy z odwiedzin córki, która ostatnio ciągle jest w rozjazdach.

– Powiedziała, czy Ania poszła sama, czy z kimś?

– Nie mogłam o to spytać! Jaki by to miało sens? Jestem tu służbowo, powiedziałem, że chodzi o główną rolę w reklamie. Natomiast ty mógłbyś spotkać ją w tym centrum przypadkiem, jeśli nie będziemy tracili więcej cennego czasu!

– Jasne! Akurat uwierzy, że znalazłem się tu przez przypadek... Zresztą kto by nie chciał tu przyjechać z Rzymu na zakupy?! Ja robię to stale, mają świetną ofertę na proszki do prania. Wychodzę rano z domu, jadę na lotnisko, pokonuję jakieś dwa tysiące kilometrów w powietrzu... A jaka zadowolona jest moja mama, kiedy wracam potem z tym rewelacyjnym proszkiem... Co prawda jedno pudełko kosztuje mnie jakieś pięćset euro, ale co tam, ten zapach... bezcenne...

– Inna opcja jest taka, że – mówi Klaudia niewzruszona moim wystąpieniem – możesz zostać tutaj i zastanawiać się, co by było gdyby, a następnie wsiąść do samolotu, a Ania zostanie tylko wspomnieniem... Jeśli taki jest wasz plan, poinformujcie mnie, bo nie lubię tracić czasu, i chętnie

wrócę do swojej pracy.

Patrzę najpierw na nią, potem na Grubego, Gruby spogląda na Klaudię, która z kolei zerka na zegarek, widać, że jest zawiedziona. Twarda sztuka z tej dziewczyny. Myślę o swoim kumplu i jego przyzwyczajeniach. Nie będzie im łatwo.

– Gdzie jest to centrum handlowe? – pytam.

– Kilka kilometrów stąd. Złap taksówkę, właśnie nadjeżdża – odpowiada Klaudia, oddychając z ulgą. Gruby wychodzi na ulicę i zatrzymuje samochód.

– Spytasz go, czy po drodze jest jakaś kwiaciarnia? – proszę Klaudię, która podaje taksówkarzowi adres.

– Świetny pomysł! Włosi są zawsze tacy romantyczni.

– To nie romantyzm. Kiedy idę kupić proszek do prania, zawsze mam przy sobie różę!

Kierowca słucha wskazówek Klaudii i kiwa głową, mówi, że powinniśmy trafić po drodze na jakieś kwiaty. Po jakimś czasie zatrzymuje się przy pasażu z kilkoma sklepikami, wśród których jest również całkiem spora kwiaciarnia. Wsiadam z taksówki i przez chwilę czuję się jak w tym filmie, w którym Ashton Kutcher sprzedawał kwiaty i na końcu związał się ze swoją przyjaciółką.

– Gruby, jaki tytuł miał ten film z Ashtonem... – nie udaje mi się dokończyć pytania, bo słyszę odpowiedź.

– *Walentynki*, reżyseria Garry Marshall.

– Racja, ta kwiaciarnia wygląda identycznie.

Za ladą stoi młody chłopak, podobnie jak w filmie. Kwiatów jest całe mnóstwo, są różnorodne i piękne, nie wiadomo, na co się zdecydować, niektóre są tak kolorowe, że wyglądają jak sztuczne. Wybieram czerwoną różę z bardzo długą łodygą. Pracownik zawija kwiat w przezroczystą folię i mi go wręcza. Płacę i wychodzę.

Wsiadam do samochodu.

– Piękna róża... Możemy ruszać? – pyta Klaudia.

– Tak.

Gruby spogląda na nią, a ona na niego, ale nic nie mówią. Nie ma odwrotu,

za chwilę wszystko się wyjaśni. Taksówka rusza. Mój przyjaciel pewnie chciałby coś powiedzieć, on, który nigdy nie zapomina języka w gębie, który potrafi każdego rozbawić w dowolnym momencie, tym razem milczy. Obserwuje ukradkiem Klaudię, która bawi się rączkami swojej torby, i nie znajduje słów. Widzę, jak wdycha jej delikatny zapach, napawa się jej spojrzeniem, uśmiechem, oświetlonymi słońcem włosami. Wiem, że wreszcie zrozumiał. Że ta cisza znaczy więcej niż tysiąc słów, jest poezją, której nigdy nie będzie potrafił napisać, muzyką, której nie umiałby skomponować. W radiu leci stary hit, który był popularny również u nas, ale nie pamiętam ani jego tytułu, ani wykonawcy. W spojrzeniu Grubego jest coś innego, nowego, może myśli o tym, że za parę dni wyjedzie i bardzo prawdopodobne, że nigdy więcej nie zobaczy Klaudii. Ona chyba domyśliła się, że mój kumpel zakochał się w niej na zabój, i teraz rozważa, co mogłoby się stać, gdyby dała mu szansę.

Ja po prostu milczę. Nie chcę o niczym myśleć, patrzę na kwiat, który trzymam w ręku. Co z nami będzie, piękna różo? Jeśli nie spotkam Ani, skończysz w koszu na śmieci albo, o ile ci to odpowiada, w wazonie u jakiejś nieznaomej... A Ania? Ona nigdy się nie dowie, co mogłoby się wydarzyć. A co ze mną? Co wtedy zrobię? Co ja w ogóle robię w tej taksówce?

W moje myśli wdziera się Klaudia.

– Chcesz jeszcze raz powtórzyć tekst listu? – pyta, kładąc delikatnie dłoń na moim ramieniu.

Powtarzam to, co napisałem. I tak znam na pamięć każde słowo. Klaudia słucha i potakuje.

– Świetnie – mówi.

Taksówkarz, który siłą rzeczy słyszał moje przemówienie, uśmiecha się we wstecznym lusterku do naszej przyjaciółki i o coś ją pyta. Ona odpowiada, a mężczyzna gorliwie potakuje.

– Co chciał wiedzieć? – pyta Gruby.

– Co znaczą te słowa. Spodobały mu się i spytał, czy ich autorem jest jakiś poeta, czy piosenkarz. Wiesz, co mu odpowiedziałam? Że te słowa napisał zakochany mężczyzna, tak po prostu...

Taksówka zatrzymuje się przed wejściem do centrum handlowego.

- Powodzenia! – mówi do mnie taksówkarz i puszcza oczko. Wsiadamy.
- Kiedy zostajemy sami na chodniku, Klaudia próbuje dodać mi odwagi:
- Zobaczysz, jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze.
- Mówisz? Miejmy nadzieję, że Ania podzieli zdanie taksówkarza.

Jestem w centrum handlowym. Trzy piętra sklepów i butików, odzieżowych, sportowych, ze sprzętem elektronicznym, do tego lodziarnie, restauracje, kawiarnie i fontanny z ławkami. Nie mogę powiedzieć, żeby to miejsce zrobiło na mnie jakieś specjalne wrażenie, ponieważ podobne galerie handlowe są również w Rzymie, zwłaszcza na obrzeżach miasta. Różnica polega na tym, że ostatni raz odwiedziłem centrum handlowe razem z Anią, która chciała kupić mamie jakiś włoski prezent, tymczasem teraz też jestem w takim przybytku z jej powodu i ta myśl wzbudza we mnie szaleńczy niepokój.

Stoję na ruchomych schodach, z naprzeciwka zjeżdża zbyt mocno umalowana kobieta, która na widok mojej róży uśmiecha się z zaciekawieniem. W rękach trzyma kilka wielkich toreb ze sklepów odzieżowych i wygląda na bardzo zadowoloną. Gdyby miała więcej czasu, pewnie chętnie poszłaby za mną, by zobaczyć, komu wręczone ten kwiat. Dzisiaj większość ludzi karmi się niezdrową ciekawością, chcą wiedzieć, kto jest z kim, kto się rozwiódł, kto ma nowego partnera, bardziej interesuje ich życie innych niż własne. Zastanawiam się, jaką minę miałyby moja mama, siostry, mój pracodawca i reszta znajomych, gdyby mnie teraz zobaczyli. Potem myślę o tacie, jak troszkę sobie ze mnie żartuje w sposób, który uwielbiałem, i czuję, że czuwa nade mną. Docieram na ostatnie piętro, ale nigdzie nie widzę Ani. Moją uwagę przyciąga wejście do supermarketu i ruszam w tamtą stronę.

Serce bije mi jak oszalałe, kiedy idę między długimi półkami uginającymi się od towarów. Zauważam sporo włoskich marek, choć o niektórych w życiu nie słyszałem, ale może te nazwy przyciągają klientów. Są na przykład mrożone lazanie Nonno Giovanni, na których sam widok zbiera mi się na mdłości, muszą być obrzydliwe. Podobnie jak we Włoszech, również tutaj pełno jest dzieciaków, które bombardują pytaniai swoje mamy zajęte robieniem zakupów, porównywaniem cen i marek produktów przed włożeniem ich do wózka. Niektóre maluchy drą się i płaczą, ale większość mam niewzruszenie kontynuuje zakupy. Supermarket jest tylko supermarketem,

w każdym miejscu na świecie. Od razu przychodzi mi do głowy piosenka Lucia Battistiego o drożących mrożonkach, o prowadzeniu sklepowego wózka we dwójkę, trzymając się pod ramię, i o staniu w kolejce do kasy, kiedy ona opiera głowę na jego ramieniu. Miłość naprawdę jest cudem, potrafi nadać poetycki rys nawet tak uciążliwej czynności, jaką jest robienie zakupów.

Nagle ją widzę. Odbija się w lustrze wiszącym nad półkami, jest w sąsiedniej alejce, wybiera jakieś produkty. Teraz widzę, że trzyma w ręku słoiczek, czyta etykietkę, obraca go w dłoniach i w końcu wkłada do wózka. Jest taka piękna, piękniejsza, niż ją zapamiętałem. Przez ułamek sekundy rozważam, by pójść w przeciwnym kierunku, schować się przed jej wzrokiem, zniknąć, uciec... Zostaję jednak. Ania popycha wózek, rzucając okiem na pozostałe produkty w słoiczkach, butelkach i puszkach. Zmierza w moją stronę. Nabieram powietrza, jakbym miał przepłynąć pod wodą cały basen. Wyjmuję szybko list z kieszeni i przebiegam wzrokiem kilka pierwszych słów, powtarzam je pod nosem. Składam kartkę i chowam do kieszeni spodni, wiem, że nie wyduszę niczego, co napisałem, nic nie pamiętam. Jeszcze nie zauważyła, że stoję nieruchomo na końcu alejki, przy jajkach pakowanych po dwanaście sztuk, które są tak jasne, jakby były pomalowane. Nie ruszam się, patrzę na nią urzeczony, trzymając różę: ma na sobie białą bluzkę i granatową spódnice, na nogach ciemne eleganckie mokasyny. Nadal szuka czegoś na półkach po prawej i lewej stronie, nie patrzy przed siebie... Zaraz się spotkamy.

Nagle słyszę męski głos, który woła ją z głębi alejki. Koło Ani materializuje się wysoki barczysty blondyn o niebieskich oczach. Generalnie kawał przystojniaka...

– Tego szukałaś? – pyta, pokazując karton jakiegoś soku owocowego, który trzyma w taki sposób, jakby to było bardzo niebezpieczne zwierzę, a on był nieustraszonym pogromcą.

Typowy twardziel, który mówi jak twardziel i zachowuje się jak twardziel.

– Tak, dzięki, nie mogłam go znaleźć.

Uśmiechają się do siebie jak ludzie, którzy są sobie bardzo bliscy. On podchodzi do niej i – dokładnie jak w tej piosence Lucia Battistiego – zaczynają razem pchać wózek, trzymając się pod ręce! Wszystko jasne!

Ania odwraca się w moją stronę i mnie zauważa. W ostatniej chwili

odkładam różę na najbliższą półkę. Stoi półtora metra ode mnie, jest zaskoczona i zdumiona, rumieni się lekko, ale zaraz odzyskuje panowanie nad sobą.

– *Nicco, what a surprise!*

Mówi po angielsku, chyba pyta, co tu robię, ale nie rozumiem ani słowa. Słucham jej i potakuję, przesuвам się odrobinę w prawo i widzę, że moja róża spadła na posadzkę, ale na szczęście jakaś kobieta ją podniosła i włożyła do swojego koszyka. Pewnie pomyślała, że to bonus do kawy, którą właśnie wzięła z półki. A może coś innego... Zresztą nieważne. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

Ania zachowuje się swobodnie, jeśli zaskoczyła ją moja obecność, nie daje tego po sobie poznać. Przedstawia mi jasnowłosego mięśniaka, który jest bardzo miły, uprzejmy i serdeczny.

– *Hi, I'm Marek.* – Podaje mi swoją wielką i szorstką dłoń, jego uścisk mógłby zmiażdżyć mi kości palców. W najlepszym wypadku jest jakimś sportowcem, zapaśnikiem albo karateką i pewnie przywali każdemu, kto śmie spojrzeć na Anię albo się do niej odezwać. Lepiej nie zastanawiać się, co zrobi z tym, który się z nią kochał, czyli ze mną. Nie mam nawet róży, by móc się przed nim obronić! Ciekawe, kiedy go poznała? Sądząc po tym, jak ostatnio mi się układa życie, pewnie było podobnie jak w przypadku Alessii i Bato: Ania i jej wielki jak szafa blondyn nie znosili się nawzajem, ale wystarczyło zagrać w Candy Crash, by padli sobie w ramiona. Albo spotkali się przy stanowisku odprawy na lotnisku, kiedy wracała z Włoch. Nastąpiła słowna przepychanka na temat tego, kto był pierwszy w kolejce, a podczas startu ustalali już kolor małżeńskiego łóżka i wybierali imię dla pierwszego dziecka, najpierw dla chłopca, choć on wolałby dziewczynkę... Nie, może nie są parą? Marek jakby czytał w moich myślach – obejmuje Anię i przyciąga ją do siebie, żebym nie miał złudzeń. W porządku, rozumiem, jesteście razem.

Ania wyjaśnia, że byłem jej przewodnikiem po Rzymie, że pojeździliśmy trochę po Włoszech, słyszę, jak wymienia kolejne miasta: Wenecja, Florencja, Neapol. Chłopak kiwa z uznaniem głową. Oczywiście Ania pomija niektóre „nieistotne” szczegóły, jak apartament przy Koloseum czy nasze wspólnie spędzone piękne chwile. Marek, który ma, jak właśnie zauważyłem, lekko tępe spojrzenie, słucha jej słów z uwagą i kiwa głową. Nie sprawia wrażenia

zazdrosnego, jest bardzo spokojny, wygląda na to, że nic nie zmąci jego opanowania. Gdybym nie wiedział, że Ania jest jedynaczką, pomyślałbym, że to jej brat. Może tutaj też mają taki program telewizyjny, w którym ludzie odnajdują się po latach, jak włoska *C'è posta per te*, i to jest jej brat, o którego istnieniu dowiedziała się dopiero niedawno.

Wreszcie mięśniak pokazuje na zegarek, dając do zrozumienia, że na nich już pora, i Ania wydaje się wdzięczna za tę informację. Rozumiem jej zakłopotanie, ale jest mi niezmiernie przykro, że nawet nie spytała, co tu robię. Potraktowała mnie jak dawnego kolegę ze szkoły, który mieszka w tej samej okolicy i którego nie widziała od matury.

Natomiast ja, zamiast uśmiechać się jak kretyn, mam ochotę wykrzyczeć na całe gardło swoją miłość, przewracać regały z towarami, skopać dmuchaną maskotkę reklamującą płatki śniadaniowe, która stoi obok mnie, pobiec do kobiety, która zwinęła mi różę, zabrać ją z jej koszyka, wręczyć Ani i pocałować ją na oczach jej chłopaka – tym gorzej dla niego, że nie jest bratem! Oto, co miałbym ochotę zrobić, ale oczywiście nic z tego się nie dzieje. Takie rzeczy zdarzają się w niektórych filmach, a ja niestety nie jestem Dustinem Hoffmanem z końcowej sceny *Absolwenta*. Natomiast ta scena pochodzi z najgorszego filmu, jaki w życiu widziałem: mojego.

Ania wyjmuje z portfela karteczkę, coś na niej pisze i mi ją podaje.

– *Call me, okay?*

– *Yes* – odpowiadam po prostu.

Odwraca się i podchodzi do Marka. Zwracam uwagę na to, że nie bierze go pod ramię.

Tymczasem ja stoję nieruchomo pośród płatków śniadaniowych, dżemów, miódów i batonów zbożowych. Odprowadzam ich wzrokiem. Wreszcie znikają za zakrętem dokładnie tak samo jak w *Mille giorni di te e di me* Claudia Baglioniego. Jak ja nienawidzę tej piosenki. A teraz jeszcze bardziej.

Kiedy odprowadzasz kogoś na lotnisko czy dworzec, żegnacie się, potem ta osoba odchodzi, a ty czekasz, aż się odwróci, zanim wsiądzie do pociągu albo zniknie z pola widzenia. Teraz ja czekam z nadzieją, że coś się wydarzy, mimo że Ani towarzyszy ten atleta. Już mam się poddać, kiedy nagle Ania odwraca się, patrzy na mnie przez ułamek sekundy i się uśmiecha. W jej spojrzeniu widzę radość i zaskoczenie z naszego spotkania, wspomnienie wspañałych

wspólnie spędzonych chwil. Czuję, że wbrew wszystkim i wszystkiemu łączy nas nić porozumienia... O ile sobie tego nie wymyśliłem.

Karuzela z konikami na piazza Navona w święto Trzech Króli, na którą zabierał mnie w dzieciństwie ojciec, była zwieńczeniem długiego okresu samych przyjemności: ubierania choinki, otwierania prezentów, późnego chodzenia spać, oglądania kreskówek i pałaszowania karmelizowanych migdałów na popołudniowym seansie w kinie. A na deser festiwal słodkości, skrzatów, noworocznych szopek, które wkrótce na kolejny rok wylądują w skrzyniach obwoźnych sprzedawców. Ostatni radosny dzień przed powrotem do szkoły. Nigdy nie chciałem wsiąść na konika, bo było to równoznaczne z nadejściem końca świąt, a ja pragnąłem, by ten wakacyjny czas trwał w nieskończoność.

O północy staruszka Befana[6] wychylała się z okna wieży kościoła Sant' Agnese i pozdrawiała zgromadzone na placu dzieci. Nie wiem, czy nadal tak jest, wiem natomiast, że za każdym razem miałem nadzieję, że się nie pojawi i będę mógł pociągnąć tatę za rękaw płaszcza i powiedzieć, że nie możemy jeszcze wracać do domu, bo święta nadal trwają.

W części centrum handlowego przeznaczonej dla najmłodszych, pełnej kolorowych piłeczek, dźwięków wydawanych przez małą ciuchcię i niezrozumiałych dla mnie słów ludzi przebranych za maskotki kierowanych do każdego, kto ma poniżej metra pięćdziesięciu wzrostu, przenoszę się w jakimś sensie do szóstego stycznia z mojego dzieciństwa.

Nie chciałbym, żeby to był kres mojej podróży w poszukiwaniu Ani, żeby ten błysk, który zobaczyłem w jej oczach kilka minut temu, okazał się tylko snem. Jak to, co widzę w kąciku zabaw dla dzieci: czy te dwie bestie, które właśnie napadają na „Zaczarowany las”, jak głosi napis nad kasą, to naprawdę Gruby i Klaudia? Mój przyjaciel z trudem mieści się w pojeździe gąsienicy – ma kolana pod brodą – i goni inny pojazd w kształcie grzyba, który prowadzi Klaudia, a jej szczupłe nogi niemal leżą na kierownicy. Gruby ją dogania i wyprzedza, wciskając klakson. Dziewczyna, zachwycona wyścigiem, śmieje się do rozpuku.

– We Włoszech chyba jesteś pilotem! – krzyczy rozpromieniona, próbując go wyminąć.

Przez chwilę wygląda, jakby zapomniała o salach konferencyjnych, planowaniu, strategiach, o swoich tajemnicach, i daje się ponieść czystej rozrywce.

– W wolnym czasie – żartuje Gruby, sterując swoją gąsienicą w taki sposób, by zrównać się z Klaudią. – Niestety w tygodniu jestem zajęty... studiowaniem.

Jedynie to, że przebywa w świecie dziecięcych zabawek, usprawiedliwia takie kłamstwo. Klaudia patrzy na niego sceptycznie, a on, co nie zdarzyło mu się nigdy wcześniej, chciałby móc powiedzieć jej prawdę, być czystym jak łąza kryształem, cennym wazonem wypełnionym świeżymi kwiatami, ale rozumie, że jego życie jest puste i wirtualne, że to, czym się zajmuje, jest nieuczciwe, że nie ma co się chwalić ściąganiem wszelkiego rodzaju nagrań wideo, gier, filmów i tym podobnych i ich nielegalnym rozpowszechnianiem. Gdyby chociaż byli na statku pirackim, mógłby powiedzieć, że jest kapitanem, królem piratów, ale siedzi w gąsienicy i w tym momencie czuje się jak gąsienica.

– Co studiujesz? – chce wiedzieć Klaudia.

– Handel i ekonomię, ale myślę o tym, żeby przenieść się na prawo. Wiesz, świat ciągle potrzebuje prawników – ściemnia Gruby, który, jeśli nie przestanie oblewać egzaminów, oszukiwać rodziców i handlować nielegalnymi DVD, sam będzie potrzebował prawnika.

Ale grzybek jest bystry i zna swoje gąsieniczki.

– Moim zdaniem w wolnym czasie studiujesz, a w tygodniu robisz całą resztę.

Maski ich pojazdów znajdują się przodem do siebie, jakby się całowały. Czy grzyb może całować gąsieniczkę?

– Moim idolem jest Steve Jobs. – Gruby próbuje zrehabilitować się w jej oczach.

– Bo nigdy nie skończył studiów? – pyta odrobinę złośliwie Klaudia, która znów uruchomiła swój pojazd i niechcący wcisnęła klakson. Tuż przed nią wpycha się mały chłopczyk z kręconymi włosami, klnie szpetnie pod nosem za kierownicą swojego „bolida”, w tym świecie, w którym niewinność

bezpowrotnie zniknęła.

– Nie, to nie ma nic do rzeczy... – zapewnia mój przyjaciel.

Klaudia przyśpiesza i zostawia go w tyle. Wychyla głowę przez małą kabinę, żeby lepiej ją słyszał.

– Też był moim idolem, bo miał marzenia i je zrealizował!

Nie mam wątpliwości, że mną by wzgardziła, bo ja swojego marzenia jeszcze nie zrealizowałem. Dlaczego nie wyszedłem z tego supermarketu z Anią? Dlaczego nie pcham jej wózka pełnego słoików i soków owocowych, a ona nie idzie obok, trzymając mnie pod ramię?

Gruby odwraca się, by sprawdzić, czy nikt za nim nie jedzie, wyprzedza rezolutnego chłopczyka z loczkami i rusza w pościg, kiedy zauważa mnie siedzącego na oparciu ławki na wprost placu zabaw. Niczym ojciec czekający na dzieci, aż skończą się bawić.

– Hej, Nicco! – pozdrawia mnie machaniem ręki.

– Jesteś z powrotem! – woła Klaudia, która odwróciła się w moją stronę.

Parkują grzyba i gąsienicę, wychodzą z nich z niejakim trudem i podchodzą do mnie.

– Czekając na ciebie, postanowiliśmy urządzić sobie wyścig wśród krasnali – informuje mnie zdyszany Gruby.

– Jak poszło? – dopytuje się niecierpliwie Klaudia.

– Wygląda na to, że poradziliście sobie, choć ten mały was nie znosi.

– Znalazłeś Anię? – ponagla mnie mój kumpel.

Kiwam głową.

– Dałeś jej różę? – Klaudia nie zostawia mi czasu na odpowiedź. – Powiedziałeś jej to, co sobie przygotowałeś? Nie, poczekaj... Wręczyłeś jej list, prawda? Płakała? Wygląda mi na bardzo romantyczną osobę!

Spuszczam głowę, wpatruję się w sznurówki swoich butów, nogi oparte o siedzisko ławki. Gruby od razu odczytuje moje myśli. Oboje siadają obok mnie.

– Źle poszło, prawda?

– Tak – mamroczę, wzruszając ramionami.

– Tylko nie mów, że w ciągu tych dwóch tygodni roztyła się i ma twarz całą w pryszczach. – Mój przyjaciel stara się obrócić całą sytuację w żart, by trochę podnieść mnie na duchu.

– Jest jeszcze ładniejsza, o ile to możliwe... Zobaczyłem jej odbicie w lustrze, gdy szukała czegoś na półkach w sąsiedniej alejce. Szedłem za nią, ale mnie nie widziała, patrzyłem, jak czyta etykietkę na słoiku, marszczy czoło, sprawdzając termin przydatności, już miałem do niej podejść i wręczyć jej różę, kiedy podeszedł do niej ktoś inny i objął ją w pasie...

– Nie była sama? – W głosie Klaudii słychać troskę.

– I to nie była Paulina, prawda? – rzuca zaniepokojony Gruby, błagając w duchu, żeby to nie była prawda.

– Chciałbym, żeby to była ona.

Mój kumpel przechyla głowę na bok, jakby mówił: „no cóż”.

– To kto z nią był? – naciska Klaudia tonem widza oglądającego finałową scenę w swoim ulubionym filmie lub lekarza na sali operacyjnej, który usiłuje zrozumieć, ile godzin życia zostało jego pacjentowi.

– Nie wiem, nic z tego nie rozumiałem... Jakiś blond kulturysta, który pakował na siłowni chyba już w przedszkolu. Porzuciłem różę, zanim Ania zdążyła mnie z nią przyłapać.

– Ania cię widziała? Uciekłeś, zanim cię zobaczyła? – Klaudia próbuje odtworzyć kolejność zdarzeń.

– Stałem tam jak debil, nie mogłem się ruszyć ani nic zrobić...

– A ona wzięła cię za reklamę paluszków rybnych? – ironizuje Gruby.

– Zobaczyła mnie i przywitała się ze mną jak gdyby nigdy nic, jakbyśmy chwilę wcześniej rozstali się przy stoisku z warzywami. Jakby spotkanie mnie w centrum handlowym w Krakowie było równie prawdopodobne jak dostanie mandatu za złe parkowanie w Rzymie. Podeszła do mnie i przedstawiła tego typka... chłodna i obojętna.

– Nawet nie była zaskoczona? – Gruby wytrzeszcza oczy. – Cholera, stary, chyba jej się nie podobasz.

Patrzę na niego niechętnie.

– Albo jest doskonałą aktorką... Przecież modelki też grają, ich praca

polega także na robieniu różnych min, nie?

– Wracamy do pracy – zarządza Klaudia, jak zawsze zorientowana na wyniki. Tym razem chodzi o wyniki sercowe. – Powiedz, czy ucieszyła się na twój widok? Jak zareagowała? Udało ci się coś jej powiedzieć?

– Nie, nic jej nie powiedziałem. – Dopiero teraz to do mnie dociera. – Nic z tego, co sobie przygotowałem. Stałem i patrzyłem na nią, a ona mówiła.

– I głównie z tego rozumiałeś – zauważa poetycko Gruby.

– Dwie rzeczy na pewno zrozumiałem: Marek i *boyfriend* albo *my friend*, tak naprawdę nie jestem pewny... – Kręcę głową. – A potem on ją zabrał.

– Ani listu, ani róży, cholera, a tak dobrze wszystko zorganizowałam... – Klaudia również jest zmartwiona.

– No a matka? Czy nie mogła powiedzieć, że jej córka poszła po zakupy ze swoim narzeczonym, którego wkrótce poślubi, a potem wyda na świat jasnowłose dzieci... – Klaudia uśmieca Grubego spojrzeniem, a on dopiero teraz zauważa moją marsową minę. – No wiesz, takie gadanie, jak to matki mają w zwyczaju... Głupoty, same głupoty – próbuje się zrehabilitować.

Mój dobry duch w spódnicy wzdycha i zeskakuje z ławki.

– Trzeba się czegoś napić. Co wam przynieść?

– Dla mnie colę – odpowiada mój przyjaciel anioleczek, który chce zrobić jak najlepsze wrażenie, udowodnić, że jest ponad wszelkie słabości. Duży sukces, że nie poprosił o zieloną herbatę!

– Ja potrzebuję czegoś mocniejszego. Alkoholu. Co najmniej piwa – oznajmiam.

– Masz rację, ja też – podziela moje zdanie Klaudia, zostawiając Grubego na lodzie, człowieka, który najchętniej piłby piwo już do śniadania. Ach, czego nie robi się z miłości!

Siedzimy we dwójkę na ławce w centrum handlowym, moje nadzieje trochę zmały, natomiast oczekiwania mojego przyjaciela są coraz większe. Nic nie mówimy, choć wokół nas nie panuje cisza, zewsząd dobiegają rozmowy, muzyka sącząca się z głośników zainstalowanych w sklepach, ogłoszenia reklamowe. Gruby spogląda na mnie i postanawia przerwać milczenie, by wyrwać mnie z odrętwienia.

– Ania nie spytała o mnie?

– Nie... chociaż może... Nie wiem, jeśli spytała, nie zrozumiałem.

– Mówiła coś o Paulinie?

– Jak wyżej...

– No tak... – Teraz Gruby się zamyśla. – Może powinienem powiedzieć jej o wszystkim... o Paulinie. Chcę być z Klaudią szczerzy.

– Nie wierzę własnym uszom! – Teraz udało mu się zwrócić moją uwagę. – Przez półtora roku chodziłeś z dwiema dziewczynami, zabierając je na zmianę do dyskotek, pubów, pizzerii i knajp, ryzykując, że wpadniesz... W międzyczasie zaliczyłeś kolejne panny, jak tę lafiryndę z T-Bone Station...

– O kurwa, pamiętasz ją? Ale miała cycki! – Gruby oddaje się wspomnieniom.

– Widzisz, jak twoja przeszłość na ciebie wpływa? Na tym nie koniec, musiałeś jeszcze posunąć koleżankę Ani, a teraz chcesz być szczerzy?

– Cóż, nastąpił koniec jakiegoś etapu. Jednego z wielu, który doprowadził mnie aż tutaj, pora na zmiany. Zakochałem się w Klaudii. Od teraz zamierzam być monotonny, mieć tylko jedną kobietę.

– Mówi się monogamiczny, choć w twoim przypadku to synonimy.

– Monogamista w Warszawie – mówi i wykonuje ręką taki gest, jakby czytał widniejący nad nim napis. – Dobry tytuł dla miłosnej historii, nie?

Dokładnie w tym momencie wraca Klaudia.

– Proszę bardzo, nasze piwa – stawia na ławce tacę z trzema piwami.

– Nie ma mojej coli... – Gruby patrzy na nią zdumiony.

– Rzeczywiście, przepraszam. Pójdę wymienić, dobrze? – Klaudia udaje, że się pomyliła. Nie chce dać po sobie poznać, że właśnie spełniła ciche pragnienie Grubego.

– Nie, nie, to nawet lepiej – odpowiada Gruby, a w jego oczach widać wdzięczność.

– Dzięki temu wszyscy troje będziemy mogli wznieść toast – mówi Klaudia.

– Za co? – Patrzę na nią skonsternowany.

– Za przeznaczenie, które nas tutaj przywiodło. Spotkaliśmy się na skutek różnych zbiegów okoliczności, szukamy po Polsce dziewczyny, która jest zaręczona z jakimś blondynem, i z pozoru sprawa wydaje się przegrana. Ale uważam, że przeznaczenie można zmienić, każdy dzień jest inny, trzeba walczyć o zwycięstwo. Jesteś budowniczym własnego szczęścia, bo każdy dzień jest twój...

Patrzę na nią zaskoczony. Serce bije mi jak oszalałe, targają mną silne emocje.

– Co powiedziałaś?

– Pomyliłam coś po włosku? Że każdy dzień jest twój.

– Te słowa powtarzał mi tata.

– W takim razie podzielam jego zdanie.

Z impetem stukamy się plastikowymi kubkami, o mało nie rozlewając piwa na ziemię. Nagle zamiast płakać, chce mi się śmiać.

– Masz rację, każdy dzień jest mój. Przynajmniej warto spróbować, prawda? Co najgorszego Ania mogłaby mi powiedzieć?

Moi przyjaciele wymieniają się spojrzeniami i odpowiadają chórem:

– Nic!

Gruby opróżnia kubek jednym haustem i wrzuca go do kosza na śmieci.

– Jeśli to prawda, że aby wygrać, trzeba grać... Co wy na to? Damy nauczkę temu dzieciakowi? – Wskazuje głową plac zabaw, bierze Klaudię za rękę, ona sięga po moją dłoń i biegniemy we trójkę w stronę toru.

– Tym razem wsiadam do elfa! – krzyczy Gruby.

– Ja do dyni!

– Dobra, dla mnie gąsienica – mówię, śmiejąc się jak dziecko.

Rozglądam się. Nigdzie ani śladu Befany, święto się jeszcze nie skończyło.

Nie liczcie na porządną kąpiel, jeśli dzielicie pokój z osobą zakochaną. Zwłaszcza zakochaną po raz pierwszy w życiu. Gruby zużył cały zapas żelu pod prysznic, mydła, szamponu i kremu nawilżającego. Przez chwilę bałem się, że wykończy również płyn do toalety. Uspokojony, opłukałem się tylko wodą i zrobiłem wszystko, by nie spóźnić się na wyznaczone zebranie.

O szesnastej spotykamy się we trójkę w hotelowym lobby. Gruby pachnie jak kadzidło, tylko kobieta po amputacji nosa byłaby w stanie znieść tę woń. Zasiadamy na tych samych co ostatnio kanapach pod telewizorem. To nasza baza operacyjna, centrum dowodzenia. Para staruszków, których widzieliśmy poprzedniego dnia, zeszła do holu kilka minut po nas i teraz patrzą na zajęte miejsce z mieszaniną zazdrości i rozczarowania. To również ich centrum dowodzenia – pilotem – ale Klaudia wyłącza ostentacyjnie telewizor, nie pozostawiając im złudzeń. W ułamku sekundy malująca się w oczach starszej pani zawiść zmienia się w nienawiść.

– Jeśli nadal będziemy się tu spotykali przy otwartym komputerze i ze stertą notatek, pomyślą, że szykujemy jakiś zamach. Nie zdziwiłbym się, gdyby za chwilę wpadła tu grupa antyterrorystów i nas aresztowała – zauważam, podchwytyjąc nieufne spojrzenie pary staruszków.

Gruby się śmieje. Jego można by zamknąć za sam zapach, który roztacza.

– Tak jak załatwili Kima Dotcoma! Powiedz im, że nie handlujemy pirackimi nagraniami, jesteśmy po prostu zakochani... To znaczy ty jesteś! – W obu przypadkach minął się z prawdą: on handluje pirackimi nagraniami i obaj jesteśmy zakochani, choć z tego stwierdzenia się wycofał. Wygląda na to, że mój kumpel, który nigdy nie tracił rezonu, teraz stracił i rezon, i kontrolę nad sobą. Emocje buzują w jego żołądku i znajdują ujście w postaci nieprzemyślanych słów, którym chciałby nadać o wiele prostsze znaczenie. „Ja-cię-kocham”. Nad naszym stolikiem zapada niezręczna cisza zdominowana mieszanką zapachów, którą emanuje Gruby. Ta woń zabiłaby każdego, ale może to właśnie ona trzyma przy życiu leciwą miłośniczkę telewizji siedzącą

przy sąsiednim stoliku.

By pokryć zakłopotanie, Gruby sięga po czipsy do na wpół opróżnionej miseczki, która stoi przed nami.

– Nie jesteś na diecie? – żartuję, by pomóc mu odzyskać rezon.

– Byłem do wczoraj! Każdy dzień jest inny, prawda? Poza tym umieram z głodu po tym piwie, które wypilem praktycznie na pusty żołądek. Przecież ona nie pozwala nam tknąć jedzenia, jeśli nie jest bio-termodynamiczne!

– Każdy decyduje za siebie – komentuje Klaudia. – Masz prawo jeść nawet te czipsy, choć to resztki po poprzednich klientach. Mogli mieć brudne ręce albo napluć do środka.

Wie, jak osiągnąć zamierzony efekt i jak utrzymać Grubego w ryzach. Mój przyjaciel z obrzydzeniem wrzuca czipsy do miseczki.

Klaudia wyjmuje ze swojej czarnej skórzanej aktówki plik kartek.

– To nasza ostatnia broń.

– O nie, wniosek o udział w jednym z tych telewizyjnych show, które oglądała moja mama, gdy byłem mały, jak *Stranamore*, w którym rozpaczam z jej powodu...

– To kontrakt dotyczący reklamy, do której chcą wziąć Anię... Musimy posłużyć się nim w kreatywny sposób... – mówi zamyślona.

Gruby zerka przez ramię na kontrakt, choć wiadomo, że nie ma bladego pojęcia o języku, w którym jest napisany.

– Mogę zobaczyć? – pyta.

Klaudia podaje mu dokumenty. Odkąd udało jej się utrzymać go z dala od tłuszczów nasyconych, patrzy na niego łaskawym okiem.

– Tu jest napisane po angielsku *wedding dress*! Chodzi o reklamę sukien ślubnych! – wykrzykuje Gruby z satysfakcją, po czym patrzy na mnie i rozkłada ręce w przeproszającym geście. – Widzisz? Nic nie powiedziałem... Nawet się nie zająknąłem o M...

– M... może lepiej, żebyś już nic więcej nie mówił – wpadam mu w słowo.

– Mamy produkt i modelkę, ale klient prosi nas o wybranie lokalizacji. Miejsce ma być efektowne, sugestywne i jednocześnie dzikie – informuje nas Klaudia, przeglądając notatki.

Zaczynamy rzucać pomysłami, rozważać za i przeciw, torpedować lub popierać nawzajem swoje propozycje i wkrótce nasz plan się krystalizuje, jak przy układaniu puzzli, gdzie każdy dokłada swój kawałek i w końcu powstaje spójna całość.

– Dobrze, mamy już sposób, by przyciągnąć uwagę Ani. Co z miejscem?

Tym razem Gruby, który na myśl o ślubie zawsze dostawał alergii, doznaje olśnienia.

– A Morskie Oko? Z pewnością niezapomniane, dzikie i sugestywne!

– Widowiskowe! – Śmieję się.

– Nieźle. – Klaudia kiwa z zadowoleniem głową. – Klimaty jak w *Rzece bez powrotu*.

– Z Anią w roli Marilyn – rozmarzam się.

– Byle Marek cię nie ukatrupił... – wtrąca swoje trzy grosze Gruby.

– Czy mi się wydawało, czy wspominałeś, że nawet się nie zająkniesz na temat M... – W moim głosie słychać groźbę.

Klaudia zdecydowanie kończy dyskusję, projekt zdobywa jej aprobatę. To, że mamy plan, którego możemy się trzymać, wyraźnie dodaje jej skrzydeł. Zbiera notatki i umowę i chowa je do aktówki.

– Młodzi z różnych stron Polski przyjeżdżają w góry, by wziąć ślub. Sama byłam na weselu w Morskim Oku, ale bez obaw, Nicco, wszyscy wracają cali i zdrowi. – Sprawdza Google Maps na iPadzie. – Stąd jest trochę ponad sto kilometrów, jakieś dwie godziny jazdy samochodem.

– A suknia ślubna?! – wykrzykuje Gruby.

Rozbawiona Klaudia kręci głową. Naiwność mojego kumpla ją rozbija.

– Jeszcze nie teraz, dopiero podczas zdjęć.

– Szkoda, przez chwilę wierzyłem w szczęśliwe zakończenie.

– Tak czy inaczej, gratulacje, chłopaki – dodaje, chowając iPada do plecaka. – Prawdziwa burza mózgów, miałam wrażenie, że jestem w agencji i pracujemy nad nową kampanią.

– Rozumiem, że jeśli nam się nie powiedzie, zawsze możemy liczyć na pracę w twojej firmie.

– Teraz musimy zadzwonić do Ani i sprawdzić, czy akceptuje warunki umowy.

Klaudia sięga po telefon i przegląda listę kontaktów. Po kilku sekundach klepie się dłonią w głowę.

– Cholera! Zapomniałam wpisać jej numer telefonu. Dziś sobota i nikogo nie ma już w biurze... Tylko Ela może mnie uratować!

Gruby patrzy na nią zboląłym wzrokiem, kiedy szuka numeru asystentki. Chciałby mieć ją całą dla siebie. Ledwie się znają, on nigdy nie był zazdrosny, ale teraz, gdyby to od niego zależało, zamknąłby ją w szklanej klatce i pokazywał jak świętą tylko najwierniejszym pielgrzymom.

– Ja mam jej numer. – Wyjmuję z kieszeni spodni kartkę.

– Skąd go masz? – pyta zaciekawiony Gruby.

– Ona mi dała.

– Dopiero teraz nam to mówisz?! – wykrzykują jednocześnie Klaudia i mój kumpel. Czyżby naprawdę byli dla siebie stworzeni?

– I tak pewnie odbierze ten blondyn. – Wzruszam ramionami.

– Chyba nie dała ci numeru telefonu, żebyś zaniósł jej zakupy do domu, prawda? – Mój przyjaciel optymista próbuje podtrzymać mnie na duchu.

Klaudia zdecydowanym ruchem wyjmuję mi karteczkę z ręki i wybiera numer. Przykłada aparat do ucha. Kręci głową.

– Zajęte.

Oczami wyobraźni widzę Anię, jak rozmawia z mamą Marka, z siostrami Marka, z wujkami Marka, planują wspólne wakacje, są jedną wielką rodziną jak z reklamy makaronów Barilla lub herbatników Mulino Bianco.

Klaudia obraca w ręku karteczkę, czekając na jakiś przełom w naszej sprawie, coś, co pomoże nam osiągnąć cel, na połączenie telefoniczne. Nagle otwiera szeroko oczy.

– Zapisała ci numer na bilecie z rzymskiego metra. Zatrzymała go na pamiątkę – mówi z entuzjazmem.

Przyglądam się karteczce. Kiedy chowałem ją do kieszeni, byłem zbyt przejęty, by zwrócić uwagę, co to takiego. Odczytuję datę stempla.

– Tego dnia pojechaliliśmy razem na plac Hiszpański!

– Pamiętasz dokładnie datę? – Klaudia nie może się nadziwić.

Przez moment jest mi wstyd. Czuję się jak bohaterka dziewiętnastowiecznej powieści, z tych, które umierały na końcu na zapalenie płuc. Ale nie ma sensu ukrywać przed tą dwójką emocji.

– Mam zakodowaną w głowie każdą chwilę z nią spędzoną, minuta po minucie.

– Jakie to słodkie! – wykrzykuje wzruszona Klaudia.

– A ja jestem tak głodny, że bym cię zjadł – szepcze mi do ucha Gruby i udaje, że wgryza się w moją głowę.

Daję mu kuksańca w bok, podczas gdy Klaudii udało się wreszcie dodzwonić do Ani i ustala z nią szczegóły projektu.

– Chciałabym, żebyś pojechała ze mną zobaczyć miejsce, w którym będzie kręcona reklama... – Rozłącza się. – Dobra, chłopaki, zbieramy się. Wszelkie komentarze i uwagi zostawcie na później, nie mamy czasu do stracenia.

Wyobrażam sobie, że starsza pani, miłośniczka telewizji, wznosi dziękczynne modły do Pana Boga. Potem szturcha swojego męża, który tymczasem zasnął.

– Poszli już! Telewizor jest nasz! – Jak błyskawica zajmuje miejsce na brązowej kanapie.

30

Po tym jak ustaliliśmy wszystkie szczegóły naszego planu, ruszyliśmy na przechadzkę po Krakowie. Około dwudziestej w barze przy rynku kupiliśmy wysmienite kanapki, ale Klaudia i Gruby zjedli prawie wszystkie. Nie byłem głodny i wróciłem do hotelu.

Leżę teraz wyciągnięty na łóżku.

Kiedy zabrałem Anię do Muzeów Watykańskich, by pokazać jej Kaplicę Sykstyńską, pamiętam, jak zaskoczyła mnie jej reakcja. W ogóle nie czuła się przytłoczona ogromem, pięknem, delikatnością, a zarazem gwałtownością tych malowideł, które pozbawiają oglądającego tchu. Nie miała poczucia zagubienia, które zawładnęło mną na widok *Sądu Ostatecznego* Michała Anioła czy dwóch palców, które niemal się dotykają w *Stworzeniu Adama*, a zwykły człowiek czuje się wtedy taki malutki. Nie, ona zadarła głowę i obejrzała dokładnie każdego cherubinka, aniołka i fresk, a potem powiedziała, że gdyby miała taki sufit, nigdy nie śniłyby jej się koszmary. Nie pomyślałem wtedy, by spytać ją, jakie koszmary może mieć taka dziewczyna jak ona, czego się lęka. Wydawało mi się, że dwudziestolatka na wakacjach w Rzymie nie powinna się niczego obawiać. Że jest niepokonana.

Teraz wpatruję się w ciemny sufit hotelowego pokoju w Krakowie. Nie ma żadnego świętego, który zerkałby na mnie z góry, tylko witrażowa lampa w stylu Tiffany'ego rzucająca cień i spowita bladym ulicznym światłem wpadającym przez szpary w żaluzjach. Przy odrobinie wyobraźni można by uznać, że to kwitnący ogród otoczony pochodniami. Albo głowa królowej w koronie wysadzanej diamentami. Przypomina mi to zabawę, w jaką bawiono się z Valerią, gdy była mała: pokazywano jej kartkę usianą kolorowymi plamkami, a ona musiała powiedzieć, jaki rysunek jest w nich ukryty. W rzeczywistości nie była to żadna zabawa, tylko metoda szkolnego psychologa, którą posłużył się, by zbadać przyczyny jej agresji. Valeria w lot zrozumiała, o co chodzi, i nawet na widok prostej kreski opisywała broń, sceny wojenne, wybuchy. Bawiło ją, że przyprawia o ból głowy psychologa,

swoją wychowawczynię i szkołę. Tylko tata nigdy nie bał się o Valerię, nawet jeśli miała koszmary i wrzeszczała w środku nocy, jakby obdzierano ją ze skóry.

Gdybym zaczął teraz krzyczeć, wzywać pomocy, by ocalić samego siebie przed siedmiogłowym potworem, który chciałby mnie zabić, nikt by mnie nie usłyszał. Gruby, śpiący na sąsiednim łóżku, chrapie tak głośno, że niewiele brakuje, a w oknach zaraz zaczną drżeć szyby. Choć wyglądają na podwójne, z grubego szkła, takie, które zatrzymują każdy hałas dochodzący z zewnątrz.

Jednak przyczyną mojej bezsenności nie jest Gruby, który co jakiś czas wierci się w wielkim łóżku jak dziecko. Zostawiłem go z Klaudią w lobby i poszedłem do pokoju, bo chciałem uporządkować myśli. Kiedy wrócił i spytałem go, jak mu poszło, nie odpowiedział. Rzucił się na łóżko, odwrócił plecami i zasnął w ułamku sekundy. Niektórzy z miłości nie mogą spać, ale nie Gruby. Zbyt dobrze go znam i wiem, że w niektórych aspektach nigdy się nie zmieni.

Zastanawiam się, czy nie jest zwykłą iluzją, kiedy wydaje nam się, że możemy zmieniać ludzi albo mieć wpływ na bieg wydarzeń. Może naprawdę istnieje przeznaczenie, które kroczy własną ścieżką? Nigdy w nie nie wierzyłem. Od dziecka uważałem to słowo za złowrogie. Wierzyłem, że jestem niepokonany, jak Ania na wakacjach w Rzymie, bez skaz i lęków. Wszechmocny.

Ta wiara została mi odebrana, kiedy zachorował tata. Byłem przekonany, że wszystko da się naprawić. Kiedy leżał w szpitalu, wstawałem wcześniej rano, wsiadałem na skuter i jechałem się z nim przywitać. Potem pędziłem do szkoły, po szkole do domu, uczyłem się, grałem w nogę i znowu wracałem do szpitala, by trochę z nim pobyc. Kiedy pora odwiedzin dobiegała końca, szedłem na kolację z Alessią, Grubym lub spotykałem się z kolegami. Następnego ranka znowu u niego byłem. Z każdym dniem stawał się bledszy, szczuplejszy, ale ja nie chciałem tego widzieć. Czułem, że wszystko jest w moich rękach, że wystarczy, że będę dobrze się zachowywał, a lekarze znajdą sposób, by go wyleczyć, że tata wróci do domu i będzie pomału wracał do zdrowia. Będziemy się śmiali na wspomnienie dni spędzonych w szpitalu, kiedy musiał znosić nudne wywody pacjenta leżącego na sąsiednim łóżku o korupcji w urzędach państwowych. Co ciekawe, ten człowiek regularnie podkradał mojemu tacie piankę do golenia i żyletki. Podarowałbym mu całe

pudełko pianek do golenia albo maszynkę elektryczną i zapomnielibyśmy o ośrodkach pomocy społecznej i agendach mienia państwowego, w których wszyscy okradają się nawzajem. Wszystko zaczęłoby się od nowa, poszlibyśmy na mecz, do kina, na pizzę, na Boże Narodzenie pojechalibyśmy do ciotki, a latem do Fregene na ryby. Jednak machina niespodziewanie stanęła w miejscu. Życie gwałtownie się urwało. Zabrano mi go bez uprzedzenia.

Zastanawiałem się, gdzie popełniłem błąd, gdzie się pomyliłem, czego zabrakło, ponieważ głęboko wierzyłem, że moja miłość może go ocalić. Że to wystarczy. Że miłość zmienia świat.

Gdyby tak było, wystarczyłaby miłość do Klaudii, by zrobić z Grubego angielskiego dżentelmena. By machnięciem ręki usunąć z życia Ani Marka z tymi jego napompowanymi mięśniami. By zrobić z Bato człowieka uczciwego i szczerego wobec innych, prawdziwego przyjaciela. Czasami wystarczyłoby jedno słowo, by ogrzać czyjeś serce. A może to wszystko jest iluzją?

Jednak ja chcę w to wierzyć. Sięgam po komórkę i piszę SMS-a:

„Cześć, u mnie wszystko w porządku. Dobrze się bawię, wracam niebawem. Kocham Cię. Dobranoc, Mamo”.

Nic mnie nie kosztuje powiedzenie jej, że ją kocham. Choć wiem, że jej życie się nie zmieni, co się stało, to się nie odstanie, bezpowrotnie straciła swojego ukochanego, ale mam nadzieję, że dzięki tej wiadomości nie będzie czuła się samotna. Wyobrażam ją sobie, jak podskakuje na sygnał otrzymanego SMS-a. Ma komórkę od lat, ale wciąż nie przyzwyczała się, że aparat od czasu do czasu wydaje dźwięki. Już świta, mama wcześniej wstaje, pewnie szykuje śniadanie, zaraz włączy telewizor i obejrzy powtórkę jakiegoś melodramatu, których jest wielką fanką. Uważaj, mamo, chciałbym jej powiedzieć, żebyś przypadkiem nie stała się jak ta starsza pani z hotelu, która zamiast zwiedzać miasto, cały dzień siedzi przed telewizorem. W międzyczasie mama przeczyta moją wiadomość i ucieszy się, że nie zrobiłem żadnej literówki ani nie użyłem żadnego skrótu w tekście. Nie znosi tego. Potem odpisze mi, że skoro ja jestem szczęśliwy, to ona również. Wiem, że to nieprawda, że wolałaby zestarzeć się jak tych dwoje turystów z dołu i wałkonić się przed telewizorem razem z tatą. Ale oboje będziemy spokojniejsi.

Po nocnych rozmyślaniach dochodzę do wniosku, że w pewnych sprawach nic nie można zrobić, w innych należy spróbować. Nie wiem, jakie jest moje cholerne przeznaczenie, ale wiem, że historię moją i Ani chcę napisać sam. Pragnę spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że ją kocham. Przeżyć tę chwilę szczęścia bez względu na to, jak długo miałyby trwać.

Patrzę w sufit. Teraz cień rzucany przez żyrandol przypomina mi karuzelę z aniołkami, które trzymają się radośnie za ręce. „Gdybym miała taki sufit, nie śniłyby mi się koszmary”, powiedziała Ania.

Wreszcie zasypiam, mimo głośnego chrapania, które dochodzi z sąsiedniego łóżka. Śni mi się, że siedzę na karuzeli, na krzeselku zawieszonym na łańcuchach, i ktoś je popycha, a ja szybuję wysoko w niebo. Wreszcie widzę, kto to jest. Mój tata. Woła: „Nie bój się, Nicco, leć!”.

31

Schodzę do jadalni i widzę moich przyjaciół, jak pałaszują śniadanie.

– Ranne ptaszki z was, co?

Klaudia w gryza się w śliwkową tartę.

– Poszłam biegać, robię to codziennie, o ile nie pada.

Gruby smaruje tost masłem.

– Ja nigdzie nie byłem, ale śniło mi się, że biegam. We śnie biegałem przez półtorej godziny, strasznie zgłodniałem!

Biorę talerz i idę do bufetu. Czego tu nie ma! Wszystkie produkty są ładnie ułożone i wyglądają bardzo apetycznie, nawet asceta by się skusił. Nakładam sobie jajka, bekon i plasterk żółtego sera, kładę dwie kromki tostowego pieczywa na maszynce do podgrzewania i wciąż zaspany, przyglądam się, jak suną do jej wnętrza po rozgrzanych prętach, znikają w środku, by po chwili wypaść z drugiej strony. Ponieważ najbardziej smakują mi tosty przypalone, znowu wkładam je do podgrzewacza i raz jeszcze obserwuję całą operację.

Biorę jeszcze pojemniczek z masłem i kieruję się do stołu z sokami owocowymi. Z lodowatej karafki nalewam do dużej szklanki sok z pomarańczy.

– Dobrze spałaś? – pytam Klaudię, siadając naprzeciwko niej.

Patrzy na mnie zaciekawiona.

– Owszem, dobrze, jestem spokojna o tę sprawę z Anią. W końcu odpowiedzialność za jej powodzenie spoczywa w twoich rękach...

– Ach, jasne! Dzięki! – mówię z wymuszonym uśmiechem.

Upija łyk kawy i wyciera usta serwetką.

– Przeważnie, kiedy czeka mnie jakieś ważne wydarzenie, dzień wcześniej nie mogę zasnąć. Mam tak od zawsze. Przed każdym egzaminem na uniwersytecie miałam za sobą bezsenłą noc, bezskutecznie przewracałam się w łóżku z boku na bok. Wam nigdy się to nie zdarzyło?

– Oczywiście, że tak! Pamiętam, że kiedyś Fabiola dała mi łagodny proszek nasenny w przeddzień egzaminu pisemnego z... cholera, nawet nie pamiętam, z jakiego przedmiotu... Nieważne. Tabletki podziałały na mnie tak, że przez całą noc nie zmrużyłem oka, a na egzaminie o mało nie zasnąłem!

Sięgam po filiżankę kawy, którą kelnerka przed chwilą napełniła.

– Smacznego – mówi, odchodząc od naszego stolika.

– Dla ciebie też – odpowiadam, a Klaudia się śmieje. Chyba coś źle powiedziałem.

Gruby odgryza wielki kęs ciasta i jednym haustem opróżnia szklankę soku.

– Przejrzałeś list?

– Podarłem go na drobne kawałki – mówię do Klaudii. – Wolę improwizować... Ogólną koncepcję mam w głowie, przeczytałem go z milion razy, wiem, czego chcę, zobaczymy, co się stanie.

Klaudia kiwa głową, ale nie wiem, czy aprobuje moją decyzję.

Kiedy widzi, że skończyliśmy jeść, wstaje od stołu.

– No dobrze, zbieramy się!

Idziemy za nią, jest dla nas oczywiste, że to ona dowodzi. Wchodzimy do pokoi, myję zęby, pakuję walizkę, sprawdzam w szafach, szufladach i łazience, czy niczego nie zapomniałem, i schodzę na dół. Gruby i Klaudia są gotowi do drogi.

– W takim razie, zegnamy się – mówię.

– Tak.

Plan jest taki, że na razie Klaudia spotka się z Anią sam na sam.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa.

– Hej, nie patrz tak na mnie, przecież nie lecimy w kosmos – mówię do Klaudii.

– Masz rację... – Śmieje się. – Pomyśl, jak to będzie, kiedy będziemy musieli pożegnać się na dobre.

– Pożegnać się? – Gruby markotnieje. – Kiedy? Nie mówiłaś, że chcesz nas zatrudnić?

Klaudia przysuwa się do niego i całuje go w policzek.

– Uważaj... nie igraj z ogniem, bo się oparzysz.

– Przydałoby się, jestem zmarzluchem. Potrzebuję płomieni, by się ogrzać... Zadbasz o to?

Klaudia unosi brwi, zdumiona jego zuchwałością, i kieruje się do wyjścia, gdzie czeka na nią wynajęty przez nas samochód, pomarańczowe suzuki gran vitara. Oczywiście wybrał go Gruby. Klaudia spogląda na nas po raz ostatni i odjeżdża. Odprowadzamy wzrokiem auto, które po chwili znika za zakrętem. Wchodzę do holu, by zapłacić za nasz pobyt, ale mój przyjaciel mnie powstrzymuje.

– Już zapłaciłem, wezwijmy taksówkę.

Piękne słońce wysoko na bezchmurnym niebie zachęca do wyjścia na dwór. Stoimy przed hotelem. Najpierw mija nas chłopak na rowerze, a za nim dwóch mężczyzn w średnim wieku w dresach biegnie w stronę parku po drugiej stronie ulicy.

– Jak ci idzie? – pytam.

– Co?

– Spotkania na szczycie Polska–Włochy. Hej, obudź się! Pytam o Klaudię!

– W porządku. – Wzrusza ramionami.

– Co to znaczy „w porządku”?

– Nie wiem, nic z tego nie rozumiem.

– Czego?

– Nie rozumiem samego siebie, po raz pierwszy w życiu. Wczoraj przez cały wieczór gadaliśmy. Opowiadała mi o tym, jak w dzieciństwie przyjechała do Włoch odwiedzić krewnych i spędziła u nich Boże Narodzenie, o dziadku, który przebierał się za Świętego Mikołaja, o rodzicach taszczących dla wszystkich prezenty z Polski, o kuzynach, którzy nie mogli się doczekać, kiedy będą mogli je otworzyć...

– Wydaje mi się, że to dobrze, podzieliła się z tobą intymnymi momentami ze swojego życia, nie sądzisz? Ty też jej o sobie opowiedziałeś?

– Zwariowałeś! Nie mogłem powiedzieć, że nielegalnie ściągam mnóstwo rzeczy z sieci, którymi handluję na czarnym rynku. Albo że zamknęli mnie trzy razy za akty wandalizmu... Starłem się pokazać z jak najlepszej strony.

– I jak? Udało ci się? Nie rozumiem, w czym problem.

– We mnie! Najdziwniejsze jest to, że wczoraj wieczorem nie próbowałem zaciągnąć jej do łóżka! Dowiedziałem się nawet, że jest singielką, z nikim się nie spotyka. Szaleństwo, co nie? Objąłem ją, by pocałować na dobranoc, i...

– I?

– I pocałowałem ją na dobranoc. Koniec.

– Jak miło. Tak robili moi rodzice.

– Jaja sobie ze mnie robisz? Powinienem był wziąć ją w ramiona, zanieść do pokoju i posuwać przez całą noc! Tymczasem nic z tych rzeczy. Niewiele brakowało, a zaczęlibyśmy śpiewać razem świąteczne piosenki.

Wybucham śmiechem, wyobrażając ich sobie, jak intonują *White Christmas*.

– Mentalny impotent ze mnie. – Gruby jest niepoczony.

– Kolacja u Venanzia i Tomka nie ma z tym nic wspólnego? – Patrzę na niego skonsternowany.

– W jakim sensie?

– No, że trochę się zasugerowałeś...

– Co ty wygadujesz! Oszalałeś? Chodzi o to, że ponieważ nie przespałem się z nią od razu, mam wrażenie, że znalazłem się w jakiejś absurdalnej patowej sytuacji.

– Rozumiem cię. Znalezienie się w kategorii „przyjaciel kobiet” jest bardzo niepożądane. Po pewnym czasie człowiek zaczyna się w tym wszystkim gubić, zachowujesz się jak prawdziwy kumpel, co do niczego nie prowadzi. Wracasz do domu i wyzywasz samego siebie od idiotów. Byłem kiedyś w takiej sytuacji. Pamiętasz Carlottę? Bardzo mi się podobała. Spotykaliśmy się codziennie i gadaliśmy... Kurwa, ile my gadaliśmy!

– Jasne, że ją pamiętam. Dlaczego przestaliście się spotykać?

– Bez powodu, po prostu stało się. Nie dzwonił się któregoś dnia, potem kolejnego, i tak już zostało. Nie dostałem od niej nawet SMS-a. Nigdy więcej jej nie widziałem.

– Co za smutna historia. – Gruby aż klasnął z niedowierzania.

– Tak jak *Kiedy Harry poznał Sally* bez happy endu.

– Oni przynajmniej się bzykali!

– Racja, natomiast ja z Carlottą nigdy... Chciałem tylko pokazać ci, jak czasami pracuje nasz mózg, jest zagubiony, niezdolny zrobić kroku w przód lub w tył, działa na oślep. Tak, magia miłości polega również na tym!

– Nicco, najwyższy czas, żebyś przestał zajadać czekoladki Baci Perugino, a przynajmniej przestał czytać, co jest napisane na papierkach, to nie będziesz opowiadał takich głupot! – mówi Gruby w momencie, gdy przed hotel podjeżdża nasza taksówka.

– Dzień dobry – mówi. Wyjmuje karteczkę zapisaną przez Klaudię i czyta taksówkarzowi: – Centrum handlowe Zakopianka, poproszę.

Taksówka natychmiast rusza.

– Wczoraj Klaudia opowiedziała mi mnóstwo historii, między innymi o Wandzie...

– Kto to jest Wanda?

– Wanda, co nie chciała Niemca. Taka legenda o miłości...

– A tak, przecież już nam o tym opowiadała. Chyba coś ci się stało w głowę!

– Dobra, dobra... Tak czy inaczej, kiedy o tym wspomniała, zaczęła chichotać. Moim zdaniem był w tym jakiś podtekst...

– Jaki podtekst, Gruby! Opowiedziała ci legendę!

– Tak, ale chichotała...

Gdy ktoś chce interpretować czyjeś słowa według własnego uznania, nic nie można na to poradzić.

Cokolwiek powiedziałyby mu Klaudia, Gruby i tak zrozumiałby ją po swojemu. Kobiety przeważnie wypaczają sens słów, które słyszą od mężczyzn. Nie ma nic piękniejszego niż kochać i czuć się kochanym bez względu na wszystko, o ile ta druga osoba oczywiście odwzajemnia twoje uczucia!

Problem w tym, że ludzie pewne sprawy rozumieją zbyt późno, miłość jest ślepa i pozwala nam zobaczyć tylko to, co uważa za stosowne nam pokazać.

– Jesteśmy na miejscu.

Gruby płaci taksówkarzowi. Ewidentnie jest w nastroju do stawiania

wszystkiego wszystkim. Wsiadamy, zabieramy nasze bagaże i stajemy na chodniku przed wielkim centrum handlowym.

– Na pewno przywiózł nas we właściwe miejsce?

– Tego by tylko brakowało, żeby się pomylił... Byłby ubaw, gdybyśmy czekali na próżno pod złym adresem.

– Rzeczywiście, ubaw po pachy!

Gruby ma czasami osobliwe poczucie humoru, myślę, kiedy mój kumpel wyjmuję z plecaka złożony na pół karton. Biorę go do ręki, otwieram i czytam napis.

– Jest czytelny, prawda? – pytam.

– „Morskie Oko”! Wiadomo, o co chodzi.

– Teraz musisz tylko wystawić kciuk, by złapać stopa, a jeśli to nie pomoże, odsłonić udo, jak w tym filmie *Ich noce*. Kiedy Clark Gable chce zatrzymać samochód, nikt nie staje, wystarczy jednak, by jego partnerka, Claudette Colbert, wystawiła nogę, a pierwszy nadjeżdżający samochód oferuje im podwózkę.

– Znając moje szczęście, zatrzyma się para gejów! – Gruby chichocze.

Ale kiedy tak stoimy na chodniku i dyskutujemy, podjeżdża samochód. Siedzą w nim mężczyzna i kobieta. On otwiera okno i mówi:

– Też tam jedziemy, będziemy świętowali trzydziestą rocznicę ślubu. Wskakujcie, podwieziemy was!

Widzi, że ni w ząb nie rozumiemy, co mówi.

– Wsiadajcie, podwieziemy was!

– Nie, dzięki... – odpowiadamy jednocześnie, zerkając kątem oka na nadjeżdżające samochody.

Składam tekturę i próbuję jakoś wybrnąć z sytuacji.

– To taki żart, przepraszamy...

Mężczyzna wzrusza ramionami, zamyka okno i odjeżdża, mówiąc coś do żony. Pewnie, tylko idiotów trzymają się takie żarty.

Nagle widzę nadjeżdżające pomarańczowe suzuki. Za kierownicą siedzi Klaudia, a obok niej Ania. Rozmawiają o czymś rozbawione, a kiedy nas

zauważają, Klaudia udaje, że nas nie zna.

– Oni też jadą do Morskiego Oka – mówi. Skaczemy jak kretyni, wymachując napisem. – Może ich podwieziemy, jak myślisz? Wyglądają sympatycznie.

– Znam ich. Są bardzo mili – odpowiada Ania.

32

Samochód zatrzymuje się przed nami. Bez problemu wchodzimy w rolę autostopowiczów. Wiem, że to moja ostatnia szansa.

– Cześć, Aniu! Co za niespodzianka!

– Jesteście Włochami? I znacie moją koleżankę? Co za fantastyczny zbieg okoliczności! – Klaudia gra jeszcze lepiej niż my. Takiego aktorstwa nie powstydziałaby się sama Meryl Streep.

– Tak, jesteśmy na wakacjach, chcieliśmy zobaczyć Morskie Oko. Tak przy okazji, ja jestem Nicco, a to Gruby.

Wymieniają z Klaudią uścisk dłoni jak ludzie, którzy właśnie się poznali. Wkładamy nasze torby do bagażnika. Ania postanawia usiąść ze mną z tyłu, oddając miejsce z przodu Grubemu. Samochód włącza się do ruchu, a my nadal gramy nasze role.

– Jak długo jesteście w Polsce? – pyta Klaudia.

– Parę dni, wcześniej byliśmy w Warszawie – odpowiada bez mrugnięcia okiem mój przyjaciel.

– Podobało wam się? Pracuję w Warszawie, więc jeśli jeszcze kiedyś tam będziecie, dajcie znać, pokażę wam fajne miejsca.

Prowadzą dalej tę niezobowiązującą rozmowę, bawi ich udawanie, że dopiero przed chwilą się poznali. Gruby potrafi wykorzystać każdą sytuację i obrócić ją na swoją korzyść.

– Klaudia, tak masz na imię, prawda? – upewnia się.

Dziewczyna uśmiecha się i patrzy na niego z ciekawością.

– Zgadza się. Ty jesteś Gruby, tak?

– Tak.

– Dlaczego tak cię nazywają?

– Mam na imię Domenico.

– A co ma Gruby do Domenica?

– Cóż... przezywano mnie tak w liceum, bo byłem troszkę większy niż teraz. Ale ponieważ od tamtej pory ani razu nie powtarzałem klasy, choć nie uczyłem się najlepiej, uznałem, że to przezwisko przynosi mi szczęście, i postanowiłem je zatrzymać. Powiedzieć ci coś dziwnego?

– Co takiego?

– Mieszkasz na drugim końcu Europy, z pewnością twoje życie diametralnie różni się od mojego, a jednak wydaje mi się, że znam cię bardzo długo.

– Naprawdę? – Klaudia stara się nie odrywać wzroku od drogi, zerka tylko kontrolnie na Anię w lusterku wstecznym, sprawdzając, czy nie przejrzała naszego planu.

– Tak. Niech zgadnę... Jesteś superzorganizowana, kreatywna, pracujesz w agencji modelek... Nie, nie... w agencji reklamowej!

– Zgadza się. Skąd wiedziałeś? Masz nadprzyrodzone zdolności?

Patrzą na siebie roześmiani.

– Gruby w ogóle się nie zmienił! – mówię do Ani. Napawam się jej widokiem, patrzę na twarz, zarys ust, jej profil, chciałbym napatrzeć się na zapas, jeśli sprawy nie potoczą się po mojej myśli.

– To prawda...

– Hej, poczekaj! – krzyczę trochę za głośno. Ania podskakuje, a Klaudia chyba się boi, że wyznałem jej całą prawdę.

Uruchamiam w iPhonie aplikację symultanicznego tłumacza, dzięki czemu będę ją lepiej zrozumiał.

– Cieszę się, że cię widzę... To takie dziwne, że jedziemy wszyscy razem do Morskiego Oka... Czasami przeznaczenie płata nam figle... – mówi.

– Tak.

Przez jakiś czas milczymy. Ania uchyla okno, wiatr rozwiewa jej włosy, odsłania twarz bez śladu makijażu. Ma taki śliczny profil i delikatnie opaloną skórę. Plan obmyślony w każdym szczególe przez Klaudię jest doskonały: mam kilka godzin jazdy i jedną noc w górach, by spróbować zmienić bieg spraw.

– Dlaczego wyjechałaś tak niespodziewanie, bez pożegnania? – pytam.

Ania słucha mojego pytania, spuszcza wzrok i milczy. Wreszcie spogląda

mi prosto w oczy i zaczyna mówić, a iPhone tłumaczy jej słowa.

– Zrozumiałam, że nadal liczyła się dla ciebie Alessia, że ja byłam tylko wakacyjną przygodą.

Chciałbym, żeby ta aplikacja umiała tłumaczyć moje słowa, zanim je wypowiem, tak jestem poruszony tym, co usłyszałem.

– Tamtego ranka poszedłem do twojego hotelu, by powiedzieć ci, że jest odwrotnie, że nie byłaś dla mnie przygodą, że chciałem...

– W Rzymie jest mnóstwo cudzoziemek – przerywa mi.

– Ale żadna nie jest taka jak ty.

– A co jest we mnie takiego niezwykłego?

– Ta chwila szczęścia...

Patrzy na mnie zaskoczona, a mnie krew krzepnie w żyłach. Mam nadzieję, że iPhone nie przeinaczył moich słów. Sprawdzam tłumaczenie. Nie, wszystko w porządku.

– Od bardzo dawna nie czułem się z nikim tak dobrze jak z tobą... Ty jesteś tą chwilą szczęścia.

– Widzisz, sam to powiedziałaś... To tylko chwila. Przyjechałeś do Polski i nawet mnie nie próbowałaś znaleźć. Gdybyśmy przypadkiem nie wpadli na siebie w sklepie, a dziś rano nie zdecydowalibyście się jechać do Morskiego Oka...

Przez ułamek sekundy rozważam, czy nie wyznać jej prawdy, wyjaśnić całą sytuację, powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Jednak powstrzymuję się, patrzę na nią w milczeniu. Może nie chcę stawiać Klaudii w niezręcznej sytuacji, kiedy jest w pracy, a może mam nadzieję, że Ania znajdzie w sobie siłę, by samodzielnie wyciągnąć wnioski, by jej wybór był podyktowany przez serce i uczucie.

– Jak miałem cię szukać, nie znając numeru twojego telefonu ani adresu?

– Mogłeś spytać w hotelu.

– Nie chcieli nam go podać. Wiesz, polityka prywatności. Nawet gdybym próbował przekupić portiera stoma euro. Bardzo uczciwy facet.

Nie mówię jej oczywiście, jak ten drań Roberto dał się skorumpować i podał nam zły adres! Ale gdyby tego nie zrobił, nie spotkalibyśmy Venanzia

i Tomka, a oni nie poznaliby nas z Klaudią. Ania mnie słucha, ale w pewnym momencie wchodzi mi w słowo:

– Jak to się stało, że przyjechaliście do Polski? Nie wspomniałeś, że masz taki plan.

– Gruby chciał się zorientować, jak mógłby wejść na inne rynki.

– Wiesz, tutaj jest trochę inaczej. – Chyba rozbawiły ją moje wyjaśnienia. – Szybko by go złapali i wsadzili za kratki. Z tym nie ma żartów.

Wygląda przez okno. Nabieram najwięcej powietrza, jak się da, i zadaję jej to pytanie:

– A z tym Markiem to coś poważnego?

– Myślę, że tak – odpowiada cicho, nie patrząc na mnie.

Czuję, że świat wali mi się na głowę. Wolałbym nigdy nie zadać jej tego pytania. Ania nie dodaje nic więcej, nadal wygląda przez okno.

– Od jak dawna uważasz, że to coś poważnego? – nalegam.

– Od dawna... bardzo dawna...

Wreszcie odwraca się w moją stronę.

– Rozstaliśmy się jakiś czas temu, potem z nikim się nie spotykałam, dopiero z tobą... – Bierze moją rękę w swoją dłoń i delikatnie głaszcze. – Kiedy cię poznałam, tamta historia przestała być ważna.

– Tak, ta chwila beztroski... – odpowiadam, przytrzymując jej dłoń. Uśmiecha się, ale między nas wkrada się cień smutku.

– Spędziliśmy razem piękne dni.

Zabiera rękę i wraca do podziwiania widoków za oknem. Czuję ucisk w gardle i postanawiam odpuścić, zostawić ją samą z jej myślami. Patrzę na swoją rękę. To jej życie.

– Macie ochotę posłuchać muzyki? – pyta Klaudia i nie czekając na odpowiedź, włącza radio. W samochodzie rozchodzą się dźwięki *Sparks Coldplay*. Wspaniały kawałek, jeden z tych, które zagrali na koncercie w Rzymie. Byłem na nim z Anią. Czy ze wszystkich utworów na świecie musieli puścić właśnie ten? Co za tortura! Doskonale pamiętam tamten wieczór. Tańczyliśmy przytuleni, śpiewaliśmy ten kawałek między jednym pocałunkiem a drugim i uznaliśmy go za „naszą piosenkę”.

Ania spogląda na radio, upewniając się, że to z niego dochodzi muzyka, że się nie przesłyszała. Patrzymy na siebie i wydaje nam się, że Chris Martin śpiewa tylko dla nas. W oczach Ani pojawiają się łzy.

– Spotkaliśmy się przypadkiem w centrum handlowym niedaleko twojego domu – mówię. – Przypadkiem jedziemy razem do Morskiego Oka, a w radiu leci właśnie ta piosenka Coldplay... To nie może być przypadek, to przeznaczenie.

Cóż, rzuciłem to efektowne zdanie. Wiem, że gram trochę nie fair, ale w słusznej sprawie, jestem w stanie zrobić wszystko, by tylko ją odzyskać. Patrę na nią: jest piękna, rozmarzona, romantyczna. Każda kobieta chce widzieć znaki, coś, co pozwoli jej marzyć. Przysuwam się do niej najbliżej jak mogę i szepczę:

– Czy można walczyć z przeznaczeniem, Aniu?

– Skąd wiedziałeś, że centrum handlowe jest blisko mojego domu? – pyta.

Krew odpływa mi z twarzy, a Klaudia o mało nie zjeżdża na pobocze.

– Przepraszam... – mamrocze.

Na szczęście przychodzi mi do głowy wiarygodne wytłumaczenie.

– Robiłaś zakupy, miałaś wózek pełen produktów, po prostu tak założyłem... – odpowiadam, odzyskując kolory.

Coldplay kończy śpiewać, teraz kolej na Kiss.

– Uwielbiam ten kawałek! – wykrzykuje Klaudia, by odwrócić uwagę Ani.

Jednak ona wpatruje się we mnie poważnie. W końcu w kącikach jej ust zaczyna błąkać się uśmiech, który zaraz rozświetla całą twarz.

– Tak, to musi być przeznaczenie.

Podróż upływa nam na ożywionej rozmowie przeplatanej chwilami ciszy. W tle towarzyszy nam muzyka: Bruno Mars, Maroon 5, Pink. Wyglądam przez okno, podziwiam widoki. Siedzę obok Ani Malinowskiej i przemierzam wraz z nią zatłoczoną zakopiankę. Wiem, że to niewiele znaczy, niczego mi nie obiecywała. Ale równie dobrze mogłem jej nie spotkać. Mogła powiedzieć Klaudii, że nie jest zainteresowana tą reklamą, albo zabrać ze sobą tego mięśniaka Marka, a wtedy nasz plan ległby w gruzach. Tymczasem jestem tu z nią, ona jest sama i to jest najważniejsze.

– Muszę zadzwonić do hotelu! – przypomina sobie Klaudia i szybko wybiera numer. Rozmawia po polsku, ale wiem, co mówi.

– Dzień dobry, mówi Klaudia Józwiak, mam rezerwację i chciałabym spytać, czy macie jeszcze jeden pokój?

Gruby pokazuje dwa palce na znak, by spytała o dwa pokoje. Nie mam pojęcia, jakim cudem zrozumiał treść rozmowy.

– To znaczy dwa, czy mają państwo jeszcze dwa dodatkowe wolne pokoje? Dobrze, poczekam... A jeśli będzie tylko jeden? – zwraca się do Grubego.

– Dwa – nalega mój przyjaciel.

Klaudia kręci głową.

– Tak, dziękuję... Na moje nazwisko... świetnie! Do widzenia. – Rozłącza się. – Na szczęście mieli jeszcze wolne miejsca. W tym okresie góry pełne są turystów... Nie chciałam ryzykować, że gdy dojedziemy, okaże się, że nie macie gdzie spać – dodaje po włosku i zerka we wstecznym lusterku na Anię, żeby sprawdzić jej reakcję.

Klaudia i Gruby spoglądają na siebie porozumiewawczo. W rzeczywistości już wczoraj zarezerwowała cztery pokoje na swoje nazwisko. Dzisiejszy telefon wykonała tylko po to, by Ania nie zaczęła czegoś podejrzewać. Gruby zasugerował nawet, że gdyby nie było wolnych miejsc, Ania mogłaby mieszkać ze mną, a on... Nie zdążył dokończyć, bo Klaudia rozwiązała jego

nadzieje, mówiąc, że w najgorszym wypadku ona spałaby z Anią, co jednak ograniczyłoby moje pole manewru, jeśli chodzi o zdobywanie serca Ani.

Ach, te jej teorie, wyliczenia i organizacja! Trzeba jednak przyznać, że pomysł z autostopem był doskonały. Teraz w radiu leci *Let Her Go* Passengersów.

Podziwiam widoki za oknem, zielone wzgórza, drewniane domki, pasące się owce. Gruby uderza rytmicznie dłonią o udo i co jakiś czas zerka na Klaudię, która prowadzi w skupieniu. W pewnym momencie mój przyjaciel powoli wyciąga rękę w stronę jej kolana, lecz ona powstrzymuje go jednym ruchem. Dobrze go znam i wiem, że łatwo się nie podda. Faktycznie, wygląda przez okno i po kilku sekundach, jak gdyby nigdy nic, jego palce lądują na udzie Klaudii. W radiu leci właśnie *Someone Like You* Adele.

Klaudia kręci głową i znów zdejmuje jego dłoń ze swojego uda. Gruby unosi ją i imituje szybowcowy lot latawca, który na koniec łagodnie zakręca i ląduje na jego nodze, pokazując tym samym, że zrozumiał, jak się sprawy mają. Klaudia prowadzi, wpatrując się w drogę.

Jednak po chwili to ona wykonuje zaskakujący gest: przykrywa jego dłoń swoją. Gruby nie patrzy na nią, tylko zamyka oczy i się uśmiecha. Wiem, że bez względu na to, co się wydarzy teraz, za parę lat czy w ciągu całego jego życia nie zapomni tej chwili. W takich momentach masz wrażenie, że serce wyrwie ci się z piersi, że brakuje ci powietrza, czujesz, że unosisz się nad ziemią, potrafisz latać, dotrzeć do miejsc, w których nigdy nie byłeś. Oczy zachodzą ci łzami i czujesz się jak kretyn, ale to tylko zwykła chwila szczęścia.

Odwracam się do Ani. Wygląda przez okno. Ciekawe, o czym myśli? Może: „Jak mógłby wyglądać związek z Włochem?”, „Jak mógłby wyglądać moje życie z Nicco?”. „Cudownie! – mam ochotę jej odpowiedzieć. – Nauczę się polskiego i nie będziesz musiała się mnie wstydzić przed swoimi przyjaciółmi, nie będziemy już potrzebowali internetowego tłumacza, by wyznawać sobie miłość. Będę gotował ci wszystko, na co będziesz miała ochotę, i wydam wszystkie oszczędności, co do grosza, na kurs nauki gotowania organizowany w «Gambero Rosso»^[7]. Nigdy nie będziesz się ze mną nudziła, będę cię rozbawiał i zaskakiwał każdego dnia, codziennie będę pokazywał ci inne oblicze, które też będzie chciało być twoje na zawsze. Aniu,

wróc ze mną. Będę romantyczny, szczery, wierny, dzięki mnie będziesz się uśmiechała, będę twoim szczęściem bez względu na wszystko”.

Mam ochotę wziąć ją za rękę, ścisnąć mocno, rozwiąć wszelkie wątpliwości. Oddycha spokojnie, jej piersi unoszą się miarowo, przyglądam się zagnieceniom bluzki, którą ma na sobie, zamykam oczy i wspominam, jak powoli rozpiniałem jej guziki. Ania spytała z udawaną naganą w głosie, co zamierzam zrobić, a ja odpowiedziałem, że zamierzam się z nią kochać.

Widzę ją nagą w moich ramionach, odchyła głowę, a ja delikatnie gryzę ją w brodę, szyję, potem zsuwam się niżej i całuję piersi, jej włosy w moich dłoniach, nasze pocałunki, jej usta i język i ona, cała moja. Otwieram oczy i widzę, że Ania się we mnie wpatruje.

– O czym myślisz?

Wiem, że to jedna z tych ważnych chwil, kiedy moja odpowiedź może zaważyć na całym życiu. Chciałbym powiedzieć jej, że ją kocham, że zakochałem się w niej na zawsze, ale obawiam się, że ją wystraszę, i słowa więzną mi w gardle.

– Nicco, o czym myślisz? – powtarza pytanie.

Biorę jej dłoń w swoją, unoszę ją do ust i całuję.

– Wiesz, o czym. Byłaś przy tym.

Po jej reakcji widzę, że to była idealna odpowiedź. Teraz ja wyglądam przez okno.

34

Na werandzie góralskiej chaty z jasnego drewna w klatce na drążku siedzi kolorowa papuga. Na widok naszego pomarańczowego suzuki zaczyna skrzeczeć: „Wow! Wow!”. Mamy otwarte okna, więc dobrze ją słyszymy.

– Jej też podoba się nasza bryka – komentuję ze śmiechem.

Jesteśmy jak Starsky i Hutch, tylko że nam towarzyszy jedna blondynka i jedna szatynka. Klaudia zwalnia. Od kilku kilometrów cieszymy się z Grubym, że zbliżamy się do celu.

– Wreszcie jesteśmy na miejscu! Do tej pory takie widoki oglądałem tylko na ekranie komputera – mówi mój przyjaciel, rozglądając się. Jakiś czas temu zjechaliśmy już z głównej drogi. Wzdłuż ulicy, którą teraz jedziemy, płynie mały górski potok.

– Wydaje mi się, że nasz hotel jest po drugiej stronie. – Gruby obraca komórkę, by odczytać na mapie, gdzie dokładnie się znajdujemy. Klaudia zatrzymuje samochód przed chatą. Papuga powtarza jak mantrę: „Wow! Wow!”.

– Zamierzasz zagadnąć ją o drogę? – pytam sceptycznie.

Ale nasz kierowca i organizatorka w jednym daje nam znak, by iść za nią. Na werandzie pojawia się mężczyzna, który przygląda nam się posepnie. Jest niezbyt wysoki, dobrze zbudowany, mimo zaawansowanego wieku ma kruczoczarne włosy opadające na ramiona oraz wysokie kości policzkowe. W zamszowej kawowej kurtce z frędzlami przypomina bohaterów *Tańczącego z Wilkami*. Jestem pewny, że za tę katanę Gruby byłby w stanie zapłacić dwukrotność ceny, jaką dał za kurtkę Bruce’a Lee.

– Pan Galica? – pyta Klaudia, a mężczyzna potakuje.

Ja, Ania i Gruby wymieniamy zdezorientowane spojrzenia: skąd oni się znają? Klaudia ściska dłoń naszego Siedzącego Byka i wyjaśnia nam, że postanowiła zrezygnować z hotelu i zarezerwowała nam tę góralską chatę. Jest pięknie położona w spokojnym miejscu blisko Morskiego Oka i znajdziemy tu

wszystko, czego nam trzeba. Powietrze jest zupełnie inne niż w mieście. Wchodzimy po schodkach na werandę, by przywitać się z właścicielem, który mówi nam tylko, żebyśmy poszli po swoje bagaże.

Jak wcześniej żołnierze na usługach generała Klaudii, tak teraz wykonujemy grzecznie polecenie wodza.

Pan Galica zaprasza nas do przestronnego salonu, gdzie na środku, naprzeciwko kraciastej kanapy, leży ogromna niedźwiedzia skóra. Gruby nie wierzy własnym oczom, pochyła się, by jej dotknąć.

– Prawdziwa?

Góral obdarza go ponurym spojrzeniem, ale nic nie mówi. Jednak nie wiadomo, czy dlatego, że skóra jest prawdziwa i nie należało podawać tego w wątpliwość, czy też dlatego, że nigdy w życiu nie trzymałby u siebie w domu skóry zdartej z niedźwiedzia. Nie wchodzimy w szczegóły. Zapisuje nasze dane. Odkąd przyjechaliśmy do Polski, ja stałem się „Mikołajem”, a mój przyjaciel „Dominikiem”. Naturalnie również Galica przekręca nasze nazwiska, ale nie mam śmiałości go poprawiać. Oprowadza nas po chacie: są tu cztery sypialnie, dwie łazienki wyłożone deskami, kuchnia urządzona w rustykalnym stylu, a na tyłach mały taras z grillem. Uprzedza nas, by mięso smażyć tylko tutaj, ponieważ od strony ulicy jest to zabronione, chociaż następna chata stoi kilkaset metrów dalej. Podoba mi się takie obywatelskie podejście, choć wiem, że nie będziemy mieli czasu nawet na podgrzanie kiełbasek, mimo że byłoby to wspaniałym udekorowaniem tych niezapomnianych wakacji, które jak dotąd układają nam się wspaniale: z Warszawy do Krakowa, z Krakowa do Morskiego Oka, tuż przy granicy ze Słowacją. Nie przypuszczałem, że jedna przygoda będzie gonić drugą.

Moje przygody muszą wyglądać mizernie przy tym, co z pewnością przeszedł w swoim życiu ten góral o pooranej zmarszczkami twarzy. Idę o zakład, że miałby co opowiadać, gdyby nie był takim milczkiem. Wręcza nam dwa komplety kluczy, informuje, że w lodówce są jajka i bekon i że gdybyśmy mieli jakieś pytania, mieszka kilka kilometrów stąd. Na odchodnym dodaje, że wróci przed naszym wyjazdem.

Kiedy wychodzi na werandę, papuga natychmiast zaczyna skrzeczeć swoje „Wow!”. Mężczyzna wyjaśnia nam, że kiedyś mieszkał tu pies Azor i ptak nauczył się naśladować jego szczekanie. „Hau, hau”. Czyli to nie było „Wow”,

uświadamiam sobie lekko rozczarowany. Potem Azor zdechł, zamyka temat pan Galica, wzrusza ramionami i odchodzi.

Zafascynowani odprowadzamy go wzrokiem do momentu, kiedy wsiada do swojego zakurzonego samochodu. Gruby czeka, aż zniknie nam z oczu, i ruchem głowy wskazuje wejście do domku.

– Ale to, co leży na podłodze w salonie, to nie Azor? – W jego głosie słychać niepewność.

– Przestań. – Klaudia popycha go do środka. – Jeśli zasugerujesz to panu Galicy, skończysz jak ten niedźwiedź.

– Klaudio, zrobiłaś nam zajebistą niespodziankę tą góralską chatą! – komplementuję ją, nie mogąc oderwać oczu od ścian z sosnowych desek i ręcznie robionych kilimów rozwieszonych tu i ówdzie na metalowych hakach.

– Tak, superpomysł! Rany! – zgadza się ze mną Ania. Z werandy dobiega skrzek papugi stojącej na straży naszego bezpieczeństwa: „Hau, hau!”.

– Kto gdzie śpi? – pyta Klaudia.

– Kto pierwszy, ten lepszy – oznajmia Gruby i pędzi korytarzem w stronę pokoi, a my lecimy za nim i przekrzykujemy się jak dzieci, krzyząc: „Mój, mój!”.

Zajmuję całkiem spory pokój, z łóżkiem nakrytym czerwoną narzutą w geometryczne kolorowe wzory układające się w mozaikę, małą łazienką z prysznicem i porożem jelenia wiszącym nad szafą. Toczę wewnętrzną walnę – mam ochotę rzucić się na łóżko i przespać kilkanaście godzin, taki jestem zmęczony. Na biurku leżą foldery reklamujące różne wycieczki i atrakcje dostępne w okolicy. Zdejmuję ubranie, by wziąć szybki prysznic, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Narzucam szlafrok i idę otworzyć. Przez chwilę mam nadzieję, że to Ania przemyślała wszystko, chce do mnie wrócić i postanowiła natychmiast mi to oznajmić.

Niestety za drzwiami stoi Gruby, czyli Dominik.

Jest tak wzburzony, jakby służby specjalne deptały mu po piętach.

– Co się stało? Co znowu nabroiłeś?

– Nic, tylko się pogubiłem...

Patrzę na niego, jakby postradał zmysły.

– Jakim cudem? Tu są tylko cztery pokoje, nie trzeba mieć dyplomu wyższej uczelni...

– Nie rozumiesz! Straciłem pewność siebie!

– Co? Zwariowałeś?

Gruby przesuwa dłonią po twarzy, jakby zdejmował z niej pajęczynę. Wzdycha i siada na brzegu mojego łóżka.

– Przysięgam, nie wiem, co się ze mną dzieje, sam siebie nie poznaję... Chyba historia, którą mi opowiedziałeś, o tobie i Carolcie, że przez całe tygodnie nic się między wami nie wydarzyło, tak na mnie wpłynęła.

– A więc teraz to jest moja wina! Proszę cię! Widziałem, jak w samochodzie nieudolnie do niej uderzałeś, ta ręka na udzie... Zachowywałeś się jak kretyn!

– Jestem kretynem! Nawet ty to zauważyłeś!

– Słuchaj, widać, że masz plany względem Klaudii, ale postaraj się nie działać zbyt pochopnie, poczekaj na odpowiedni moment... Prawdziwe kłopoty mam ja. Ania spotyka się z tym mięśniakiem, z którym związała się znowu po powrocie z Włoch. Może musiała odreagować? Wydaje mi się, że między nami niczego już nie będzie.

– Rozumiem, stary, przykro mi... – odpowiada Gruby powściągliwie, ale po chwili wraca do tematu: – Powiedz, jak zachowałbyś się na moim miejscu, co byś zrobił?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! Daj mi spokój!

– To co mam robić?

Popycham go w stronę drzwi.

– Weź zimny prysznic, może rozjaśni ci umysł. Zresztą tu wszędzie są górskie potoki, wody nie zabraknie. – Wypycham go z pokoju.

Po chwili namydlam się pod prysznicem żelam, który kupiłem po tym, jak Gruby w hotelu w Krakowie zużył wszystkie kosmetyki, które wpadły mu w ręce, i próbuję podsumować to, co się do tej pory wydarzyło. Przemyka mi przez myśl, by nie stawić się na spotkaniu, które wyznaczaliśmy sobie za kilkanaście minut, i że może oddałbym im przysługę... Jednak o wyznaczonej

godzinie jestem pierwszą osobą, która zjawia się w salonie. Zaraz po mnie przychodzą dziewczyny, a na końcu Gruby.

– Wszystko zaplanowałam. – Klaudia pokazuje nam zapisaną kartkę. – Rzućcie okiem... Polegacie na moich decyzjach? – Jej pytanie brzmi wręcz prowokacyjnie, zważywszy na to, że do tej pory to ona zorganizowała całe przedsięwzięcie.

– Nie wiem dlaczego, ale wzbudzasz nasze zaufanie. – Gruby patrzy na nią rozbawiony.

– No to w drogę! – pogania nas Klaudia.

Po kilkunastu minutach dojeżdżamy na parking na Palenicy Białczańskiej, tuż przy wejściu do Tatrzańskiego Parku Narodowego. Tym razem Gruby ubiega Klaudię, wyjmując z portfela pieniądze i płaci parkingowemu, który upomina nas, by ze względu na niedźwiedzie nie zostawiać w samochodzie jedzenia. No nieźle, nie spodziewałem się takich atrakcji w tej części Europy.

– Chodźcie, tu jest przepięknie! – Klaudia zaraża nas swoim entuzjazmem, wskazując wejście na drogę do Morskiego Oka. – To miejsce moglibyśmy wykorzystać w scenie otwarcia, pomyślcie, jaka będzie malownicza: biała suknia panny młodej na tle bujnej zielonej roślinności, dookoła ptaki i zwierzęta. – Rozglądamy się. Wizja, jaką przed nami roztacza, jest naprawdę sugestywna.

– Fauna Tatr obejmuje zarówno gatunki pospolite, jak i bardzo rzadkie – czyta Klaudia w przewodniku. – Można tu spotkać między innymi jelenie, sarny, zające, dziki i lisy. Tylko tutaj żyją świstaki i kozice. Na niebie króluje majestatyczny i dostojny orzeł przedni...

Idziemy, podziwiając kolory i bogactwo przyrody. Słychać śpiew ptaków, bzyczenie trzmieli i pszczoł, szum drzew. W pewnym momencie na włosach Ani przysiada cytrynowy motyl. By go nie spłoszyć, powoli wyjmuję telefon i starając się nie zrobić hałasu, uwieczniam tę chwilę. On, jakby specjalnie pozował do zdjęcia, po jego zrobieniu zrywa się do lotu.

Wpatruję się w Anię, która podchodzi do mnie i bierze mnie pod rękę. Opiera głowę na moim ramieniu, nie zdając sobie sprawy, jaki ból i radość wzbudza we mnie ten gest.

Gruby patrzy na mnie z łagodnym uśmiechem. W ciągu tych kilku dni

zmienił się nie do poznania. To zasługa miłości. Jeszcze trochę i stanie się leśnym stworzeniem, zakochanym ptakiem. Jak ten paw z Wielkiej Brytanii, który kilka lat temu podobno „zakochał się” w dystrybutorze benzyny. Przez trzy miesiące w roku krążył wokół swojej „wybranki” i nie odstępował jej na krok. Prawdopodobnie pompa wydawała dźwięki zbliżone do tych, jakie wydaje samica w rui. Klaudia zdecydowanie nie przypomina wyglądem dystrybutora benzyny, ale widocznie rozsiewa podobne feromony. Gruby nie spuszcza z niej oka, lecz wydaje się, że jej to w ogóle nie przeszkadza. Co więcej, teraz ona zaczyna stroszyć piórka.

Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, mógłby pomyśleć, że jesteśmy pod wpływem narkotyków lub alkoholu – śmiejemy się i zachowujemy jak odurzeni. Niczym dzieci kwiaty czterdzieści lat później. Brakuje tylko, by jedno z nas usiadło na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i zaczęło grać na gitarze.

Koncert, który słyszymy, nie jest muzyką gitarową. To huk wody spadającej na głazy w dole wodospadu. Stajemy oniemiałi przed Wodogrzmotami Mickiewicza. Woda z ogromnym impetem spada w spieniony nurt rzeki. Wodospad nie jest duży, ale hałas ogromny. Targają mną sprzeczne emocje, czuję jednocześnie lęk i podziw dla nieokiełznanej natury.

W pewnym momencie Gruby doznaje olśnienia.

– Czy nie ma u was zwyczaju, by całować się pod wodospadem?

Klaudia patrzy na niego pobłaźliwie.

– Pierwsze słyszę... Pod jemiołą owszem.

– Cóż... – Gruby wzrusza ramionami. – Co kraj to obyczaj.

– Jeśli już o tym mowa, można by się całować przy tamtej odnodze. – Wskazuje miejsce, które ma na myśli. – Tylko nie ma jak się tam dostać. Coś wam to przypomina?

Biały gęsty strumień wody przypominający język spada z ogromną siłą w dół.

– Zimne piwo z kija – mówi Gruby po chwili zastanowienia.

– A mnie welon panny młodej. – Klaudia się śmieje, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Rzeczywiście w pewnym momencie rwąca kaskada wody rozdziela się na

skałach i przypomina sunący po ziemi zwiewny tiul.

– Rzeczywiście – szybko zgadza się z nią mój przyjaciel. – Wiedziałem, jakie miejsce wam zaproponować.

Ania patrzy na niego zdezorientowana, przecież nie zna włoskiego. Jeśli Gruby nadal tak będzie pogrywał, nawet ślepiec się zorientuje, że na drodze wylotowej z Krakowa nie zaleźliśmy się przypadkiem. Patrzą na niego krzywo, ale on tylko wzrusza ramionami.

– To znaczy tobie, Nicco – poprawia się i zwraca do dziewczyn: – Mój kumpel jest bardzo romantyczny.

Romantyczny jak przejażdżka wozem zaprzężonym w konie, myślę. Z początku Klaudia nie ma zamiaru nam towarzyszyć, gdyż, jak mówi, jest to typowa atrakcja turystyczna, a ona nie lubi takich klimatów. W końcu jednak udaje nam się ją przekonać. Kilkadziesiąt minut później docieramy do schroniska nad Morskim Okiem. Widok, jaki rozpościera się z ganku, zapiera nam dech w piersiach. Woda ma niesamowity zielony kolor, dookoła piętrzą się góry porośnięte miejscami bujną kosodrzewiną, po prawej widać Rysy, najwyższy szczyt Polski. Jest słonecznie, ciepło, dziko i pięknie.

Wyciągamy telefony i robimy zdjęcia. Wyglądamy jak grupka fotoreporterów na czerwonym dywanie czekająca na gwiazdy wieczoru. Każdy z nas skupia się, by uchwycić jak najlepszy kadr. W pewnym momencie Gruby proponuje mi i Ani, że uwieczni nas razem na tle tej wspaniałej panoramy Tatr. Ustawiamy się do zdjęcia przy barierce nad stawem, obejmuję Anię ramieniem, a ona się we mnie wtula.

– Całkiem niezłe te atrakcje turystyczne, prawda? – Gruby posyła Klaudii znaczące spojrzenie i ustawia aparat w iPhonie. – Uśmiechnijcie się... doskonale. Zrobię jeszcze jedno... *Cheese*.

– Poczekaj... – Klaudia zabiera mu telefon. – Obróby je na Instagramie, będą jeszcze ładniejsze. – Jeśli chodzi o typowe atrakcje, dała za wygraną, ale gdy zapadają decyzje, musi mieć ostatnie słowo. Czasami również pierwsze.

– Nie trzeba Instagramu, żeby przetworzyć zdjęcie, zmienić kolory, usunąć niepotrzebne elementy – protestuje Gruby.

– Ale na Instagramie wychodzi lepiej. – Twarda z niej sztuka, pozwala, by Gruby kładł rękę na jej udzie, ale nie pozwala wejść sobie na głowę.

Zaczynają dyskutować z ożywieniem. Ja i Ania, nadal przytuleni, przyglądamy im się z rozbawieniem. Dochodzę do wniosku, że gdy trzymam Anię w objęciach, nawet słowna przepychanka może wydawać się arią operową najwyższej klasy.

Schodzimy nad staw, by popodziwiać go z bliska. Idziemy na krótki spacer, robimy zdjęcia na tle zachwycających krajobrazów. Po jakimś czasie zaczyna burczeć mi w brzuchu. Ania, jakby czytała w moich myślach, proponuje:

– *Może stay and eat here?*

Klaudia i Gruby ochoczo przystają na naszą propozycję. Zajmujemy miejsca na zalanej słońcem werandzie. Klaudia przedstawia Ani szczegóły projektu, sugeruje, że część ujęć można by nakręcić w samym schronisku. Ania słucha z uwagą i wydaje się coraz bardziej zainteresowana udziałem w reklamie.

Dziewczyny postanawiają złożyć zamówienie w naszym imieniu, bo nazwy potraw niewiele nam mówią. Poza tym chcą, byśmy spróbowali prawdziwych polskich dań. Po chwili na naszym stole lądują cztery żurki w chlebie, następnie placki po zbójnicku i zestaw surówek, do tego cztery zimne piwa. Ale my z Grubym mamy inny pomysł. Pod pretekstem pójścia do toalety wchodzimy do jadalni i zmierzamy w stronę kuchni. Jakimś cudem udaje nam się dogadać i po chwili trzymamy butelkę szampana i cztery kieliszki. Wracamy do dziewczyn. Gruby strzela korkiem, nalewa trunk, a one patrzą na niego zdumione.

– Cóż, niecodziennie ma się taki widok na wyciągnięcie ręki – mówi.

– Masz rację, to miejsce jest niezwykle – zgadza się z nim Klaudia.

– Miałem na myśli ciebie...

Klaudia się rumieni. Dla osoby tak niezależnej jak ona to niemal oświadczyzny.

Zabieramy się do jedzenia. Rozmawiamy na różne tematy, również o ludziach siedzących wokół nas. Jest sporo młodzieży, kilka par, rodziców z dziećmi w różnym wieku, osób starszych. Ciekawe, czy ci państwo z hotelu w Krakowie tutaj także poprosiliby o włączenie telewizora.

Na moment oddaję się rozmyśleniom. Kiedy jest ci z kimś dobrze, kiedy pragniesz tego drugiego człowieka najbardziej na świecie, nic innego się dla

ciebie nie liczy, nie męczy cię stanie w kolejce, nie dbasz o to, czy masz na talerzu ostrygi, czy mięso z puszki.

– Jakie mamy plany?

Gruby jest jak zawsze w gorącej wodzie kąpany. Jeszcze nie odłożył sztućców, a już myśli, jak spędzić resztę popołudnia i wieczór. Gdyby miał taką możliwość, skoczyłby na bungee do samego Morskiego Oka.

– Mam propozycję – mówi nasza nieoceniona pani organizator. – Jedźmy do Zakopanego, to niedaleko, a miejsce jest kultowe, nie będziemy się nudzili.

Po obfitym obiedzie postanawiamy wrócić na parking na piechotę. Przy okazji możemy napatrzeć się na góry i na wspaniałą przyrodę.

Wsiadamy do samochodu i ruszamy do miasta. Dotarcie na miejsce zajmuje nam trochę czasu, choć jest stosunkowo blisko. Widać nie tylko my mieliśmy taki pomysł, by spędzić wieczór w Zakopanem. Parkujemy wreszcie nasze pomarańczowe suzuki na którejś z bocznych ulic i kilka minut później wychodzimy na zatłoczony główny deptak Zakopanego, Krupówki.

Jak w większości turystycznych miast na świecie, tak i tutaj co kilkadziesiąt metrów napotykamy ulicznych grajków, artystów, ludzi poprzebieranych za znane postacie filmowe lub starożytne posągi, którzy w zamian za kilka monet pozwalają zrobić sobie zdjęcie. Wzdłuż ulicy stoją kramy z pamiątkami, większość jest ręcznie robiona z naturalnych materiałów: skóry, drewna, wełny. Podobają mi się kwieciste chusty, skórzane torby i wełniane swetry, choć to nie sezon na ich noszenie. Postanawiam kupić tu prezenty dla sióstr i mamy. Wybieram ręcznie robioną biżuterię i chusty, a dla siostrzeńca ciupagę. Mam nadzieję, że będzie zachwycony.

Ruszamy w górę Krupówek, gdzie z każdym krokiem tłum turystów robi się coraz rzadszy. Klaudia i Gruby zostają trochę z tyłu, ale dochodzą do mnie strzępki ich rozmowy.

– Mam ogromny sentyment do tego miasta – mówi Klaudia. – Zimą przyjeżdżałam tu z rodzicami na narty.

– To miejsce ma niewątpliwie swój urok.

– Podobało mi się tamto zdanie.

– Które?

– Że niecodziennie ma się taki widok na wyciągnięcie ręki.

– Bo to prawda. – Gruby jest speszony, nie wie, co powiedzieć lub zrobić. Przez jakiś czas żadne z nich nic nie mówi, są otuleni górskim powietrzem, ciszą nocy i szemraniem rwącego potoku. Wreszcie Gruby wyjmuje z kieszeni iPhone'a i unosi go nad ich głowami.

– Powiedziałaś, że to przynosi szczęście. Chyba nie chcesz igrać z fortuną, prawda?

Na ekranie telefonu widnieje zielona jemioła, teraz „wisi” nad ich głowami.

– Wierzę w tradycję – mówi Klaudia ze śmiechem i wreszcie go całuje.

Patrzemy na nich, ale milczymy. Nie mamy odwagi na siebie spojrzeć, nie wiemy, co ze sobą zrobić. Wreszcie nasze spojrzenia spotykają się w ciemności. Ania kręci głową i zaczyna mówić, wolno, żebym zdążył przetłumaczyć w telefonie jej słowa:

– Gruby jest jak zwykle nieprzewidywalny. Myślisz, że będą parą? Chyba nie zabierze jej do Włoch? Ona pełni bardzo ważną funkcję w agencji, jest niezbędna do mojej pracy... – Tyle przynajmniej zrozumiałem z jej angielskiego.

– Nie wiem, ale przyznasz, że byłoby to wspaniałe zwieńczenie miłosnej historii, prawda? – Patrzę na nią przenikliwie.

– *Yes, it would be wonderful.* – Ania odwraca wzrok.

– A gdybym to ja zabrał kogoś do Włoch?

Wpatrujemy się w siebie intensywnie, dopóki nad naszymi głowami nie wybuchają fajerwerki. Na naszych twarzach, oświetlonych miriadą kolorowych świateł, maluje się zaskoczenie. Na niebie rozgrywa się festiwal barw: błękitu, czerwieni, fioletu i bieli. Po okolicy niesie się echo eksplozji.

Nie pozostaje nam nic innego, jak oglądać ten spektakl z zadartymi do góry głowami. W pewnej chwili spoglądam na Anię, na jej rozświetlony profil, zachwyty malujący się na twarzy, rozchylone usta. Biorę ją za rękę, a ona odwraca się w moją stronę.

– Nie wiem, czy istnieje przeznaczenie, ale jeśli tak, to dla mnie ty nim jesteś.

Przyciągam ją delikatnie do siebie. Ania nie stawia oporu i wtula się

w moje ramiona. Nasze usta zatracają się w pocałunku, wilgotnym, miękkim, nieśpiesznym, namiętym, wyczekiwany. Nie wierzyłem, że jeszcze tego doświadczę. Co jakiś czas otwieramy oczy, spoglądamy na siebie i znów się całujemy, nad naszymi głowami nadal pada deszcz światła, a w oddali słysząc szum wody.

Myślę, jaki piękny jest ten pocałunek. Ile potrafi przekazać, żadne słowa nie mogłyby wyrazić emocji, jakie mu towarzyszą. Pocałunek jest jak najpiękniejszy list miłosny. Ale czy wystarczy?

Kiedy wracamy do naszej góralskiej chaty, wyglądamy jak typowi zakochani na wakacjach. Tacy, którzy idą w milczeniu i trzymają się za ręce, co jakiś czas rzucając uwagę typu: „Popatrz, jaki księżyc” albo: „Jakie rozgwieżdżone jest dzisiaj niebo” lub: „Co za wspaniały wieczór”.

Mnie również udziela się ten nastrój.

– Chciałbym, żeby ta noc trwała wiecznie – mówię do Ani. Przyciągam ją do siebie, zmierzamy w stronę domku i wiem, że pragnę zatrzymać ją przy sobie na zawsze. Czuję, jak przeszywa mnie dreszcz, ogień rozpala moje wnętrze, nie sądziłem, że moje emocje względem Ani są takie silne. A może ona jest tylko fantazją, iluzją? – zastanawiam się. Czasami spotyka się osobę, co do której nie mamy wątpliwości, że jest spełnieniem naszych pragnień, miłością naszego życia. Zanurzam nos w jej włosach, wdycham jej zapach. Nie, nic mi się nie wydaje, to dzieje się naprawdę, przepełniają mnie szczęście i magia tej chwili.

– Jesteśmy na miejscu – Klaudia sprowadza nas na ziemię.

– Wow! Wow! – skrzeczy romantycznie papuga i nie przyjmuję do wiadomości, że tak naprawdę z jej dzioba wydobywa się „hau, hau”, przynajmniej nie teraz.

Wchodzimy pierwsi, Gruby i Klaudia idą za nami, zatrzymują się przed drzwiami swoich pokoi. Życzymy sobie ciepło dobrej nocy, z trudem ukrywając zażenowanie, infantylne poczucie wstydu. Zostawiamy ich na korytarzu i idziemy do kuchni napić się wody. Nie jestem spragniony, chcę tylko zyskać na czasie i okiełznać to dziwne uczucie skrępowania, które we mnie narasta.

Kiedy wracamy na korytarz, nie ma ani Klaudii, ani Grubego. Weszli do jej pokoju? Do jego? Każde do swojego? Kto wie, czy spędzą razem tę noc. Ania patrzy na mnie bez słowa, ale domyślam się, że zadaje sobie te same pytania. Przystajemy przed jej drzwiami.

– *It was a beautiful evening...* – mówię po angielsku, zastanawiając się, ile błędów popełniłem w tym zdaniu.

Nie mam okazji dokończyć, bo Ania przywiera do mnie całym ciałem i opiera głowę na mojej piersi. W pierwszej chwili nie wiem, co zrobić, więc zaczynam głaskać jej włosy. Widzę, jak unosi rękę do ust i zaczyna obgryzać paznokcie. Widać w tym geście niepewność, lęk i niezdecydowanie.

– Aniu... – Biorę ją pod brodę i unoszę jej głowę. Wpatruje się we mnie wielkimi oczami. Światło księżycy wpadające przez okno oświetla tylko fragment jej twarzy, resztę skrywają rozpuszczone włosy.

– Aniu... – Trzymam ją w ramionach tak delikatnie, jakby była skradzionym cennym diamentem. Obserwuję urzeczony każdy najdrobniejszy szczegół jej twarzy: blask oczu, zarys ust, delikatną skórę. Czy ta noc może być nasza, jak powinien być każdy dzień? „Każdy dzień jest twój”, mawiał tata. Jak pragnienie, by nadać sens wszystkim chwilom naszego życia, żeby nic nam nie umknęło, nic nie zostało zmarnowane, żeby każdy moment był najpiękniejszy z możliwych, jak zebrane o poranku świeże kwiaty, jak robaczki świętojańskie złapane w letnią noc i schowane w antycznej lampie, by rozświetlać takie magiczne noce jak ta. Teraz oddzielają nas od siebie rozchylone usta, przyśpieszone oddechy, a emocje, które wypełniają duszę i serce, mimo że nieme, mówią o miłości, żywią się wyobraźnią, bo się wstydzą, choć nie mają jeszcze odwagi się poddać. Czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy tylko śnię?

Nagle nie chcę już dłużej bawić się w tę grę, w te usta, które nie wiedzą, czy mają się spotkać, czy nie. Poddaję się, przytulam Anię i całuję, z początku delikatnie, potem energicznie, pożądliwie, zachłannie, jakbym chciał dodać jej odwagi, pozbawić wątpliwości i rozterek, ustalić raz na zawsze, że tak będzie do końca świata, a przynajmniej jutro, pojutrze i przez kolejne dni, przez bardzo długi czas, i że teraz nie wyobrażam sobie, by miało się to kiedyś skończyć. Nagle czuję, jak Ania sztywnieje, odrywa się ode mnie i stoi z zamkniętymi oczami. W jednej chwili wszystko się zmienia.

Namiętność, która jeszcze kilka sekund temu wydawała się całym światem, teraz jest niedorzeczna, śmieszna, wręcz głupia. Ania się odsuwa i kiedy otwieram oczy, wydaje mi się, że jest dzień, że zostaliśmy brutalnie wyrwani z pięknego snu. Jesteśmy przytomni i tragicznie świadomi. Gdzie się podziała

ta magia sprzed kilku chwil? Jakby zgasły gwiazdy, księżyc się schował za chmurami, a fajerwerki zastygły w miejscu na skutek jakiegoś głupiego, niezrozumiałego żartu. Wokół nas panuje niczym niezmacona cisza. Wreszcie Ania otwiera oczy i spogląda na mnie.

– Przepraszam, nie mogę... – Całuje mnie w policzek, odwraca się i idzie do swojego pokoju. Staje przed drzwiami i zaczyna nerwowo przetrząsać torebkę. Obserwuję ją i wiem, że gdy już znajdzie to coś, nie będzie odwrotu. Chciałbym, żeby przestała szukać, znieruchomiła, spojrzała na mnie i znów znalazła się w moich ramionach. Ania kręci głową i mówi do siebie:

– Idiotka ze mnie! Przecież tu nie ma kluczy, to nie hotel!

Przez chwilę mam nadzieję, że zrobiła to specjalnie, żeby pobyć ze mną trochę dłużej, że tylko udawała, iż szuka klucza. Klucza do swojego serca... Niestety naciska klamkę i otwiera drzwi. Na próg pada zielone światło lampy palącej się na patio. Zielone... Śmiać mi się chce, że moja historia z Anią kończy się na tle zielonej poświaty, koloru, który jest kolorem nadziei. Bez cienia wahania wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

„Przepraszam, nie mogę”. Całe szczęście, że nie powiedziała: „Przykro mi”.

„Miłość oznacza, że nigdy nie musisz mówić: «przepraszam»”. To kwestia z ulubionego filmu mojej mamy, z *Love Story*. Jakoś wcześniej te słowa nie przyszły mi do głowy. Ale pamiętam, kiedy bohaterka, grana przez Ali MacGraw, wypowiada te słowa. Kłóci się ze swoim chłopakiem, bo chce, żeby pogodził się z ojcem, na co on nie ma najmniejszej ochoty, więc krzyczy wściekły, żeby wyniosła się z jego życia. Ona ucieka. Ryan O’Neal szuka jej wszędzie przez cały dzień, biegnie do konserwatorium, zagląda do każdej auli – na próżno. Wreszcie znajduje ją zapłakaną w środku nocy w ogrodzie koło domu. „Przepraszam”, mówi Oliver, bohater grany przez Ryana O’Neala, a Ali MacGraw odpowiada: „Miłość oznacza, że nigdy nie musisz mówić: «przepraszam»”.

Któregoś wieczoru rozmawiałem o tym zdaniu z Alessią. Odpowiedziała, że nie rozumie zbyt dobrze jego sensu, że nie zna filmu i że jestem „zramolały”, skoro interesuję się takimi starociami. „Mój dziadek ledwie pamięta ten film!” – powiedziała wtedy.

Po raz pierwszy obejrzałem go w jeden z tych niedzielnych dni, które spędza się przed telewizorem. Pamiętam, że płakałem jak bóbr. Kiedy wróciły siostry i zastały mnie całego we łzach, zawstydziłem się i powiedziałem, że wyszedłem zapalić na balkon i zmokłem, bo padało. Klasyczna wymówka.

Teraz chciałbym zapłakać rzewnymi łzami, jak fontanna albo wodospad, bo ja też straciłem dzisiaj swoją miłość. Nie zabrała mi jej choroba, tylko napakowany mięśniak nafaszerowany suplementami diety. Marek, najmniej romantyczna strona tej historii. Nadal mam w pamięci jego wielkie stopy, które wystawały z nogawek spodni podczas naszego spotkania w supermarkecie. Jak można zakochać się w kimś, kto nosi czterdziesty dziewiąty numer butów?

Spogłądałam na swoje nogi. Padłem na łóżko w butach. Są ubrudzone ziemią po dzisiejszych spacerach. Myślę, że zaprowadziły mnie pełnego nadziei aż tutaj. Tymczasem zabiorę do Włoch tylko warstwę błota. Wystarczy je uprać,

by się wszystkiego pozbyć. Z butów, ale czy również z serca?

Usiłuję skupić uwagę na czymś innym. Mój wzrok pada na kowbojski kapelusz leżący na szafie, oświetlony smugą światła przeświecającego przez zasłony. Nie mogę go nawet założyć, by zrobić zwycięską rundę wokół domu, jak bohaterowie westernów. W tej sytuacji jestem przegranym, wypędzonym i upokorzonym indiańskim wodzem. Od dziecka trzymałem ich stronę, czy to możliwe, że popełniałem błąd? Moja mała squaw została zdobyta przez innego. Może nie walczyłem wystarczająco zaciekle?

Stukam w ścianę nad głową, by sprawdzić trwałość drewna. Wiem, oszukuję się. Tak naprawdę podejmuję ostatnią rozpaczliwą próbę zwrócenia na siebie uwagi Ani, która jest w pokoju przylegającym do mojego. Chciałbym, by jeszcze przemyślała swoją decyzję, by dała mi szansę. Zza ściany nie dochodzi żaden dźwięk, więc łudzę się, że drewno jest zbyt grube i Ania mnie nie usłyszała.

Siadam na łóżku i spuszczam nogi na podłogę.

Błyskawicznie podejmuję decyzję. Jestem jak horda rozwścieczonych Siuksów, nic mnie nie powstrzyma.

Kilka sekund później stoję przed drzwiami Klaudii i pukam, jakby się paliło.

– Klaudio, Gruby, jesteście tam?

W głębi korytarza otwierają się drzwi i staje w nich Klaudia z potarganymi włosami. Patrzy na mnie figlarnie.

– Chcieliśmy trochę porozmawiać... – tłumaczy się.

Na szczęście zdążyłem, zanim zdążyli... rozpocząć rozmowę.

– Proszę cię, potrzebuję twojej pomocy, musisz coś dla mnie zrobić. – Biorę ją za rękę. Rzucam okiem na Grubego, który wpatruje się we mnie z łóżka, marszcząc czoło. Na szczęście jest ubrany. – Zaraz ci ją oddam – mówię do niego. – Za dwie minuty, przysięgam!

Wychodzę z pokoju, ciągnąc za sobą bosą Klaudię. Widzę, że Gruby idzie za nami do drzwi, przystaje na progu z rękami na biodrach, kręci z niedowierzaniem głową, jakby mówił: „Ale sobie moment wybrałeś!”.

– Jesteśmy – mówię i staję przed drzwiami Ani. Pukam, a Klaudia patrzy na mnie zdezorientowana.

– Co mam zrobić?

– Przetłumaczyć moją miłość. Proszę cię. Tylko się nie pomył! W przeciwnym razie oboje poniesiemy porażkę... – Wiem, że dla Klaudii „skuteczność” to słowo klucz, zwycięska broń.

Słyszę zbliżające się kroki na skrzypiących drewnianych deskach. Ania otwiera drzwi i nie może ukryć zaskoczenia na nasz widok.

– Poczekaj, Aniu, nic nie mów.

Klaudia bezbłędnie tłumaczy moje słowa. Spogląda na mnie w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Zaczynam mówić, prawie nie nabierając powietrza, zbyt długo milczałem przy ludziach, których kochałem, jest we mnie ogromny żal. Nie chcę więcej pluć sobie w brodę, że nie wykorzystałem okazji.

– Muszę powiedzieć ci prawdę – ruszam z prędkością rozpędzonej lokomotywy. – Odkąd wyjechałaś, nie mogę przestać o tobie myśleć, zrozumiałem, ile dla mnie znaczysz, dniami i nocami wałkowałem to wszystko, czego ci nie powiedziałem. – Czekam, aż Klaudia przetłumaczy. W pewnym momencie przerywa i marszczy czoło.

– „Wałkowałem”? – pyta.

– No, zafiksował się – podpowiada szeptem Gruby, który nadal stoi w progu swojego pokoju.

Ale „zafiksować się” jeszcze trudniej przetłumaczyć, więc próbuję ułatwić jej zadanie:

– Rozmyślałem. Dużo rozmyślałem.

Moja tłumaczka kiwa głową i kontynuuje. Gdy kończy, patrzy na mnie niecierpliwie, jakby czekała na drugi akt tej komedii romantycznej, w którą od dłuższego czasu jest zaangażowana. Co więcej, mogę śmiało powiedzieć, że jest jej współautorką. Mówię, a moje słowa są nie mniej efektowne od podziwianych dzisiaj Wodogrzotów Mickiewicza.

– Kiedy cię poznałem, przechodziłem trudny okres. Nie mówię po polsku, ale zawsze, kiedy nasze spojrzenia się spotykały, wiedziałem, że niepotrzebne nam słowa. W Rzymie z każdym dniem zakochiwałem się w tobie coraz bardziej, w twojej prostocie, szczodrości, uprzejmości, urodzie, w tym, że nawet w zwykłym białym podkoszulku byłaś najelegantszą kobietą na świecie... Nie wspominając o tym, jak wyglądałaś bez koszulki. – Klaudia

wybuchu śmiechem. Ania również, i chyba jest odrobinę wzruszona. – Ale to wszystko są szczegóły, drobnostki wobec tego, co naprawdę czułem.

Przerywam, by odetchnąć głęboko, zobaczyć, jaki efekt wywierają na Ani moje słowa. Wyraz jej twarzy dodaje mi odwagi. Klaudia kończy tłumaczyć i patrzy na mnie zaciekawiona.

– Mów dalej, też chcę wiedzieć.

– Dzięki. – Uśmiecham się do niej i ciągnę: – Dużo sobie powiedzieliśmy, ty po polsku, ja po włosku, i chociaż się nie rozumieliśmy, wiem, że były to właściwe słowa, te, które chcieliśmy powiedzieć i usłyszeć. Przyjechałem do Warszawy dla ciebie...

Mówię bardzo szybko i Klaudia ledwie nadąza, ale daje radę. Porażka raczej jest jej obca. Opowiadam Ani, jak było naprawdę, od momentu, kiedy nie zastałem jej w hotelu w Rzymie, o fałszywym adresie podanym przez portiera, o Venanzju, który nam pomógł, i o Klaudii – gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. O tym, jak zobaczyłem ją z tamtym facetem w supermarkecie, i o tym, jak znaleźliśmy się na drodze wylotowej z miasta, łapiąc stopa.

Klaudia próbuje wtrącić się do mojego monologu i się usprawiedliwić, nie chce wyjść na oszustkę. Podnosi palec, by zabrać głos.

– Zrobiłam to dla miłości – mówi. Gruby, przyklejony do ściany, uśmiecha się zwycięsko, przekonany, że Klaudia zdecydowała się na tę podróż, ponieważ gdy tylko się spotkali, straciła dla niego głowę. – Skalkulowałam, jakie macie szanse. Nie mogłam pozwolić, by taka miłość się nie ziściła – uściśla. Daje mi znak, bym kontynuował.

– Oczywiście cała ta inscenizacja może wydawać ci się śmieszna, ale potrzebowałem jej, by zyskać na czasie. W Rzymie nie zdążyłem ci powiedzieć, że... jesteś tą jedyną.

Milknę, a Ania ma łzy w oczach.

– Jesteś tą, na którą czekałem, tą, o której zawsze marzyłem. Przemierzyłem pół Europy, nie mając pewności, czy cię znajdę, jakby to była najprostsza rzecz pod słońcem...

Wsuwam rękę do kieszeni i wyjmuję z niej mały kamyk w kształcie serca.

– Pamiętasz? Zostawiłaś go w Rzymie, w zamian zabrałaś moje serce.

Ania bierze kamyczek, który podarowałem jej podczas wycieczki do Groty Nerona w Anzio. Patrzy na niego jak na odnaleziony właśnie diament, najcenniejszy przedmiot na świecie.

Wreszcie zaczyna mówić i tym razem Klaudia tłumaczy jej słowa dla mnie.

– Nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że znów trzymam w dłoni prezent od ciebie... Jestem taka szczęśliwa. Włożyłam go do szuflady i przypomniałam sobie o nim dopiero w samolocie. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, podobnie jak ciebie. Myślałam, że tylko się mną bawiłeś, że owszem, było nam razem dobrze, ale ty wrócisz do swojej dziewczyny, której ci tak bardzo brakowało.

– Wiem, byłem głupcem! – wchodzę jej w słowo. – Dopiero kiedy nie zastałem cię w hotelu, zrozumiałem, że brakuje mi ciebie jak powietrza, że byłaś moją chwilą szczęścia i że chciałbym, żebyś była nią na zawsze.

Ania nie jest w stanie powstrzymać dłużej łez i wtula twarz w moją pierś. Oboje płaczemy, całujemy się i mocno przytulamy. Kiedy wreszcie wyczerpani tymi miłosnymi szlochami odrywamy się od siebie, okazuje się, że Klaudii już nie ma. Nasza swatka wypełniła swoje zadanie i nas zostawiła. Gruby także zniknął. Przez chwilę mam wrażenie, że ich sobie wyśniłem. Rozglądamy się z niedowierzaniem, nie rozumiemy, jak mogli rozplątać się tak w mgnieniu oka.

Ania bierze mnie za rękę i wchodzimy do jej pokoju. Wiem, że nigdy nie zapomnę tej nocy, że bez względu na to, jak potoczą się sprawy, na zawsze zostanie w mojej pamięci. Nie chodzi tylko o to, w jaki sposób całujesz tę osobę, jak się z nią kochasz, nie chodzi o fizyczną przyjemność, ale o jedyne w swoim rodzaju poczucie, że doświadczasz prawdziwej miłości. Jesteś szczęśliwy, zadowolony, usatysfakcjonowany, zaspokojony, zrealizowany... ale żadne z tych słów nie oddaje tego, jak się naprawdę czujesz. Dlatego chyba lepiej będzie, jeśli tu się zatrzymam, bo nie wydaje mi się, by istniały rzeczowniki lub przymiotniki mogące opisać tę moją chwilę szczęścia.

37

Na błękitnym niebie nie ma ani jednej chmury, dzień zapowiada się ciepły i słoneczny. Klaudia i Gruby są w ogrodzie na tyłach domu. Energicznie machają gazetą, by rozwiać dym. Kiedy wraz z Anią otworzyliśmy drzwi, zobaczyliśmy, że rozpalili grilla. O tej porze! Na stole stoi dzbanek soku pomarańczowego, talerz jajek i kostka masła.

– Postanowiliście podpalić dom? – żartuję.

– To płomień namiętności tak buzuje! – Gruby puszcza do mnie oko. Błogość, która maluje się na jego twarzy, każe mi przypuszczać, że ich noc również należała do udanych.

– Toster w kuchni nie działa. Chcieliśmy przyrumienić trochę chleb... Ale z tego, co widzę, ogień... jak to się mówi? Proces spalania jest zbyt gwałtowny.

Oto cała Klaudia! Po romantycznej nocy spędzonej w ramionach mężczyzny mówi o procesie spalania! To mi się w niej podoba: zawsze jest sobą, precyzyjna, skrupulatna, z naukowym podejściem, nawet gdy chodzi o sprawy sercowe.

– Widać, że jestem wybuchowy. – Gruby z dumą w głosie trochę sobie z niej dworuje.

Ania siada i dłonią osłania oczy przed słońcem.

– Wcześniej wstaliście – mówi do dwóch gołąbeczków, które nakryły stół dla wszystkich. – My nie zmrużyliśmy oka, ale była to najpiękniejsza bezsenna noc w moim życiu.

– Jeszcze przyjdzie czas na spanie. – Gruby próbuje nastawić rozklekotane radio stojące na parapecie. Wreszcie łapie jakąś stację, w której leci *Lover Man*, mój ulubiony jazzowy kawałek. Mówię to Ani, wskazując zdezelowany odbiornik, który trochę zniekształca wydobywające się z niego dźwięki. Podobnie jest z moim angielskim, ale ona kiwa głową na znak, że zrozumiała, i zdejmuję mi z ramienia okruszek chleba. Dziwnie jest słuchać jazzu

w góralskiej chacie na południu Polski, podczas gdy w ogrodzie skwierczą na grillu bekon i chleb. To jak podwójne salto mortale w tył, niezwykła akrobacja przeznaczenia.

– Kto chce jeszcze chleba? – pyta Gruby, niosąc na tacy zwęglone kromki.

Ani ja, ani Ania nie mamy odwagi spróbować. Gruby wgrzyza się na próbę w jedną z nich, ale Klaudia wyjmuje mu ją z ust.

– Takie spalone jest niezdrowe!

Martwi się o niego, to dobry znak.

– Sama je grillowałaś!

– Powiedziałałam, że chciałabym zrobić tosty, nie mówiłam, że będą jadalne.

– Idealne wyjaśnienie kogoś, kto ma dyplom z asertywności.

Zaczyna się klasyczna słowna potyczka między dwójką ludzi, którzy nie są sobie obojętni. Chyba nie potrafiliby się sprzeczać z kimś innym.

– Chodźmy sprawdzić, co jeszcze pan Galica ma w spiżarni – proponuje Gruby.

– Już patrzyłam, nie ma tam niczego zdrowego, same puszki i konserwy. Chyba nie zamierzasz pić tego sztucznego soku z supermarketu?

Jestem przekonany, że Gruby nie miałby nic przeciwko temu. Głodny byłby w stanie zjeść plastikowe owoce, które służą dzieciom do zabawy w sklep. W końcu oboje znikają w głębi domu i nie mam pojęcia, jaki spożywczy kompromis uda im się wypracować.

Ania nalewa mi sok pomarańczowy i głaszcze moją dłoń. Upijam łyk, wycieram usta serwetką i przysuwam się do niej, by ją pocałować. Zarzuca mi ręce na szyję i dotyka moich warg swoimi. Są miękkie i wilgotne, zanurzam się w nich zachłannie, przygryzam delikatnie dolną wargę i ssę przez chwilę. Ania odrywa się ode mnie i palcem dotyka miejsca, w które ją ugryzłem. Mówi coś, czego nie rozumiem, bierze moją głowę w swoje dłonie i mocno mnie całuje. Tego pragnęła.

W domku naprzeciwko widzę parę starszych ludzi. Ona w kwiecistej podomce, on w szortach i koszulce. Podobnie jak my postanowili zjeść śniadanie na świeżym powietrzu. Patrzą w naszą stronę i machają do nas. Uprzejmie odpowiadamy na pozdrowienie.

Kobieta zasłania usta dłonią, kiedy jej mąż nalega, by zjadła plasterki melona.

Chciałbym, żebyśmy z Anią razem się zestarzelili, byli jak ta para, która w dobrych nastrojach wspólnie spędza poranek. Spoglądam na nią, smaruję masłem tost, jeden z niewielu, który nadaje się do jedzenia. Jest bardzo skupiona na tej czynności, a ja myślę, że wspaniale byłoby móc ją oglądać każdego ranka, a za pięćdziesiąt lat wrócić w to miejsce i zjeść z nią śniadanie. I może pozdrowić dwójkę młodych ludzi z domku naprzeciwko, którzy dopiero co się poznali i mają przed sobą całe życie.

Ania patrzy na mnie, jakby wyczuła intensywność mojego spojrzenia pełnego nadziei i planów na przyszłość.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak – odpowiadam. Usiłuję zebrać okruszki chleba z talerza, a Ania wsuwa mi do ust kawałek grillowanego bekonu.

Wszystko w porządku? Nie wiem, czy tak jest. Nie mam pojęcia, co zamierzasz, Aniu, zrobić ze swoim życiem. I z naszym życiem. Czy to była tylko jedna noc? Owszem, cudowna, ale czy tylko jedna? Wspaniałe chwile potrzebują czasu, by udowodnić, że nie są tylko chwilami, że mogą trwać wiecznie. Tak było z moimi rodzicami, uczucie, które ich połączyło, było piękne. Patrzę na Anię i chrupię lekko zwęglony bekon. Czy nam też jest to pisane?

Z pewnością to były wspaniałe wakacje, myślę, gdy pakujemy bagaże do samochodu, a pan Galica, jak obiecał, zjawiał się przed naszym odjazdem i teraz zamyka wszystkie okiennice i drzwi. Na pożegnanie wręcza każdemu z nas drewniany, ręcznie robiony medalik z wizerunkiem niedźwiedzia, na szczęście. Jesteśmy bardzo wzruszeni tym miłym gestem człowieka, który przynajmniej z pozoru sprawia wrażenie nieprzystępnego.

Po nocy wylanych łez, najpiękniejszych i najbardziej oczyszczających w moim życiu, jesteśmy z Anią bardzo podatni na wzruszenia, więc żeby się nie rozpłakać, wsiadamy szybko do samochodu. Nasi towarzysze podróży sprawdzają po raz ostatni, czy wszystko zostało zabrane z domku, i dołączają do nas.

Klaudia zapala silnik i dodaje gazu.

– Wow! – tym razem wykrzykuje pan Galica.

– Hau, hau! – odpowiadamy mu wraz z papugą i odjeżdżamy pełni wrażeń i wspomnień piękna bujnej przyrody, nieokiełznanej siły wodospadów, kolorowych fajerwerków, grillowanych tostów na śniadanie i marzeń, które jeszcze przed nami.

Podróż wydaje się krótsza od tej, którą odbyliśmy w tamtą stronę. Często tak się zdarza, gdy drugi raz pokonuje się tę samą trasę. Jak gdyby po dotarciu do celu ubywało kilometrów, a niepokój związany z odkryciem nowego miejsca się ulatnia.

Chciałbym, żeby ta podróż trwała dwa razy dłużej, żebym dwa razy dłużej mógł trzymać Anię w ramionach. Patrzenie na przesuwane się widoki z innej perspektywy, na oddalające się Morskie Oko, na rzednący las, na zmieniające się krajobrazy za oknem nabiera nowego znaczenia. Jadąc w to miejsce, nie wiedziałem, czego się spodziewać, opuszczając je, wiem, że spotkało mnie coś wspaniałego.

Kiedy podjeżdżamy pod dom Ani w Krakowie, wysiadam razem z nią, pomagam jej wyjąć walizkę z bagażnika i mówię Grubemu i Klaudii, że spotkamy się w hotelu. Oboje czule się z nią żegnają. Jesteśmy jak kochająca się rodzina.

– Obiecuj, że się wkrótce spotkamy – mówi Gruby, który liczy na to tak samo jak ja. Klaudia ustala z Anią szczegóły kontraktu i umawia się na podpisanie go w Warszawie.

– Tym razem mówię poważnie – mówi z uśmiechem na pożegnanie.

Zostajemy sami. Nadeszła chwila rozstania, do której wolałbym nigdy nie dotrzeć. W mojej głowie kłębią się wspomnienia, zapachy, ludzie. Oczami wyobraźni widzę wszystkich, którzy wzięli udział w mojej wyprawie, od chwili kiedy postawiłem stopę w Polsce: taksówkarza, panią Nowak pochodzącą z Abruzji, Teddy'ego, szefa kuchni, barwnych Venanzia i Tomka, starszych państwa z hotelowego lobby i pana Galicę, górala z krwi i kości. Wszyscy oni byli świadkami mojej miłości. Każdy z nich zostanie w moich wspomnieniach i, kto wie, może każdy z nich w jakimś stopniu przyczyni się do szczęśliwego zakończenia. Podejmuję więc próbę jego realizacji.

– Jutro wieczorem wracam do Rzymu, ale mógłbym zostać tutaj jeszcze przez jakiś czas, wszystko zależy od ciebie... – mówię łamaną angielszczyzną w nadziei, że Ania mnie zrozumie.

Widzę, że chciałaby coś powiedzieć, ale ją powstrzymuję.

– Teraz nic nie mów, zastanów się. Będę czekał na ciebie w hotelu do dziewiątej jutro rano. – Podaję jej wizytówkę hotelu. – Potem pojedę do Warszawy, a stamtąd do Włoch.

– Ja...

– Ćśśś...

Ania kiwa głową. Biorę jej dłoń w swoją i całuję jej wnętrze, linie życia, szczęścia i miłości, mając nadzieję, że jest tam miejsce i dla mnie. Trzymam ją w nieskończoność, wreszcie puszczam, odwracam się i odchodzę, licząc, że wkrótce znów zobaczę Anię.

Kiedy docieram do hotelu, Klaudia i Gruby informują mnie, że wybierają się na kolację w miejsce polecane przez przewodnik i namawiają mnie, bym im towarzyszył.

– Nie, dzięki, naprawdę, idźcie sami. Mam tylko jedną prośbę... – zwracam się do Grubego. – Możesz pójść ze mną? Chcę cię o coś spytać.

Mój przyjaciel przeprosza Klaudię i odchodzimy na bok.

– Wspaniale razem wyglądacie – mówię.

– To chciałeś mi powiedzieć? – pyta zdziwiony.

– Nie... – Milczę przez chwilę. – Chciałem spytać, co napisałeś jej na tej kartce? Może mnie też przyniesie szczęście? Teraz chyba już możesz się tym ze mną podzielić, prawda?

Gruby kiwa głową.

– Napisałem tak: „Czy naprawdę chcesz wyrzec się miłości?”.

– Miałeś na myśli mnie i Anię czy siebie i Klaudię?

Nic więcej nie mówi, tylko odwraca się i idzie do swojej dziewczyny.

Odprawiam ich wzrokiem. Cieszę się, że są razem.

Jakiś czas później schodzę do hotelowej restauracji i zamawiam befsztyk z ziemniakami, ale mam ściśnięty żołądek i nie mogę przełknąć ani kęsa. Nie

ma nikogo, kto dotrzymałby mi towarzystwa, nawet uzależnionych od telewizji starszuchów. Pewnie już wyjechali. Dziś byłbym skłonny oddać im pilota, może nawet bym się do nich przysiadł i obejrzał któryś z tych koszmarnych programów. *Kuchenne rewolucje bez Ani* albo *Bitwa o dom... z Anią!* Takie tytuły przychodzą mi do głowy.

Postanawiam pójść na krótki spacer, ale koniec końców ląduję w swoim pokoju. Wypijam piwo, potem opróżniam małą buteleczkę rumu z minibaru, mając nadzieję, że wypity alkohol przyniesie mi upragniony sen. Nastawiam budzik na siódmą, łudząc się, że prześpię całą noc. Wiercę się w łóżku, zapalam światło, gaszę je, idę do łazienki, znowu zapalam nocną lampkę, patrzę na budzik. Wreszcie się poddaję i włączam telewizor, skaczę po kanałach i natrafiam na transmisję jakiegoś meczu piłkarskiego. Mam nadzieję, że to mnie odpręży, zawsze lubiłem piłkę nożną i często przynosiła mi ona ukojenie, ale nie tym razem. Co mogłoby mi pomóc? – zastanawiam się. Wyłączam telewizor i sięgam po książkę, którą ze sobą zabrałem i której jak dotąd jeszcze nie otworzyłem, *Prawda o sprawie Harry'ego Queberta*. W ostatnim czasie wiele osób pytało o nią w kiosku i dlatego postanowiłem ją kupić. Otwieram pierwszą lepszą stronę.

– *Marcusie, czy wiesz, jak najlepiej sprawdzić, jak bardzo kogoś kochasz?*

– *Nie.*

– *Stracić go.*

– *Wiem o tym z doświadczenia, Harry, i nie chcę znów jej stracić*[8].

O świcie postanawiam wziąć prysznic, potem ubieram się nieśpiesznie, wyłączam budzik, zanim zacznie dzwonić, i schodzę na śniadanie. Dopiero otworzyli jadalnię i jestem pierwszym gościem. Nalewam sobie kawę i nakładam na talerz drożdżówkę. Odkąd wsiedliśmy wczoraj do samochodu, nic nie jadłem. Dla zabicia czasu przeglądam zagraniczną prasę, która leży na stole. *Bezdomny chłopiec adoptowany przez filmowego potentata*, oznajmia jeden z angielskich nagłówków. Pod spodem widnieje zdjęcie znanego aktora. Oto dowód, że szczęście istnieje, choć może akurat mnie nie jest ono pisane.

Kiedy wychodzę, dochodzi ósma. Za godzinę muszę ruszyć w drogę powrotną. Niemal słyszę odgłos poruszającej się wskazówki zegara odliczającej sekundy w rytm uderzeń mojego serca. To jak wyrok, przed

którym nie ma ucieczki. Siadam na ławce przed wejściem do hotelu. Obserwuję sunące po jezdni samochody, hotelowych gości, którzy wchodzą i wychodzą, mężczyznę uprawiającego poranny jogging i innego, który spaceruje z psem.

Wszyscy znajdujemy się w tym samym miejscu, ale dla każdego z nas czas płynie inaczej. Jednemu będzie się dłużyć w nieskończoność, innemu pędzić w zawrotnym tempie, w zależności od stanu ducha i od tego, na co kto czeka.

Spoglądam na zegarek. Mam wrażenie, że wskazówki stanęły w miejscu i że jestem tutaj od niepamiętnych czasów: urodziłem się, dojrzałem i zestarzałem się na tej ławce. Z drugiej strony, chciałbym zostać tu na zawsze, by mieć nadzieję, że wszystko jest jeszcze możliwe. Nieważne, jak długo czekasz, ważne na kogo.

Rozglądam się, jest piękny słoneczny dzień, lecz ja nie umiem się nim cieszyć, bo kobieta, na którą czekam, nie nadchodzi.

Wstaję. Wiem, że nic z tego nie będzie. To, co dzieje się we mnie, nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się wokół mnie. Ja i świat pędzimy z różną prędkością. Nagle słyszę, że ktoś mnie woła.

– Nicco!

Odwracam się. Ania nadjeżdża na rowerze, zostawia go na trawniku i biegnie w moją stronę. Rzuca mi się na szyję, całuje mnie, a potem mówi po włosku:

– Możesz zostawać jeszcze? Bardzo chcę.

Podnoszę ją, nadal trzymając mocno w objęciach.

– A więc mówisz trochę po włosku!

Ania wyjmuję z torby podręczny słownik.

– Kupiłam go dwa tydzień temu. Może *in my heart* miałam nadzieję, że cię zobaczę.

Znowu się całujemy.

Jest jedna rzecz, która zawsze mnie w niej zaskakuje. Wydaje mi się, że pamiętam, jak smakują jej pocałunki, a mimo to za każdym razem udaje jej się mnie zadziwić. Każdy jest nowy, inny od tego, który zapamiętałem. Próbuję zakodować je sobie w głowie, ale wiem, że następny również mnie zaskoczy,

bo będzie jeszcze piękniejszy.

Możesz wstać bardzo wcześnie rano, ale twoje przeznaczenie zawsze wstanie godzinę wcześniej. Ktoś kiedyś powiedział, że szczęście nie istnieje, zatem nie pozostaje nam nic innego, jak próbować być szczęśliwym inaczej. Nie wiem, jak jest naprawdę, czy ono istnieje, czy nie, wiem tylko, że teraz przepelnia mnie radość, i chciałbym zatrzymać wskazówki zegara, by ta chwila szczęścia trwała wiecznie.

Podziękowania

Chciałbym podziękować Giacomowi Callo i Susannie Tosatti. Szukanie z nimi właściwej okładki było prawdziwą przyjemnością, znalezienie jej – jeszcze większą!

Chciałbym podziękować Francesce Gariazzo, Chiarze Giorcelli, Marze Samaritani, Camilli Sice, Cristianie Rendzie i Valerii De Benedectis z biura prasowego – dzięki ich uprzejmości zawsze czuję się jak u siebie w domu, nawet w Mediolanie.

Chciałbym podziękować Evie Evangeliiście, rozmawianie z nią przez telefon, słuchanie jej kojącego głosu to czysta przyjemność, potrafi wszystko zorganizować w najdrobniejszych szczegółach i najpiękniejsze jest to, że jej plan jest później w całości zrealizowany!

Chciałbym podziękować Paolowi Valentino, który wraz ze swoim zespołem pomagał mi cierpliwie, proponując wspaniałe rozwiązania. Czasami dyskutowaliśmy przez telefon do późnej nocy. Przypomni mi chwile z młodości, kiedy godzinami potrafiłem rozmawiać przez telefon z kimś, kogo bardzo lubiłem, i żadne z nas nie umiało skończyć rozmowy, ja mówiłem: „Ty odłóż pierwsza...”, a na końcu linii słyszałem odpowiedź: „Nie, najpierw ty...”. I tak niejednokrotnie zastawał mnie świt, bałem się tylko, żeby rodzice mnie nie przyłapali, bo następnego dnia trzeba było iść do szkoły. W tym przypadku poprawialiśmy kolejne szkice książki.

Podziękowania dla mojej agentki Kylee Doust, Ked, która z wielką pasją prowadzi każdą moją powieść, jakby to było jej dziecko!

Dziękuję Laurze Ceccacci, która towarzyszyła mi przy wielu okazjach, zawsze okazując ogromny entuzjazm, zwłaszcza przy ostatnim projekcie. Kiedy przychodzę do biura, pyta, czy chcę kawę i ile słodzę, bo nie może zapamiętać, że piję gorzką. Ale to jedyna uwaga, jaką do niej mam. Aha, bardzo ją lubię, bo kiedyś okłamała mnie, nie chcąc skłamać.

Szczególne podziękowania dla Andrei Delmonte, który zawsze ma dla mnie ciepłe słowo, komplementuje mnie i wychwala, ale na obiad zabiera kogoś

innego. Może pilnuje mojej diety? W pracy jest zawodowcem, natomiast przegrał turniej w ping-ponga. Jest pewny, że wygra go w tym roku, może dlatego, że nie będzie już organizowany.

Dziękuję Giulii, AleG i Marilù, dzięki którym czułem się beztroski jak dziecko, gdy zasiadałem wieczorem do pisania.

Dziękuję moim siostram, Fabianie i Valentinie, a także mamie i Luce, które pod każdym względem pomogły mi w pracy nad tą powieścią.

Wreszcie chciałbym ogromnie podziękować mojemu przyjacielowi Giuseppemu za mnóstwo rzeczy, o których wiemy tylko my i które okazały się dla mnie bezcenne. Wspaniale jest wiedzieć, że zawsze można na kogoś liczyć.

- [1] Cannoli – rodzaj rurek z kremem; wywodzą się z Sycylii.
- [2] We Włoszech odpowiednikiem naszego dowodu osobistego jest *carta d'identità*.
- [3] W. Szekspir, *Romeo i Julia*, tłum. J. Paszkowski, Gebethner i Wolff 1913, s. 29.
- [4] Alex Britti – popularny włoski piosenkarz.
- [5] *Bauscia* (wł.) – żartobliwie o mediolańczyku; *bela madunina* (dialekt mediolański), od piosenki *O mia bela madunina* Giovanniego d'Anziego z 1934 r., której bohaterką jest złota figurka Matki Boskiej znajdująca się na szczycie mediolańskiej katedry (przyp. tłum.).
- [6] Befana – wróżka wyglądająca jak wiedźma, która 6 stycznia, w Święto Trzech Króli, przynosi grzecznym dzieciom prezenty, a niegrzecznym węgielki.
- [7] „Gambero Rosso” („Czerwona krewetka”) – włoski magazyn kulinarny.
- [8] Joel Dicker, *Prawda o sprawie Harry'ego Queberta*, przekł. Oskar Hedemann, Albatros, Warszawa 2013.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz